



WENDY MARKHAM



**NIE CAŁKIEM
DO PARY**

Tytuł oryginalny: *Slightly Single*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Moje życie wyobrażam sobie tak: wyjdę za Willa. On zostanie sławnym aktorem, a ja porzucę pracę w reklamie, żeby zająć się naszymi dziećmi. Nie przeprowadzimy się ani na południe, ani na zachód Stanów, ale raczej zostaniemy w Nowym Jorku (wszystko dlatego, że nie mogę żyć bez czterech pór roku), a kiedy zestarzejemy się razem, będziemy siadywać ramię w ramię przy stoliku w restauracji, jak ci starszacy, których widywałam we Friendly's. Tylko że na Manhattanie nie ma ani jednej restauracji Friendly's, a Will i ja nie siedzieliśmy jeszcze w ten sposób w żadnym lokalu. Nigdy.

Bo Will potrzebuje przestrzeni.

W restauracjach.

I w ogóle.

Ja z kolei wcale nie potrzebuję przestrzeni.

Dokładnie to powiedziałam swojej przyjaciółce Kate, która oznajmiła właśnie z denerwującym spokojem, że każdy potrzebuje przestrzeni.

- Ja nie potrzebuję - oświadczyłam, a ona w odpowiedzi wzniosła tylko niebieskie oczy, a raczej niebieskie soczewki kontaktowe ku górze, jakby chciała spojrzeć na swoją ufarbowaną na blond grzywkę.

Kate wychowała się w sercu Południa, gdzie najlepiej być szczupłą blondynką z niebieskimi oczami. Właściwie to wszędzie dobrze być szczupłą blondynką z niebieskimi oczami, o czym przekonałam się wielokrotnie ja sama - okrągła, brązowooka brunetka z Nowego Jorku.

- Potrzebujesz przestrzeni, Tracę! - upierała się Kate. Jej południowy akcent sprzed wojny secesyjnej był ledwo wyczuwalny - wynik ciężkiej pracy, żeby się go pozbyć. - Uwierz mi, a uwolnisz się od wewnętrznej potrzeby oglądania Willa dwadzieścia cztery godziny na dobę bez jednej sekundy przerwy.

Ma rację, ale rzecz w tym, że...

Że ja nie chcę uwalniać się od tej potrzeby.

To żalosne, prawda? Wiedziałam, że jestem żalosna i dlatego musiałam iść w zaparte. Kate i tak ciągle mówi, że się o mnie martwi. Ona uważa, że mój związek z Willem jest jednostronny.

- Nieprawda - skłamałam gładko. - Wcale nie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale dlaczego mam się cieszyć, że Will wypuszcza się na letnie występy w okolicy Adirondacks na całe trzy miesiące, a ja zostaję tu sama?

- Nic na to nie poradzisz. Przecież nie schowasz się do jego walizki.

Słyszając to, skupiłam całą uwagę na swoim niskokalorycznym napoju kawowym. Drewnianym mieszadełkiem próbowałam wepchnąć słodkawą pianę do ciemnobrązowego, zupełnie niesłodkiego napoju. Sprawa była beznadziejna - oba składniki nie chciały się połączyć. Długie paprochy przylepiały się do mieszadełka i do złudzenia przypominały kłaczki pajęczyn, które jakieś szkodniki produkowały na moim filodendronie.

- Tracey! - rzuciła Kate ostrzegawczym tonem.

- Słucham? - Z niewinną miną bawiłam się żółtą, plastikową zapalniczką i żałowałam starych dobrych czasów, kiedy można było palić wszędzie i zawsze.

- Chyba nie zamierzasz zabrać się z nim w góry Adirondacks?

- A dlaczego nie?

- Przede wszystkim dlatego... Tracey, słuchaj, co do ciebie mówię! Dlatego że nie jesteś aktorką. I masz swoją pracę.

Pracę! Wylądowałam w agencji reklamowej Blaire Barnett tylko dlatego, że zaimponowała mi nazwa firmy. Zawsze miałam skłonności do wdawania się w przeróżne interesy bez sprawdzenia, czym to pachnie. Dopiero kilka tygodni później, kiedy z okazji Dnia Sekretarki dostałam od swojego szefa roślinkę doniczkową, zdałam sobie sprawę, że jestem najzwyczajniejszym pracownikiem administracyjnym.

W doniczce był zarażony filodendron - ten, o którym wspomniałam wcześniej. Do złudzenia przypominał moją pracę - na początku wyglądał bardzo obiecująco - lśniące liście, celofan, zwoje wstążki i liścik: „Droga Traci (z błędem w moim imieniu), w podziękowaniu za wszystko, co dla nas robisz. Wszystkiego najlepszego - Jake". W domu znalazłam filodendronowi świetne miejsce na pustym parapecie. A po tygodniu na liściach pojawiły się robaki, gotowe do walki na śmierć i życie z biedną rośliną.

- Rzucę. - Wciąż pstrykałam zapalniczką.

- Co? Palenie?

- Nigdy w życiu. Pracę.

Uwaga! Zapamiętać! Idąc do Willa, kupić sobie papierosy.

- Tego się obawiałam. - Kate, która na szczęście nie należała do armii wojujących przeciwników palenia, uśmiechnęła się z wyższością. Potem przełknęła mały łyżeczek soku i powiedziała: - Masz zamiar tak po prostu porzucić pracę po niecałych dwóch miesiącach?

- Ponad dwóch miesiącach...

- Dobrze - zgodziła się. - Po ponad dwóch miesiącach. I co dalej? Pojedziesz za Willem do jakiejś dziury. Co będziesz tam robić?

- Choćby ustawiać dekoracje. Albo pracować jako kelnerka. Nie wiem, Kate! Jeszcze o tym nie myślałam. Wiem jedno: Nie mogę znieść myśli, że przez całe wakacje będę siedzieć w tym cholernym mieście bez Willa.

- Czy Will o tym wie?

Pytanie Kate było jasne, ale wolałam udać, że go nie rozumiem.

- O czym?

- O tym, że się z nim wybierasz.

- Nie - musiałam przyznać.

- Kiedy wyjeżdża?

- Za kilka tygodni.

- Może do tego czasu zrezygnuje z wyjazdu.

- Nigdy w życiu. Powiedział, że musi wyrwać się z miasta.

Kate uniosła jedną brew, dając do zrozumienia, że podejrzewa coś więcej. Jeśli teraz powie, że Will ucieka nie tylko od miasta, na pewno zaprzeczę. Mimo że w głębi ducha podejrzewam, że Kate może mieć rację.

I to jest powód, dla którego chcę z nim wyjechać. Przez całe trzy lata, odkąd ze sobą jesteśmy, nasz związek jest tak pewny jak jazda terenowym isuzu serpentynami w górach z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. W dodatku w deszczu. I w huraganowym wietrze.

Kiedy się spotkaliśmy, byliśmy oboje na przedostatnim roku studiów. Will przyjechał do naszego uniwersyteckiego miasteczka w północnej części stanu Nowy Jork ze Środkowego Zachodu. Zamienił niezły uniwersytet na taką sobie stanową uczelnię, gdyż żywił głęboką pogardę dla konserwatywnych, panamerykańskich nastrojów panujących i w jego szkole, i w rodzinie.

Od razu go zrozumiałam. Chyba dlatego zwróciłam na niego uwagę. To zadziwiające, jak bardzo małe miasto na obrzeżach stanu Nowy Jork przypomina małe miasto na Środkowym Zachodzie!

Pozornie wszystko jest tu inne, nawet akcent. Każdy człowiek od Chicago po północną granicę stanu Nowy Jork wymawia płasko samogłoskę „a”, marszcząc przy tym nos, co sprawia, że słowo apple zamienia się w trzysylabowe ay-a-pple.

Religia też jest tu inna. Wszyscy ludzie, których spotykałam w życiu, byli katolikami - wszyscy z wyjątkiem Tamar Goldstein, jedynej dziewczynki w całym Brookside High, która przez kilka dni października nie przychodziła do szkoły z powodu tajemniczych świąt Yom Kippur.

Inna jest moja szeroko rozgałęziona włoska rodzina ze swoimi odwiecznymi zwyczajami, od których nie ma ucieczki.

W niedzielę o dziewiątej trzydzieści każdy powinien pojawić się w kościele, a po mszy wypić kawę i zjeść cannoli w domu mojej babki ze strony matki. W samo południe cała rodzina schodziła się u babki ze strony ojca na spaghetti. Tak zaczynały się wszystkie niedziele w moim życiu, a mój wiecznotrwały cellulitis jest tego żalonym dowodem.

Will był protestantem. Jego przodkowie pochodzili z Anglii i Szkocji. Mówił bez żadnego akcentu, nie miał cellulitisu, a jeśli w domu jego rodziców jadało się spaghetti, to wyłącznie z sosem z puszki.

On, tak samo jak ja, od zawsze chciał wyrwać się z dusznej, małomiasteczkowej atmosfery i zamieszkać w Nowym Jorku. Ale on, odwrotnie niż ja, uznał uniwersytet stanowy w Brookside za wielki krok zbliżający go do celu. Nie miałam serca powiedzieć mu, że jeśli chodzi o atmosferę, Brookside równie dobrze mogłoby leżeć w Iowa. W końcu doszedł do tego samodzielnie i rzucił studia, nie robiąc dyplomu, byle szybciej wyrwać się z naszego upiornego miasteczka.

Kiedy poznaliśmy się na przedostatnim roku, Will miał dziewczynę w swoim rodzinnym Des Moines, a ja mieszkałam z rodzicami trzy mile od kampusu. Nie od razu zaczęliśmy ze sobą chodzić i winę za to ponosi oczywiście Will. Kiedy patrzę na tamte dni z dzisiejszej perspektywy, widzę, że nie dręczyły go wątpliwości, czy oszukiwać albo rzucić swoją dziewczynę dla mnie. Bardziej chodziło mu o możliwość przelatywania wszystkich chętnych pańienek wokół.

Will bez żadnych zahamowań opowiadał mi o sobie tonem, który sugerował, że on i ja jesteśmy parą dobrych przyjaciół, czym doprowadzał mnie do szału. Jeśli zdarzyło się, że rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną, kiedy bez zapowiedzi wpadałam do jego mieszkania, nie próbował nawet przerwać rozmowy. Potem oświadczał od niechcienia coś w rodzaju: „to była Helen”. Już wtedy doszłam do wniosku, że gdyby Will uważał, że jesteśmy kimś więcej niż (jak to sam określał) przyjaciółmi, którzy sypiają ze sobą tylko w stanie upojenia alkoholowego po przypadkowych spotkaniach w barze, ukrywałby przede mną informacje o swojej dziewczynie.

Tak więc miała na imię Helen i na pewno była - jak to sobie wyobrażałam - smukłą osobą o egzotycznej urodzie.

Pewnego dnia Will wyjechał do domu na ferie zimowe, powierzając mi klucze do swojego mieszkania. Miałam podlewać kwiaty. Tak, Will miał w mieszkaniu kwiaty. Nie marihuanę, która rosła w wielu zaprzyjaźnionych domach w okolicach kampusu, nie otrzymane w prezencie kaktusy ani twarde

sansewierie, które można miesiącami trzymać w ciemnym miejscu bez podlewania, ale prawdziwe rośliny doniczkowe. Takie, które trzeba regularnie podlewać i nawozić.

Zdarzyło się to, zanim jeszcze zaczęliśmy ze sobą sypiać, ale już po tym, jak kilka razy manipulował przy zapięciu mojego stanika, pośrednio zmuszając mnie do kupienia czegoś bardziej odpowiedniego niż moje zwykłe staniki zapinane na cztery solidne haftki umocowane na elastycznej taśmie szerokiej jak Pięta Aleja.

Byłam zaszokowana, że oddał mi w opiekę nie tyle rośliny, kupione we wrześniu w pobliskim sklepie ogrodniczym, co całą zawartość mieszkania, które dzielił z dwoma kolegami. Chyba naprawdę nie podejrzewał, że spędzę całe godziny, przeszukując stojące w szafie plastikowe skrzynki po mleku, w poszukiwaniu listów od Helen i jej zdjęć. Zresztą - diabli wiedzą. Może coś podobnego przyszło mu do głowy? Może chciał, żebym zrobiła kipsisz w jego rzeczach? W każdym razie zdjęcia znalazłam bez problemu. Były wetknięte do jednego z tych grubych notatników oprawnych w kolorowe płótno, dokładnie tam, gdzie wpisała się Helen: „Zapisuj w tym dzienniku, co się z Tobą dzieje, kiedy jesteś daleko. Pewnego razu przeczytamy go wspólnie i poczuję się tak, jakbym była tam z Tobą”.

Uśmiechnęłam się z zadowoleniem na widok białych, nie zapisanych kartek.

Ale nic nie dorówna triumfowi, jaki poczułam na widok zdjęć enigmatycznej Helen. Wiedziałam tylko, że jest blondynką. Will mówił o tym nieraz. I to była prawda. Miała długie, lśniące włosy z przedziałką pośrodku. Ale poza tym była pospolita, bardziej pyzata ode mnie i nosiła czerwone bermudy w kratkę, które broń Boże nie tuszowały jej bioder ani tym bardziej - ud. Nigdy w życiu nie włożyłabym koszuli w spodnie, a jeśli nawet miałabym na to ochotę, za nic nie włożyłabym nic w czerwone bermudy w kratkę.

Po obejrzeniu zdjęć przestałam obawiać się Helen.

Po powrocie z ferii Will zastał rośliny w doskonałej formie, plastikowe skrzynki po mleku pozornie nietknięte i talerz domowych, czekoladowych ciasteczek z masą serową na kuchennym stole. W tej sytuacji wcale nie byłam zdziwiona, kiedy oznajmił mi, że w sylwestra zerwał z Helen. Chciałam wczuć się w rolę już nie do końca przyjaciółki, ale jeszcze nie całkiem jego dziewczyny, ale i tak nie byłam pewna, jak się zachować. W końcu posłałam mu kilka pełnych współczucia spojrzeń, ale w głębi ducha gratulowałam sobie wygranej. Pobiłam Helen. Mityczna dziewczyna z rodzinnego miasteczka została wyeliminowana z gry.

Krótko cieszyłam się pozornym zwycięstwem. Dzisiaj, trzy lata później, wiem, że jeszcze nie przekroczyłam linii mety.

- Chyba powinnaś powiedzieć Willowi, że zamierzasz rzucić pracę i z nim wyjechać, prawda?

- Nie powiedziałam, że na pewno rzucę pracę. Powiedziałam tylko, że chcę to zrobić.

Cholera. Kate popatrzyła na mnie tak, jakbym oświadczyła, że zaraz wyciągnę z kieszeni obrzyn i wystrzelam wszystkich w tej kawiarni.

- Muszę już iść. - Poderwałam się gwałtownie, łapiąc biały papierowy kubek i ogromną czarną torbę na ramię.

- Ja też. - Kate złapała swój biały papierowy kubek i swoją ogromną czarną torbę na ramię. - Odprowadzę cię do metra.

Świetnie.

I przez całe dwie przecznice wpierała mi, że lato w mieście potrafi być naprawdę wspaniałe. Mogłaby sobie darować te bzdury, bo ja spędziłam już tyle dusznych, sierpniowych dni w cuchnącym zgnilizną mieście, że wystarczy mi na całe życie.

W Dzień Pamięci * minie rok, odkąd mieszkam w Nowym Jorku.

* **Dzień Pamięci (ang. MemorialDay)** — amerykańskie święto obchodzone w ostatni poniedziałek maja ku czci wszystkich członków sił zbrojnych, którzy zginęli podczas wojny (przyp. tłum.).

Pierwsze kilka miesięcy wynajmowałam pokój w Queensie u kompletnie nieznanym dziewczyny, której ofertę znalazłam w dziale ogłoszeń drobnych lokalnej gazety „Village Voice”. Miała na imię Mercedes. Minęłyśmy się kilka razy na korytarzu. Zawsze wyglądała na zaćpaną. Nie miałyśmy szans spotykać się częściej, bo w ciągu dnia ona spała, a ja szukałam pracy albo miałam jakieś chałtury, a kiedy wracałam wieczorem, ona wychodziła na całą noc. Kiedyś próbowałam dowiedzieć się po co, ale odpowiadała raczej wymijająco. Obie wyprowadziłyśmy się stamtąd na początku września, kiedy pewien aktor, który był stałym lokatorem tego mieszkania, wrócił do Nowego Jorku z letnich występów na prowincji. Nigdy już jej nie zobaczyłam, ale nie zdziwiłabym się wcale, widząc ją w telewizji w którymś z policyjnych programów interwencyjnych.

Wakacje spędzone we względnie taniej dzielnicy miały jeden plus. Udało mi się odłożyć trochę forsy i wynająć tylko dla siebie kawalerkę na Manhattanie w East Village. W pewnym sensie w East Village, gdyż było to tak bardzo na wschodzie wyspy, że wystarczyło zrobić kilka kroków dalej, żeby wylądować

na autostradzie Roosevelta albo wręcz w rzece. Mieszkanie było ponure i działało na mnie tak depresyjnie, że aż dziw, że nie zrobiłam tych kilku kroków. Zawsze, niezależnie od tego jak bardzo starałam się je ożywić, przypominało wnętrza z bardzo starych seriali widziane w bardzo starym, czarno-białym telewizorze. Ale prawdę powiedziawszy, niespecjalnie starałam się je ożywić.

Kate uważa, że wystarczyłoby przykryć materac jaskrawą narzutą. Zawsze odpowiadam, że nie mogę szarpnąć się na narzutę, bo jestem bez grosza, ale tak naprawdę to nie chcę wydać ani grosza na to mieszkanie. Kate, którą poznałam w pracy trzeciego dnia po przyjeździe do Nowego Jorku i która dzięki hojności swoich bogatych rodziców mieszkających w Mobile zajmuje całe piętro domu z czerwonego piaskowca usytuowanego w samym sercu West Village, mogłaby mnie nie zrozumieć.

Nie będę wydawać pieniędzy na swoją kawalerkę z prostego powodu: nie chcę, żeby zaczęła przypominać prawdziwy dom. Jeśli zacznę ją oswajać, będzie to znaczyło, że zamierzam zamieszkać tam na stałe. A ja nie chcę skończyć w ponurym mieszkaniu w East Village.

Chcę zamieszkać z Willem.

I to jak najprędzej. I na zawsze.

- Pomyśl tylko - usłyszałam głos Kate. - Szekspir na wolnym powietrzu w Central Parku.

Wzruszyłam ramionami.

- Kto wie? Może Will dostanie rolę w którejś ze sztuk Szekspira.

- Tak myślisz?

Znowu wzruszyłam ramionami. Dobrze wiedziałam, że latem w kurortach gra się nie Szekspira, ale popularne musicale.

- Włoskie lody kupowane na ulicznych straganach - perorowała dalej Kate. - Weekendy w Hamptons...

Parsknęłam śmiechem.

- Wynajmuję tam domek na plaży - ciągnęła. - Do spółki z kilkoma osobami, ale zawsze możesz do mnie przyjechać.

Gadała i gadała o urokach lata, co było dość irytujące, bo w szarą, majową sobotę, zimną i dżdżystą na dodatek, wakacje wydawały się niewyobrażalnie odległe.

Szłyśmy Broadwayem, który tutaj, w swojej dolnej części, roił się od ekscentrycznych typów z nowojorskiego uniwersytetu, z kolczykami wbitymi w co się da. Między nimi pętały się gromady podmiejskich nastolatków, którzy

postanowili spędzić sobotę na Manhattanie, młode małżeństwa pchały wózki z niemowlętami, a wynajęci przez różne sklepy ludzie co krok wpychali przechodniom karteczki z informacjami o superokazjach. Na rogu Broadwayu i Ósmej Ulicy wrzuciłyśmy nasze kubki do przepelnionego kosza na śmieci i Kate zajęła się kontemplacją kłapek w kolorze odbłaskowego rózu jedynie za sto dolarów. Zostawiłam ją przed oknem wystawowym butikiu i zagłębiłam się w czeluście metra.

Na peronie zawsze staję jak najdalej od torów, najlepiej tuż przy ścianie, co wymaga stałej uwagi, bo nigdy nie wiadomo, jaki rodzaj bakterii tylko czeka, żeby przeskoczyć na mój jasnogranatowy, wełniany pulower. Z tej pozycji śledziłam kątem oka niechlujnego faceta, który chodził tam i z powrotem wzdłuż samiuteńkiej krawędzi peronu. Już na pierwszy rzut oka było widać, że coś jest z nim nie tak. Na dworze było pięć stopni, a on był bez koszuli, tylko w szortach i japonkach. Mruczał do siebie coś o brudnych wszach, a może o brudnych wsiach - nie wiem, bo omijałam go szerokim łukiem. Zresztą nie ja jedna.

W Nowym Jorku co chwilę słyszy się o niewinnych pasażerach, którzy zostali zepchnięci pod nadjeżdżający pociąg. Mój przyjaciel Raphael był nawet świadkiem takiego wydarzenia. Wszystko dobrze się skończyło, bo tamtemu nieszczęśnikowi udało się stoczyć z torów dosłownie w ostatniej chwili. Facet, który go pchnął, wyglądał jak normalny biznesmen. Tak przynajmniej utrzymuje Raphael. Miał na sobie garnitur, a w rękę teczkę. Podczas przeszukania policja odkryła, że w teczce było pełno żywych gryzoni, co może nie ma specjalnego znaczenia poza jednym: w wielkim mieście nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia i dlatego lepiej jest stać plecami do ściany. Co zawsze robię.

W końcu rozległ się charakterystyczny łoskot, a potem w tunelu ukazały się światła. Kiedy pociąg linii N wtaczał się na stację, ruszyłam peronem i zajęłam pozycję dokładnie tam, gdzie otwierają się drzwi. Coś takiego jest możliwe dopiero po kilku miesiącach dojazdów tą samą linią metra.

W zatłoczonym wagonie było gorąco, cuchnęło potem i chińskim jedzeniem. Że słuchawek stojącego obok młodzieńca walił hip-hop. Pociąg szarpnął i ruszył. Próbując utrzymać równowagę, złapałam za pokryty milionami zarazków drzątek i zaczęłam myśleć o Willu. Ciekawe, czy już wstał? W soboty lubi spać do południa albo i dłużej, ale może będzie już na nogach, zanim do niego dotrę? Will dzieli kawalerkę z Nerissą, którą poznał zeszłej jesieni. Oboje starali się o role w tym samym przedstawieniu.

Czy nie przeszkadza mi, że Will mieszka z inną kobietą?

Bardzo chciałabym odpowiedzieć, że nie, ale tak naprawdę nie miałabym nic przeciwko temu, żeby już jutro ktoś wepchnął Nerissę pod nadjeżdżający pociąg linii N. Nerissa jest giętka jak puma i bardzo ładna. Pochodzi z Anglii i jest tancerką, a od kilku miesięcy tańczy w przedstawieniu, które pokazuje na off-Broadway*.

* Off-Broadway - dosł. „poza Broadwayem”. Określenie małych teatrów o ambicjach artystycznych, które działają poza rejonem Broadwayu. Określenie off-off Broadway dotyczy teatrów niezależnych, ulokowanych jeszcze dalej od rozrywkowego centrum.

Sypia na materacu za wysokim, składanym parawanem z Ikei, a Will na swoim wielkim łóżku. Nie, nie dzielą łóżka Willa,

Owszem, tak. Wierzę w to. W końcu - Nerissa ma chłopaka, Szkota o imieniu Broderick, który jest zawodowym graczem w golfa, a Will ma mnie. Ale czasami niepokoję się, widząc wzrok, jakim mierzy Nerissę, paradującą po mieszkaniu w luźnych bawełnianych spodniach, w obcisłym trykocie i bez stanika, na co może sobie pozwolić tylko ktoś, kto ma sprężyste biust i ani centymetra tłuszczu na biodrach.

Bo ja nie mogę narzekać na brak ciała, i to nie tylko porównując się z Nerissą. Mam wszystko - biodra, uda i pośladki. Już mówiłam, że moje staniki w żadnym wypadku nie przypominają półprzezroczystych szmatek z koronki na cieniutkich szelkach. Z majtkami jest podobnie. Nie bardzo można nazwać je majteczkami albo figami. To poważne części garderoby, bawełniane i na tyle mocne, żeby utrzymać na przyzwoitym poziomie wrodzone falowanie niektórych części mojego ciała, które na dodatek ma jeszcze niebezpieczną skłonność do obwisania tu i tam.

Will przepada za prawdziwą bielizną. Taką, jaką bez żadnych wątpliwości wypełniona jest górna szuflada stylowej toaletki Nerissy. Znam upodobania Willa, bo kiedyś na ostatnim roku studiów - od kilku miesięcy oficjalnie byliśmy już parą i czułam, że lada dzień zostaniemy kochankami - kupił mi body z jedwabnej satyny i koronki. Na metce figurowało nazwisko Diora, całość miała kolor szampana i była o dwa numery za mała - co mogłam wedle własnego uznania przyjąć za komplement lub za aluzję.

Body od Willa miałam na sobie kilka razy, zawsze jednak pod spód zakładałam stanik i majtki. Dla osoby z moją figurą nienoszenie stanika zakrawałoby na czyn obsceniczny. Majtki z kolei były koniecznością, bo body zapinało się w kroku na zatrzaski, które puszczały z hukiem przy każdym

ruchu. Albo byłam za wysoka, albo za gruba, albo - co najbardziej prawdopodobne - składały się na to obie te przyczyny. W końcu zamieniłam zatrzaski na prozaiczne haftki. Szycia nauczyli mnie w szkole w Brookside i nigdy nie przypuszczałam, że wykorzystam tę umiejętność do czegoś tak zdrożnego jak usunięcie zatrzasków z seksownej bielizny, podarowanej mi przez mężczyznę, z którym zamierzałam wdać się w romans przed ślubem.

Trudno powiedzieć, czy Will był naprawdę poruszony, oglądając mnie w przerobionym satynowym body od Diora, spod którego wyglądały szelki stanika szerokie jak autostrada oraz nogawki moich statecznych, bawełnianych majtek firmy Hanes. Wtedy bardzo chciałam wierzyć, że nie mógł mi się oprzeć, ale patrząc z dzisiejszej perspektywy, nie jestem już tego taka pewna.

Pierwszy raz poszliśmy do łóżka po dwóch butelkach wspólnie wypitego czerwonego wina. Działo się to w mieszkaniu, które Will dzielił z parą gejów, aktorów ze studenckiego teatru. Obaj wyszli akurat na próbę musicalu *Guys and Dolls*, w którym nie obsadzono Willa, a wszystko dlatego, że (według Willa oczywiście) Geoff Jefferson, który uczył teatru na naszym uniwersytecie, miał fobię na punkcie heteroseksualistów. Piliśmy wino i Will obrzucał błotem Jeffersona. Kiedy wypiliśmy wszystko, rzuciliśmy się na siebie i na pierwsze lepsze łóżko

- w tym przypadku należące do André. Tak więc straciłam dziewictwo na pościeli uszytej z wytwornej egipskiej bawełny importowanej z Włoch i pod plakatem z Marilyn Monroe stojącej na kracie wentylacyjnej metra. Nad spoconym ramieniem Willa przez cały czas widziałam jej uniesioną pędem powietrza spódnice.

A skoro o metrze mowa... Pociąg dojeżdżał do Time Square. Wsiadłam i po chwili byłam na ulicy wśród jaskrawych szyldów różnego rodzaju „tematycznych” jadłodajni o rozmiarach przekraczających ludzką wyobraźnię oraz sklepów z pamiątkami ulokowanych tam, gdzie jeszcze niedawno były różnego rodzaju peep show, kina pornograficzne i bary topless. Prawdziwie prorodzinny fragment miasta! Poruszałam się ramię w ramię z imigrantami o różnych odcieniach skóry, turystami z nadwagą, z brzuchami przeciętymi paskami od toreb oraz z wycieczkami szkolnymi, które kolektywnie przystawały, żeby pogapić się na studio MTV po drugiej stronie Broadwayu. Szłam na północ: dwie krótkie przecznice w górę Manhattanu, i na zachód: dwie długie przecznice w poprzek wyspy.

Po drodze kupiłam papierosy i dzisiejszą gazetę w znajomym kiosku na rogu. Pakistański właściciel sklepiku czasami wita mnie jak starą znajomą, a

czasami zachowuje się, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. Muszę przyznać, że to cholernie denerwujące.

Dzisiaj obdarzył mnie szerokim uśmiechem. A więc znowu jesteśmy przyjaciółmi.

- Dzień dobry! - prawie krzyknął, jak zwykle zresztą. - Jak się pani masz?

- Nieźle - uśmiechnęłam się w odpowiedzi. - A pan? Pokręcił głową i zapatrzył się w pochmurne niebo.

- Ta pogoda. Za zimno. Za szaro.

Rozłożyłam ręce. Zawsze byłam niezła w rozmowach tego typu.

- Wydaje się, że lato nigdy nie przyjdzie.

- Przyjdzie, przyjdzie - powiedział z przekonaniem. - A jak już będzie, to narzekasz.

Zastanawiałam się, czy użycie drugiej osoby wynikało z jego nieznajomości angielskiego, czy rzeczywiście mówił do mnie. Jeśli tak, to miał rację. Moje perspektywy na lato były żałosne - i to nie tylko z powodu upału i duchoty, które panowały tu od czerwca do września, ale z powodu wyjazdu Willa.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Kawalerka Willa mieści się na dwudziestym szóstym piętrze wieżowca z marmurowym holem, portierem i trzema windami. Mieszkając niemal całe życie w małym miasteczku, tak właśnie wyobrażałam sobie typowe nowojorskie mieszkania. Może nie tyle mieszkania, co budynki, bo sama kawalerka jest dość paskudna. Ale w końcu większość mieszkań jest paskudna, prawda? Tylko że ja za często oglądałam w Brookside telewizję. Przeważnie seriale, które jak wiadomo na ogół rozgrywają się w Nowym Jorku.

Przyzwyczyłam się do widoku dwupokojowych mieszkań z wielkimi oknami i schodami przeciwpożarowymi tak szerokimi, że pełnią rolę tarasu oraz do przestronnych kawalerek na West Side, nie mówiąc już o domach z brązowego piaskowca w Brooklyn Heights, gdzie są nawet podwórka.

Ha!

O swoim mieszkaniu powiedziałam już dostatecznie dużo.

Mieszkanie Willa składa się z jednego, całkiem sporego, kwadratowego pokoju z kwadratowym, biurowym w stylu oknem oraz z kuchni, która ma rozmiary podestu na klatce schodowej w domu moich rodziców. Łóżko Willa stoi pod oknem, a materac Nerissy i jej toaletka ukryte są za wspomnianym już parawanem tuż przy drzwiach do kuchni. Pośrodku znalazło się jeszcze miejsce dla tandetnej, rozkładanej kanapy pokrytej czarną skórą, którą Will kupił od poprzedniego lokatora, kiedy okazało się, że narzeczona tamtego nie chce jej widzieć w ich wspólnym domu, oraz dla regału, zarzuconego kompaktami, scenariuszami, programami teatralnymi i sprzętem gimnastycznym. Jest tam też kilka książek - na ogół klasyka w tanich, kieszonkowych wydaniach - których Willowi nic udało się sprzedać po ukończeniu dwóch semestrów literatury amerykańskiej na naszym uniwersytecie.

Gdyby ktoś spodziewał się, że wpuściwszy mnie na klatkę schodową, Will będzie czekać w otwartych drzwiach lub przynajmniej w ich pobliżu, muszę wyprowadzić go z błędu. Pukałam dwa razy, zanim mi otworzył, cały potargany i ziewający. Najwyraźniej dopiero teraz zwlókł się z łóżka.

Mimo to wyglądał fantastycznie. Przynajmniej ja tak uważałam.

Kate oświadczyła kiedyś po wypiciu dwóch sporych porcji bourbona w barze hotelu Royalton, że według niej Will ma w sobie coś pedalskiego i że wcale nie pociąga jej jako mężczyzna. Z niewiadomych przyczyn poczułam się wówczas głęboko zaniepokojona. Do dzisiaj łapię się czasem na tym, że

patrząc na Willa, szukam w nim jakichś ukrytych oznak homoseksualizmu - czegoś w rodzaju zbyt miękkich ruchów, albo pewnego rodzaju afektacji, albo lubieżnych spojrzeń rzucanych w kierunku Jamesa, rosłego portiera, który jest zbyt piękny, żeby być hetero. Jak dotąd nie zauważyłam niczego niepokojącego i nie mam pojęcia, dlaczego Kate uznała, że Will jest zniewieściały. Nie wiedziała nawet o roślinach doniczkowych, które zresztą rosną na parapecie w Nowym Jorku równie bujnie, jak w Brookside.

Może zadziałał stereotyp - wielu aktorów musicalowych jest gejami - a Kate, która pochodzi przecież z Południa, łatwo ulega stereotypom. A może to wina dręczącego ją wtedy kaca, a raczej całej serii kaców?

W każdym razie dla mnie Will jest uosobieniem mężczyzny. Ma metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, kwadratową, gładko wygoloną szczękę z pionowym rowkiem pośrodku brody i ciemne włosy, które wyglądają świetnie niezależnie od fryzury (ostatnio Will jest krótko ostrzyżony). Jego oczy nie są ani niebieskie, ani szare, ale mają kolor mojego ulubionego swetra z kolekcji J. Crew, który według opisu z katalogu ma „barwę dymu”. Will codziennie ćwiczy i dlatego jest szczupły i dobrze umięśniony. Lubi czarne golfy i zawsze używa wody kolońskiej.

W moim miasteczku wodą kolońską pachną tylko Włosi - między innymi mój tata i bracia - oraz Jason Miller, miejscowy fryzjer o niejasnej orientacji seksualnej. To znaczy - niejasnej wyłącznie w opinii mojej mamy, która nieraz oddawała się głośnym spekulacjom, dlaczego taki uroczy, przystojny mężczyzna jak Jason nie ma jeszcze żony. Ale moja mama zakłada również, że Lee Harvey Oswald * działał sam oraz że ja chodzę regularnie do spowiedzi i na niedzielne msze.

* Lee Harvey Oswald - zabójca prezydenta Kennedy'ego według oficjalnej wersji tzw. komisji Warrena, wielokrotnie kwestionowanej przez społeczeństwo, a nawet senat USA.

Być może więc to zapach wody kolońskiej wywołał u Kate skojarzenia z pedalstwem.

W każdym razie Will pachnie wspaniale od samego rana, a przynajmniej od momentu, który jest ranem w jego opinii, bo inni o tej godzinie na ogół kończą długie sobotnie śniadanie lub zaczynają myśleć o lunchu. Co więcej - nawet dopiero co obudzony, lekko wygnieciony Will wygląda seksownie i pociągająco. Jakimś cudem nigdy nie ma podpuchniętej twarzy ani nie miłego oddechu.

- Obudziłam cię? - Stałam na palcach, żeby pocałować go w policzek pokryty ledwo wyczuwalnym zarostem.

- Tak, ale nie szkodzi. - Ziewnął szeroko i pomaszerował do kuchni, żeby nalać sobie szklanek zimnej wody ze specjalnego kontenera.

- Jak było wczoraj?

- Jestem skonany. Tłum starych, bogatych bab z East Side i ich flirtujący na prawo i lewo mężowie. Koktajlbar. Do jedzenia carpaccio, chociaż carpaccio wyszło z mody wieki temu.

- A koktajle?

- W takim tłumie trudno cokolwiek zauważyć.

Nie wspomniałam jeszcze, że Will dorabia czasem jako kelner w „Jedź, pij, wychodź za męża”, manhattańskiej firmie obsługującej ekskluzywne, prywatne przyjęcia, których gośćmi są na ogół znani ludzie. Nie dość, że zarabia kupę forsy, to zna plotki o różnych osobistościach, czego mu szczerze zazdroszczę.

- Tracę, posłuchaj. Wiem, że wieczorem mieliśmy iść na imprezę do twojego kumpla, ale ja muszę iść dzisiaj do pracy.

- Co? - Prawie zaniemówiłam z rozczarowania. - Przecież zaplanowaliśmy to kilka tygodni temu! Raphael obchodzi trzydzieste urodziny, a już trzy osoby wystawiły go do wiatru.

Musiałam poczekać, aż Will wypije całą szklanek wody - co robił osiem razy dziennie - zanim usłyszałam, o co chodzi.

- Prosiłem Milosa, żeby nie dawał mi nic na dzisiaj, ale sytuacja jest naprawdę podbramkowa. Jason upadł wczoraj na lodowisku i skręcił kostkę.

Jason, który też kelneruje u Milosa, to nie kto inny jak Jason Kenyon, łyżwiarz figurowy, który kiedyś reprezentował Amerykę na Igrzyskach Olimpijskich. Nie interesuję się sportem, ale nawet ja o nim słyszałam. Wydaje mi się, że w Japonii zdobył brązowy medal. Teraz Jason próbuje grać w teatrze, ale musi być bez grosza jak my wszyscy, skoro zakłada firmową kurtkę, dźwiga gigantyczne tace i sprzęta talerze po bogatych ludziach. Nie żeby była to źle płatna fucha: chłopcy zarabiają po dwadzieścia dolców na godzinę plus napiwki.

- Czy Milos nie mógłby znaleźć zastępstwa?

- Milos nie chce brać przypadkowej osoby. Chodzi o ślub kogoś znanego, więc zależy mu, żeby kelnerzy mieli klasę.

- Rozumiem, że ci to pochlebia, ale co ze mną?

Will odłożył pustą szklanek do zlewu, schylił się i pocałował mnie w policzek.

- Przykro mi, Tracę.

Obrażona, wydełam wargi, ale zaraz zapytałam:

- Czyj to ślub?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie możesz powiedzieć? - zamurowało mnie. Rzuciłam mu ostre spojrzenie, ale zobaczyłam tylko plecy, bo wyszedł z kuchni. - Nawet mnie?

- Jestem zobowiązany do najściślejszej dyskrecji - odpowiedział obojętnym tonem, wrzucając podkoszulek do kosza na brudną bieliznę. - Jutro dowiesz się wszystkiego z gazet.

- Powiedz mi teraz. Umieram z ciekawości.

- Nie mogę. Sam nawet nie wiem, gdzie odbywa się ten ślub. Znam tylko hasło. Mam powiedzieć je kierowcy, który będzie czekać w umówionym miejscu, a potem dowiedzie mnie, gdzie trzeba. Wszystko otoczone jest najściślejszą tajemnicą - nie chcą, żeby informacje przeciekły do prasy.

- Will! - Byłam na niego wściekła. - Czy ty naprawdę myślisz, że mam zamiar dzwonić do plotkarskich gazet?

Zaśmiał się tylko i zdjął bokserki.

- Wszystkiego dowiesz się jutro.

- Tak. Razem z całą resztą świata - mruknęłam, patrząc, jak celuje nimi do kosza.

W przeciwieństwie do mnie Will nie ma żadnych oporów przed chodzeniem nago. Ja nie zrobiłabym tego nigdy, nawet w jego obecności. Szczególnie w jego obecności. Paraliżowałaby mnie świadomość, że widzi moje uda trzęsące się w rytm każdego kroku. Nie mówiąc już o piersiach, dyndających w okolicach pępka. Zresztą nawet gdybym miała figurę modelki, nie zdobyłabym się chyba na paradowanie po domu bez ubrania.

Niektórzy mówią, że to się zmienia po urodzeniu dziecka. Moja siostra, Mary Beth, która ma już dwoje, twierdzi, że po tym jak kilka godzin leżała rozkraczona w pokoju, do którego co chwilę wchodziłi obcy ludzie, żeby włożyć jej rękę do samej macicy, wszystko jej jedno, kto widzi ją rozebraną. Chyba nie kłamie, bo ostatnio zapisała się na gimnastykę i zaczęła chodzić do łaźni parowej. Ona, która po skończeniu czwartej klasy tak się wstydziła, że po wufie nigdy nie weszła pod prysznic i mama musiała pisać jej usprawiedliwienia!

Ja też się wstydziłam, ale zanim doszłam do czwartej klasy, mama zdążyła urodzić moich trzech braci, którzy nie mieli żadnych oporów. Potrafili zdjąć majtki przy mnie i moich koleżankach po to, żeby dla zabawy pierdnąć nam

prosto w nos. Kiedy więc ja, dla uniknięcia szkolnych pryszniców, zaczęłam apelować do jej poczucia skromności, nie miała dla mnie nawet cienia litości.

- Wstydzisz się brać prysznic w obecności innych? Trudno. Musisz to w sobie zwalczyć - powiedziała.

- Zresztą bardzo potrzebuję forsy - rzucił Will w moim kierunku. - Wyjeżdżam już za kilka tygodni, a przez całe lato nie mam szansy na żadną forszę.

- Myślałam, że letnie występy są płatne.

- Są płatne, ale to grosze w porównaniu z pieniędzmi, które zarabiam u Milosa. Idę wziąć prysznic, a potem możemy zjeść gdzieś śniadanie.

- Chyba lunch - poprawiłam go.

- Jak zwał, tak zwał - odwrócił się w drzwiach łazienki i widząc, że wyjmuję papierosy, dodał szybko. - Słuchaj, czy mogłabyś tu nie palić?

Znieruchomiałam z papierosem wzniesionym do ust.

- Dlaczego nie?

- Nerissa tego nie lubi. Mówi, że po każdej twojej wizycie jej ciuchy śmierdzą dymem.

- Aha - mruknęłam, zastanawiając się, co mam teraz powiedzieć.

Całkiem niepotrzebnie, bo Will właśnie zamknął za sobą drzwi od łazienki.

Mam nie palić u niego w mieszkaniu? Straszne. Sięgnęłam po kolorowy magazyn leżący na podłodze i rzuciłam się na kanapę. Przerzucałam bezmyślnie strony i próbowałam ochłonać. Nerissa nie chce cuchnąć papierosami. To w pewnym sensie zrozumiałe, zważywszy na kraj, z którego pochodzi. Ale wyprowadziła mnie z równowagi. Poczułam się jak ktoś, komu wytknięto jakieś bardzo brzydkie nałogi, które w dodatku naruszają spokój innych.

Może i palenie należy do takich nałogów, ale moje papierosy nigdy dotąd nie przeszkadzały Willowi. Zdarzało mu się nawet pociągać mojego. Pewnego razu stwierdził, że gdyby nie śpiewał, na pewno zostałby palaczem. Teraz, w głębi duszy, byłam urażona, że nie stanął po mojej stronie. Co by mu szkodziło powiedzieć Nerissie, że mogę palić, kiedy mi się tylko chce, bo to jego mieszkanie. To znaczy - on je wynajmuje. Im dłużej o wszystkim myślałam, tym bardziej marzyłam o papierosie.

Wyobraźcie sobie, że wcale nie zaczęłam palić w szkolnych toaletach w podstawówce. Nie pochodzę z rodziny palaczy. W naszym domu palił tylko dziadek. Vinniego, który niedługo zostanie moim byłym szwagrem, nie liczę. Wprawdzie u dziadka rok temu lekarze wykryli raka płuc, ale jeśli ktoś myśli,

że ja z tego powodu rzucę papierosy, grubo się myli. On ma osiemdziesiąt lat! Oczywiście, że kiedyś przestanę palić - za parę lat, po ślubie, kiedy uznam, że już czas zająć w ciążę. Nie uważam, żeby narażanie płodu na działanie nikotyny i substancji smolistych było właściwe. Na razie jednak moje palenie nikomu nie przeszkadza.

Z wyjątkiem Nerissy, jak się okazało.

Pierwszego papierosa zapaliłam dopiero na studiach. Sofia, moja przyjaciółka, zaczęła palić, żeby schudnąć. Przysięgała, że to skuteczne. Ale zanim skończyłyśmy pierwszy rok, Sofia wylądowała w klinice w Cleveland z powodu anoreksji, więc nawet nie zdążyła wpaść w nałóg. Miała na głowie inne kłopoty. Nie mam się czym chwalić, ale Sofia z papierosem w dłoni bardzo mi się podobała. Poza tym zawsze próbowałam wszystkiego, co pomagało schudnąć. Z wyjątkiem oczywiście gimnastyki i ograniczenia jedzenia.

Kiedy patrzę na rozkładówkę ze zdjęciami gwiazd i gwiazdek wchodzących na galę z okazji rozdania Oscarów, myślę, że dałabym wszystko, żeby mieć ich figurę. Duże piersi, cienka talia, żadnych bioder, zero tłuszczu na udach... Natura poskąpiła mi tego wszystkiego. Poza biustem. Pochodzę z rodziny, w której kobiety od pokoleń mają czym oddychać. Nie przesadzam. Moja babcia ze strony matki do dzisiaj nosi wielki, szpiczasty biustonosz w stylu lat czterdziestych. Najpierw wchodzi piersi, a dopiero potem ona, słowo daję. Co więcej - babcia wciąż jest bardzo dumna ze swojej - jak to umownie nazywa - figury.

Ja nie. Dziękuję bardzo za taką figurę. To, co mam pomiędzy żebrami a obojczykiem, chętnie zamieniłabym na płaskie ciało dziesięcioletniego chłopca. Dobrze wiem, że modelki o sylwetce wychudzonej sieroty wyszły z mody kilka lat temu, ale trudno.

Możę wrócić A rubensowskie kształty nigdy już nie będą na topie.

W łazience Willy śpiewał jakąś piosenkę w stylu Rogersa i Hammersterna. Willy ma świetny głos. Naprawdę tak myślę. Czasami wołałabym, żeby rzucił w diabły te wszystkie teatry na Broadwayu i został piosenkarzem. Ale on nawet nie myśli o nagraniu płyty. Marzy o karierze scenicznej.

Jak dotąd wystąpił tylko w dwóch przedstawieniach wystawionych przez pomniejsze teatry off-off Broadwayu. Jedno było wznowieniem mało znanego musicalu granego niegdyś na Broadwayu, drugie natomiast dziełem jego kolegi z kursów aktorskich. Oba zdjęto po kilku tygodniach.

Dlatego letnie występy są dla niego tak ważne.

Staram się zrozumieć jego punkt widzenia, ale wolałabym, żeby powiedział, że będzie za mną tęsknić. Albo zaproponował, żebym pojechała z nim. Nie musiałabym czekać na odpowiednią chwilę, żeby sama podsunąć mu taki pomysł.

Tak naprawdę to jeszcze nie przemyślałam całej sprawy. Wiem, że nie mogłabym mieszkać z Willem, bo wszyscy aktorzy zakwaterowani są w jednej bursie wynajętej tylko dla nich, ale nie mam pojęcia, czy w miasteczku oddalonym o godzinę drogi od Albany łatwo jest wynająć mały pokój. O pracę się nie boję. W sezonie turystycznym na pewno coś się znajdzie. Nie mam wielkich wymagań - mogę być kelnerką albo bawić dzieci.

Wiem, co sobie teraz o mnie pomyśleliście. Ale czy tak trudno zrozumieć, że człowiek nie ma ochoty zostawać w gorącym i śmierdzącym mieście, jeździć zatłoczonym metrem na dziewiątą rano i siedzieć w pracy do piątej po południu, odpowiadając na telefony i przepisując cudze listy? Z wielką przyjemnością zajmę się przez chwilę czymś innym.

A kariera zawodowa? Przecież jesienią mogę znaleźć pracę w następnej agencji reklamowej. Albo coś zupełnie innego. W gruncie rzeczy nigdy nie pociągała mnie perspektywa bycia copywnterem. Tak wyszło, bo w końcu co innego można robić z dyplomem z języka angielskiego w ręku?

Poza uczeniem w szkole, oczywiście.

Cała moja rodzina uważa, że powinnam zostać nauczycielką. Według nich to doskonała praca dla kobiety. Mama była nauczycielką, zanim wyszła za ojca. Ciotka Tania do dzisiaj uczy w gimnazjum. Moja siostra Mary Beth była nauczycielką przed ślubem i podczas małżeństwa z moim eks-szwagrem Vinniem, który oznajmił jej pewnego dnia prawie rok temu, że już jej nie kocha.

Mary Beth była naprawdę załamana. Łatwo ją zrozumieć, bo mają z Vinniem dwoje dzieci, ale jeśli kogoś interesuje moje zdanie, uważam, że dobrze się stało. Vinnie zawsze flirtował z innymi kobietami, szczególnie po tym, jak Mary Beth utyla po urodzeniu synów. Po każdym dziecku przybyło jej dziesięć kilo.

Teraz pracuje nad nadwagą. Zapisła się na siłownię. Już nie uczy. Straciła pracę dosłownie na tydzień przed tym, zanim Vinnie ją rzucił. Była na dnie, ale Vinniego to nie powstrzymało. Dokopał jej jeszcze mocniej. Mówię o tym, żeby pokazać, jaki to typ faceta.

W łazience zapanowała nagle cisza i chwilę później wymaszerował z niej Will w obłoku pary i z ręcznikiem okręconym wokół bioder. Ciekawe, czy

zachowuje się tak samo, kiedy Nerissa jest w domu? Znając jego luźny stosunek do nagości, można sądzić, że tak. Ale w końcu - o co mi chodzi? Nerissa ma chłopaka, a Will ma mnie, więc do niczego między nimi nie może dojść. Po prostu dzielą mieszkanie i już.

I już?

- Co się stało? - zapytał Will.

- Nic. Czytam gazetę.

- Dziwnie na mnie spjrzałaś. Masz jakiś kłopot?

- Skądże. - Cholera!

Wzruszyłam ramionami, on też i wtedy ręcznik opadł na podłogę. Udałam, że nie mogę się oderwać od artykułu o niedawnych zmianach w obsadzie przedstawienia Road Rules. To nie był dobry czas na podejmowanie tematu mojego wyjazdu. Lepiej spróbuję po lunchu. A może powinnam zapomnieć o tym pomyśle?

W pewnym sensie ciągnięcie się za Willem na letnie występy dowodzi, że jestem gotowa na wszystko. Można by pomyśleć, że się boję, że go stracę, kiedy tylko zniknie z Nowego Jorku. Albo że chcę mieć go stale na oku i sprawdzać, czy mnie nie oszukuje.

Ale wiecie - tak jest naprawdę. Gdzieś w tyle głowy wciąż czai mi się myśl, że Will mnie oszukuje, mimo że nie powiedział ani nie zrobił niczego, co można by uznać za dowód zdrady. Mam przecucia, i tyle. Nie przez cały czas. Przychodzą i odchodzą, więc mogą również świadczyć o mamie prześladowczej Raphael zawsze mówi, że poczucie własnej wartości nie jest moją najmocniejszą stroną.

Obserwowałam spod oka, jak Will wkłada džinsy, grubą, granatową bluzę i wiąże tenisówki.

- Gotowa? - odwrócił się do mnie.

Skinęłam głową i sięgnęłam po sweter i torbę. Na korytarzu wzięłam go za rękę - Will nie jest dobry w okazywaniu uczuć. Twierdzi, że cała jego rodzina zachowuje się raczej powściągliwie. Moi rodzice biorą w objęcia wszystkich, którzy znajdują się na ich drodze i prawdopodobnie dlatego ja odczuwam potrzebę dotyku częściej, niż powinnam. Ale Will już się do tego przyzwyczaił. Szybkim ruchem uścisnął mi czubki palców i cofnął dłoń, żeby przywołać windę. Można to było zrobić drugą ręką, pomyślałam. Zaraz jednak uznałam, że się czepiam, i nie odezwałam się ani słowem.

Tak naprawdę chciałabym, żeby Will szalał za mną tak, jak ja szaleję za nim. Czasami lubię myśleć, że tak właśnie jest, tylko on nie umie tego okazać.

Kiedyś na przykład, chyba parę lat temu, mówił do mnie „kochanie”. Nie „żabko”, „misiu”, „malutka”, tak jak to bywa między chłopakiem i dziewczyną, ale „kochanie”. Może miał dobre intencje, ale mnie to wkurzało. W ten sposób stare, nudne nauczycielki zwracają się do swoich ulubionych uczennic „Oczywiście, kochanie, że możesz wyjść do toalety, ale pamiętaj, żeby nie spóźnić się na test z nauki o społeczeństwie”

„Kochanie” Willa nie było ani czułe, ani romantyczne, tylko takie jakieś wymuszone. Kuliłam się w sobie za każdym razem, kiedy to słyszałam - szczególnie w towarzystwie, ale nie mogłam się zdobyć na prośbę, żeby tego nie robił. W końcu przestał sam z siebie. Może zauważył, że ja nigdy tak do niego nie mówię, a może zdał sobie sprawę, jak sztucznie to brzmi.

Ale kiedy przestał, zaczęło mi tego brakować. Nie było to dużo, ale przynajmniej coś. Bo tak naprawdę, bardzo chciałabym, żeby Will wymyślił mi jakieś przezwisko, ale nie wiem, jak mu o tym powiedzieć. Przecież nie mogę wyskoczyć ni stąd ni zowąd z propozycją w rodzaju: „Wiesz, kiedy byłabym naprawdę szczęśliwa? Kiedy nazywałbyś mnie swoim Prosiaczkiem albo Żuczkiem”.

Wcale nie byłabym wtedy szczęśliwa. Żuczek. Fuj!

Mam nadzieję, że rozumiecie, o co mi chodzi. Tęsknię za czymś więcej, niż mam. Szczególnie teraz, kiedy Will wyjeżdża, czuję potrzebę jakichś konkretnych deklaracji. Wiem, że trzy lata chodzenia ze sobą są czymś bardzo konkretnym, ale chcę czegoś więcej i nic na to nie poradzę.

Kiedy Will dał ogłoszenie do gazety, że szuka lokatora, byłam dotknięta do żywego. Miałam nadzieję, że przynajmniej rozważy możliwość naszego wspólnego zamieszkania. W końcu postanowiłam sama poruszyć ten temat. Prawdę mówiąc, było to bardziej zasługą Kate i Raphaela niż moją. Denerwowałam się przez cały wieczór, a kiedy już, już miałam zacząć, Will powiedział mi o Nerissie.

W tej chwili sytuacja przedstawia się następująco. Po pierwsze: pewien przystojny, pewny siebie aktor, który chorobliwie unika stałych związków, wyjeżdża sobie z miasta. Po drugie: w mieście zostaje przygruba, niepewna siebie sekretarka, opętana ideą stałego związku.

Coś takiego nie rokuje dobrze.

Ale i tak nie powstrzyma mnie przed zamówieniem cheeseburgera z bekonem i smażoną cebulką w barku na rogu.

Ani nie doda mi odwagi, żeby zapytać, czy mogę z nim wyjechać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Raphael co roku urządza ogromne przyjęcie urodzinowe. Za każdym razem odbywa się ono w jego mieszkaniu leżącym w części Manhattanu znanej z licznych pakowni mięsa. Tylko jakiś niewydarzony optymistą, ślepy przygłup albo bardzo cwany pośrednik handlu nieruchomościami mógł nazwać je zaadaptowanym strychem dawnego magazynu. W gruncie rzeczy nic nie zostało tam zaadaptowane. Mieszkanie wygląda i pachnie jak prawdziwy magazyn. Przypomina wilgotną, ciemną pieczarę bez okien i bez mebli. Jestem pewna, że sama Martha Stewart nie dałaby rady przerobić go na dom mieszkalny, nawet mając do dyspozycji tony farby, całe kilometry kretonu i niezliczone zwoje perskich dywanów.

Mieszkanie ma jedną zaletę - jest wielkie, a wielkie przestrzenie są na Manhattanie prawdziwą rzadkością. Raphael umie to docenić i na swoje przyjęcia zaprasza każdego, kogo kiedyś spotkał, i namawia ludzi, żeby przyjeżdżali wszystkich, których om kiedyś spotkali.

Według Kate, która zna Raphaela o rok dłużej niż ja i w związku z tym bywała już na jego przyjęciach, tłum gości składa się zwykle z niewiarygodnie wspaniałych, supermodnych i świetnie ubranych mężczyzn o wyraźnych skłonnościach homoseksualnych i ich równie niewiarygodnie wspaniałych, supermodnych i świetnie ubranych heteroseksualnych przyjaciółek.

Ponieważ w tym roku przypadają okrągłe urodziny Raphaela, można spodziewać: się jeszcze większego tłumu jeszcze wspanialszych, bardziej modnych i lepiej ubranych ludzi.

Raphael wyjaśnił mi, że urządza wyłącznie tematyczne przyjęcia.

W zeszłym roku motywem przewodnim była dżungla. Opaleni mężczyźni owinięci w sarongi. Zwierzęce desenie i temu podobne. Dwa lata temu zorganizował przyjęcie plażowe. Opaleni mężczyźni w bokserkach i temu podobne. W tym roku rzecz ma się dziać na tropikalnej wyspie.

Chyba zrozumieliście, o co chodzi? Raphael planuje tematy tak, żeby jego goście zakładali na siebie minimum ubrań i dostawali do picia maksimum alkoholu pod postacią cudownych, owocowych drinków.

Raphael wypożyczył już sztuczne palmy. Planował pochodnie w kształcie totemów. Z trudem go od tego odwiodłam. Jego przyjaciel Thomas, scenograf na Broadwayu, zbudował już podobno wodospad i lagunę z jakiejś błyszczącej, gładkiej tkaniny. Mrożone koktajle będą serwowane w połówkach orzechów kokosowych. Oczywiście orzechy będą plastikowe.

Na przyjęciu zjawiłam się z dwugodzinnym opóźnieniem. Kate wlokła się z tyłu. To przez nią tak się spóźniłyśmy. Kilka godzin przed przyjęciem zdecydowała się pójść do kosmetyczki, żeby usunąć włoski znad górnej wargi, i musiałyśmy czekać, aż z jej twarzy zniknie piekący, ogniście czerwony obrzęk.

- Jesteś pewna, że dobrze wyglądam? - Złapała mnie za ramię przed drzwiami mieszkania.

Nie wyglądała dobrze. Trzymając się tropikalnej frazeologii, powiedziałabym, że nad górną wargą miała coś na kształt wąsów z hawajskiego ponczu, którego nie zdążyła zlizać. Na nic zdały się kolejne warstwy korektora o odcieniu naleśnika. W mieszkaniu Kate było raczej ciemno i dopiero w metrze zauważyłam, jak naprawdę wygląda jej twarz.

- Świetnie - skłamałam.

- Co mówisz? - Przyłożyła rękę do ucha.

- Że wyglądasz świetnie! - wrzasnęłam, próbując przekrzyczeć głośną muzykę i szum głosów. - Nie mogę tylko uwierzyć, że czekałaś z tym aż do dzisiaj. Dlaczego nie poszłaś do kosmetyczki wcześniej? Choćby wczoraj. Przecież wiesz, że jesteś uczulona na wosk.

- Dopiero dzisiaj zauważyłam, że mam wąsy. Miałam przyjść tu i wyglądać jak facet z jednodniowym zarostem? Dlaczego dzisiaj rano nie powiedziałaś mi, że mam wąsy?

- Niczego nie zauważyłam, Kate. Myślę, że byłam zbyt zajęta własnymi kłopotami.

- Czy wyglądam strasznie? - Kate wypatrzyła w kącie pokoju telewizor i poszła przejrzeć się w jego ciemnym ekranie.

- Tracey! - powitał mnie okrzykiem Raphael, który zmaterializował się u mojego boku ze szklaneczką truskawkowego daquiri w dłoni.

Ucałowaliśmy się.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! - Uściskałam go z całych sił.

Raphael jest naprawdę pięknym mężczyzną. Ma szopę czarnych włosów, kawową skórę i najdłuższe rzęsy na świecie. Ludzie często biorą go za Ricky'ego Martina, a on nigdy nic prostuje pomyłki, rozdziela autografy i z nostalgią opowiada o starych, dobrych czasach spędzonych z Menudo.

- Nie jesteś ubrana, Tracey!

- Jak to: nie jestem ubrana? - Podskoczyłam w udanym przerażeniu i obmacałam się dłońmi. - Przeraziłeś mnie, Raphael.

Żartobliwie uderzył mnie w ramię.

- Wiesz, o co chodzi. Nie przebrałaś się.

- Raphael! Chyba się nie spodziewałaś, że włożę bikini. Tak jest lepiej, uwierz mi.

Dotknęłam czarnego golfa i czarnego blezera, do których włożyłam czarne spodnie o modnej linii. Wydałam na nie majątek we French Connection. Miałam nadzieję, że monochromatyczny efekt wyszczuplający będzie silniejszy niż skojarzenia cmentarne.

- Za to twój strój jest super - dodałam.

- Tak uważasz? - Okręcił się dokoła siebie, pokazując koszulę w tropikalne wzory, krótkie szorty i włoskie skórzane półbuty. - Nie za bardzo gejowski, Tracey?

Gdybyście jeszcze tego nie zauważyli, podpowiadam, że Raphael nadużywa imion, zwracając się do znajomych. Uważa, że tą cechą wyróżnia się od innych.

- Raphael! Od kiedy obawiasz się zbyt gejowskiego wyglądu?

- Odkąd zobaczyłem faceta, którego przyprowadzili tu Alexander i Joseph. Tracey, on jest cudowny. I taki opanowany. Nigdy byś nie powiedziała, że jest homo, jak my wszyscy tutaj.

Machnął ręką w kierunku dość przystojnego i zdecydowanie męskiego faceta zatopionego w ożywionej rozmowie z Alexandrem i Josephem, którzy dziś mieli na sobie identyczne złotawe sarongi dobrane do ich ślubnych, złotych obrączek.

- Jak my wszyscy? Mów za siebie. - I spojrzawszy na faceta, który miał na sobie nie związane z tematem przyjęcia dżinsy i sweter pod szyję, dodałam: - A jeśli on nie jest gejem?

- Daj spokój, Tracey! Kate! - krzyknął głośno, kiedy Kate pojawiła się obok. Złapał ją w pól i wycisnął ognisty pocałunek na jej ustach. Taki ma zwyczaj. Potem cofnął się o krok, zmarszczył brwi i przetaił kciukiem jej górną wargę. - Przepraszam. Obląłem cię swoim daquiri.

- Cholera! - Tym razem południowy akcent Kate był bardzo wyraźny. - To nie twoje daquiri, Raphael. Tracey! - Odwróciła się do mnie z ponurą miną. - Nie mogę wyglądać normalnie. Dalej jestem czerwona i spuchnięta, prawda?

- Nie jest aż tak źle - wykręcałam się nieudolnie.

- Nie jest źle?! To dlaczego Raphael myślał, że mam daquiri pod nosem? - i Kate popędziła do łazienki.

- Depilacja woskiem - odpowiedziałam na pytające spojrzenie Raphaela.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Biedaczka! - On z kolei mówił z lekkim hiszpańskim akcentem. - Przy jej cerze! Zamiast brzoskwini w śmietanie, brzoskwinia w krwistym sosie. Depilacja woskiem to tortura, Tracey.

- Nic o tym nie wiem. Stosuję rozjaśnianie.

- Uwierz, proszę. Wosk to czysta tortura.

- Mam uwierzyć tobie? - zaśmiałam się.

- Mówię serio, Tracey - Spojrzał na mnie wielkimi, poważnymi oczami.

Trzeba wiedzieć, że dla Raphaela istnieją dwa stany ducha. Szalony Entuzjizm oraz Szczerze Zaniepokojenie. W tej chwili w jego minie nie było nic z Szalonego Entuzjizmu.

- Czy to znaczy, że usuwasz wąsy woskiem? - zapytałam niedowierzającym tonem.

- Sam tego nie robię, Tracey - Zamrugął oczami i zadrżał - Przecież od tego mam Cnstofora.

Cristoforo to fryzjer i były kochanek Raphaela, dzisiaj uczuciowo związany ze znanym aktorem grającym w telewizyjnych tasiemcach role zaprzysięgłych macho.

- Cristoforo depiluje ci wąsy woskiem? - powtarzałam zdezorientowana i trochę ubawiona.

- Nie tylko wąsy. Całą twarz. To dużo skuteczniejsze od golenia.

- Wierzę ci. Wyglądasz wciąż jak chłopiec.

- Skoro odkryłaś mój sekret, najwyższy czas zmieszać się z tłumem. - Na jego twarzy pojawił się znowu wyraz Szalonego Entuzjizmu. Złapał mnie za ramię i pociągnął w stronę Alexandra i Josepha.

Złapałam daquin z tacy przechodzącego obok kelnera, który składał się chyba z samych mięśni prężących się pod skórą. Gdyby nie cienki rzemyk na biodrach, byłby całkiem nagi.

- To ty dobierałeś kelnerów? - zapytałam Raphaela.

- Tracey - Pokręcił z wyrzutem głową - To przecież Jones. Poznałaś go kiedyś.

- Jones? Po prostu Jones?

- Po prostu Jones.

- Nie przypominam sobie.

- Musisz go pamiętać.

- Nie.

- Oczywiście, że tak, Tracey jest tancerzem. Mieszka na Long Island. To ten, który zawsze ma przy sobie tiulową, baletową spódniczkę na szczęście. Już wiesz?

Raphael ma nieznośny zwyczaj wmawiania ludziom, że kogoś znają albo że gdzieś byli, nawet jeśli ci nie mają pojęcia, o co chodzi. Robi to ciągle. Kiedyś kłóciłam się z nim do upadłego, ale teraz tylko wzruszyłam ramionami i udałam, że znam Jonesa.

Czy zauważyliście, ile osób w tym towarzystwie ma tylko imię? Albo jednoczłonowy pseudonim? Cristoforo. Jones. Prawie jak w branży muzycznej: Cher, Madonna. To musi coś znaczyć. Już miałam zapytać o to Raphaela, ale nie zdążyłam.

- Jones jedzie na letnie występy do jakiejś dziury w Teksasie. Dostał rolę w chórkach w Hello, Dolly, więc mu powiedziałem, żeby złapał tacę i udawał, że to próba przed występem. Myślałem, że przyjdzie w smokingu albo we fraku, ale sama wiesz, Tracey, jak to jest z Jonesem. Ma piekielną potrzebę demonstrowania swojej fizyczności.

Jak już wspomniałam, nie znam Jonesa ani jego piekielnej potrzeby demonstrowania fizyczności, ale westchnęłam i wzniosłam oczy do nieba, żeby pokazać Raphaelowi, że go rozumiem. Ale nie rozumiałam, więc zapytałam z głupią miną:

- Dlaczego Hello, Dolly?

- Scena z tańczącymi kelnerami w Harmonia Gardens. - Już wiedziałam, ale Raphael tokował dalej. - Pamiętasz? Konkurs tańca i wielkie schody, i piosenka z okazji powrotu Dolly. Ciii! Prawie jesteśmy. - Zamachał nagle rękami, jakbym to ja, nie on, nie mogła się zamknąć.

„Prawie jesteśmy” znaczyło, że niemal dotarliśmy do Alexandra i Josepha oraz ostatniego obiektu zachwyty Raphaela, który zachowywał się nader powściągliwie i wydawał się - jak by to powiedzieć - zupełnie normalny.

- Aruba, Jamajka... Chcę zawieźć go tam... - Raphael zanucił mi do ucha na melodię piosenki Kokomo, która leciała właśnie z głośników. - Tracey! On jest uroczy.

- Jest dość przystojny - zgodziłam się. - Ale nie uroczy. Raphael spojrzał na mnie że zgrozą.

- Tracey! Jak możesz tak mówić! Właśnie, że jest uroczy. Spojrzałam jeszcze raz

Facet miał krótkie, brązowe włosy - zwykłe włosy w starym stylu, bez żadnych, jak to mówi Cnstoforo, stylizacji i bez śladów farbowania, które jest

tak popularne w tym towarzystwie. Miał piwne oczy, zgrabny nos i ładne usta. Kogoś takiego można sobie łatwo wyobrazić, jak uczy w gimnazjum albo pcha kilkuletnie dziecko w wózku na zakupy, albo grabi podmiejski trawnik. Można go sobie wyobrazić w wielu innych miejscach poza tym tutaj.

Jednak był właśnie tu - najzupełniej zwyczajny w niezwykłym tłumie Alexandrów, Josephów i Jonesów. Podejrzewam, że właśnie to zafascynowało Raphaela, który natychmiast ruszył do przodu.

- Joseph - zawołał - Ależ podoba mi się twój sarong! I twój też, Alexandrze. I twój - nie wiem, kim jesteś - sweter też mi się podoba. Z Banana Republic?

- Nie jestem pewien - Facet zmarszczył leciutko nos. Jednak jest uroczy. A jego oczy, które z daleka wydawały się brązowe, z bliska okazały się zielonkawe jak u Irlandczyków. Raphael przez chwilę wydawał się przerażony obojętnością, jaką jego idol żywił dla markowych ubrań, ale szybko się pozbierał.

- Nie znamy się - Wyciągnął rękę - Jestem Raphael Santiago, urodzinowy chłopak. A to moja przyjaciółka, Tracey Spadolini.

- Buckley O'Hanlon. Miło mi cię poznać, Raphael. Cześć, Tracey.

- Cześć - odpowiedziałam, pozerając wzrokiem miskę mimitortilh, stojącą na kartonowym pudle, które udawało stół. Umierałam z głodu. Nie zjadłam kolacji dręczona poczuciem winy z powodu obfitego lunchu, zjedzonego z Willem w barze na dole.

Zrobiłam krok w bok i złapałam garść czipsów, słysząc przy okazji, jak Raphael już w drugim zdaniu rozmowy poinformował nieznanego, że właśnie zerwał ze swoim kochankiem Anthonem, że pracuje pięć dni w tygodniu oraz że niedawno był służbowo w Paryżu.

Kiedy spotkaliśmy się rok temu w sierpniu, Raphael odwaliał prace zleczone w tym samym biurze co ja. Teraz jest asystentem redaktora działu mody w magazynie „She”. To wcale nie jest taka wspaniała praca, jak można by przypuszczać. A podróż do Paryża odbyła się we wrześniu zeszłego roku, ale Raphael mówi o tym tak, jakby leciał concorde'em w najlepszym towarzystwie.

- A ty? Czym się zajmujesz, Buckley?

- Piszę różne teksty. Jako wolny strzelec.

- Pisarz! Niesamowite. Co piszesz, Buckley?

- Hasła reklamowe - odpowiedział z lekkim uśmiechem. - Uwierz mi, że nie ma w tym niczego niesamowitego.

- Poznaliśmy się, bo Buckley pisze tekst do naszego nowego prospektu - wyjaśnił Alexander, wyciągając paczkę papierosów. Jednego podał Josephowi,

drugiego wsadził sobie do ust. Raphael, jak to ma w zwyczaju, natychmiast wysepił papierosa dla siebie. Ja sięgnęłam do kieszeni blezera po swoje salemy. Alexander przypalił cztery razy i wszyscy zaciągnęliśmy się z rozkoszą.

- Wydaje się, że jestem jedynym niepalącym w całym Nowym Jorku - potrząsnął głową Buckley.

- Jutro rzucam palenie - obwieścił Raphael.

- Kiedy wpadłeś na ten pomysł? - zapytał Joseph.

- Kiedy skończyłem trzydzieści lat. Chciałbym dożyć czterdziestki, Joseph. To może okazać się trudne dla kogoś, kto pali trzy paczki dziennie.

- Daj spokój - powiedział Alexander i oboje z Josephem wzniesli oczy do góry. Zbyt dobrze znali Raphaela, żeby nic zauważyć, że popisuje się przed Buckleyem.

Ja też o tym wiedziałam, ale uważałam, że powinniśmy pomóc mu w tej grze. Albo przynajmniej zmienić temat. Więc zmieniłam temat.

- Powiedźcie coś o nowym prospekcie.

Alexander i Joseph natychmiast połknęli haczyk. Obaj uwielbiali mówić o swoim sklepie. Na Bleeker Street prowadzili delikatesy z jedzeniem dla smakoszków. Ich specjalnością były przetwory z hodowanych organicznie roślin. Niedawno postanowili zaprojektować swoją stronę w Internecie i uruchomić sprzedaż wysyłkową.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie - Joseph z radością zatarł ręce - to jesienią będziemy mogli kupić dom na wsi.

- To świetnie - powiedziałam, zerkając na Raphaela.

Był zazdrosny. Nie bardzo mnie to zdziwiło. W tym towarzystwie mało którą parę stać na kupno domu w sielankowej Pensylwanii. A Alexander i Joseph postanowili spędzić następne lata na przebudowach i urządzaniu nowej siedziby.

Muszę przyznać, że mnie też dręczy zazdrość, kiedy patrzę, jak obaj wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Podobny wyraz twarzy widziałam u mojej siostry Mary Beth i jej męża Vinniego niedługo po ślubie, kiedy oznajmili rodzinie, że spodziewają się pierwszego dziecka.

Chciałabym kiedyś żyć w podobnym związku. Oczywiście nie takim jak Mary Beth i Vinnie, bo ich małżeństwo skończyło się wzajemnymi żalami i rozwodem, ale w takim jak Alexander i Joseph. Każdy, z wyjątkiem wielbnego Jerry'ego Falwella, widzi, że tych dwoje to pokrewne dusze.

Raphael opowiadał mi, że Alexander i Joseph, którzy muszą być już dobrze po trzydziestce, od wieków dzielą małe mieszkanie komunalne w Chelsea. Byli tam, zanim Chelsea zrobiło się modne, zanim zamieszkali tam znani ludzie i otwarto super-sklepy w stylizowanym, podmiejskim stylu. Alexander jest wysokim, przystojnym Murzynem, wykształconym w najstarszych amerykańskich uniwersytetach i pochodzi z inteligentnej rodziny z Winchester. Joseph jest niskim Włochem, który skończył zwyczajną zawodówkę, a jego rodzice byli robotnikami ze Staten Island. Dzisiaj obaj mają tyle wspólnych powiedzeń i gestów, że w gruncie rzeczy niewiele różnią się od siebie.

Obok naszej grupy pojawił się Jones i wręczył wszystkim nową porcję daquiri. Było w nim znacznie więcej rumu niż poprzednio, ale wchodziło znakomicie. Od razu poczułam się wstawiona. W takiej sytuacji miałam dwa wyjścia - palić jak komin albo rzucić się na tortillę. Wybrałam opcję pierwszą i odpaliłam drugiego papierosa od niedopałka pierwszego.

- Co jeszcze piszesz, Buckley? - zapytał Raphael nieśmiało. Udawanie nieśmiałego wychodzi mu zazwyczaj bardzo dobrze i znakomicie się sprawdza. Tym razem jednak się nie sprawdziło. Przynajmniej wobec Buckleya, który wydawał się całkowicie niezainteresowany. Albo nieświadomy faktu, że Raphael robi wszystko, żeby go poderwać - chociaż według mnie - tego nie dało się przeoczyć.

Pozostawało jeszcze jedno wytłumaczenie - Buckley nie był gejem. W to jednak nie mogłam uwierzyć. Obok nas przemaszerowali właśnie nowi goście - trójka transwestytów w spódniczkach z zielonej trawy i biustonoszach z połówki kokosa. Co robiłby dosyć przystojny facet o heteroseksualnych preferencjach na takim przyjęciu? W Nowym Jorku?

Niemożliwe.

- Wymyślałam notki na okładki książek. - Buckley wzruszył ramionami.

- Nie wierzę! Buckley, to wprost cudowne! - pisał Raphael z przejęciem.

- Zaręczam ci, że to wcale nie jest ekscytujące. - Buckley wydawał się nieco zmieszany.

- Jakich książek? - zapytałam.

- Wszystkich. Sensacyjnych, romansów, poradników, powieści gejowskich, książek kucharskich - długo by jeszcze wymieniać.

- Powieści gejowskie? Musiałem czytać coś, co napisałeś. - Raphael podskakiwał jak kibicerka w przerwie meczu.

- Przecież piszę tylko streszczenia na okładki - przypomniał mu Buckley, krzywiąc się lekko.

- Pamiętam wszystkie streszczenia. Od nich zależy, czy kupię książkę - oznajmił Raphael.

Wróciła Kate. Bawiła się pasemkiem swoich długich blond włosów, trzymanyh akurat na wysokości górnej wargi, którymi bezskutecznie próbowała zasłonić czerwone znamię.

Pozwoliła, żeby Raphael przedstawił ją Buckleyowi, a potem odciągnęła mnie na bok i zakomunikowała, że wychodzi.

- Nie dziwię się. - Spojrzałam na zaognioną skórę w kolorze szminki starannie pokrywającej jej usta i dopasowanej odcieniem do różowej, plażowej sukienki w tropikalny deseń. - To wygląda coraz gorzej.

- Teraz to mówisz? - zapytała ironicznie. - Wyglądam jak ofiara napaści. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś mi wyjść z domu w tym stanie, Tracey.

Ja sama nie mogłam w to uwierzyć. Ale Will wystawił mnie do wiatru, a ja nie chciałam iść sama na przyjęcie. Nie znoszę chodzić gdzieś sama, mimo że jestem w Nowym Jorku już od roku. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Mogę sama mieszkać, jeździć metrem, mogę nawet chodzić sama po sklepach, ale nigdy się nie zmuszę, żeby sama pójść do kina albo do baru. Nie mówiąc o przyjęciach. Dla dziewczyny z małego miasteczka, którą wciąż jestem, nie ma nic bardziej żalosego.

Taka że mnie przyjaciółka. Kate ma pełne prawo być na mnie wściekła.

- Mogę wyjść z tobą - zaproponowałam nieszczercze.

- Nie, dziękuję.

- Jesteś na mnie wściekła, prawda?

- Eee, tam. - Spróbowała się uśmiechnąć, ale skrzywiła się z bólu. - Nie twoja wina, że mam nadwrażliwą skórę. To dziedziczne. Cała rodzina Delacroix ma to w genach. Tak mówi moja mama.

- Trzymaj się. - Uścisnęłam ją że współczuciem. - Pogadamy jutro.

Okazało się, że podczas tej rozmowy nasza grupa gdzieś się rozeszła. Joseph i Alexander zniknęli. Raphael oddalał się na ramionach transwestytów w spódniczkach z trawy, do wtóru głošnego „Jolly Good Fellow”, ryczanego przez resztę gości. Na miejscu pozostał tylko Buckley O'Hanlon.

- Widzę, że zostałeś porzucony - odezwałam się do niego, przetykając jednym łykiem resztkę daquiri. Gardło zmieniło mi się w wielki sopel lodu.

- Raphael jest tam. - Wskazał głową.

- Uhm. Widzę.

Raphael zeskoczył właśnie z belki pod sufitem i wlał w siebie płonący koktajl, który ktoś włożył mu do ręki. Właśnie tak - płonący. Żywym ogniem. Wszyscy rytmicznie klaskali w dłonie, krzycząc: „Dalej, dalej!”

Czy wspominałam wcześniej, że przyjęcia Raphaela są szalone?

- Alexander i Joseph poszli do kuchni sprawdzić tort. Powiedzieli, że tort ma kształt Puerto Rico, ale podobno coś jest nie tak z Mayaguez.

- Co to jest Mayaguez?

- Na ile zdołałem się zorientować, to albo miasto w Puerto Rico, albo czyjeś imię.

Roześmiałam się. Buckley też się roześmiał.

Naprawdę szkoda, że jest gejem. Chociaż to nie ma znaczenia, bo przecież mam chłopaka. Mam Willa. Willa, który powinien być tutaj ze mną. Czy naprawdę nic go nie obchodzi, że zostało nam coraz mniej czasu? Czy nie rozumie, że powinniśmy spędzać razem wszystkie cenne chwile przed jego wyjazdem na letnie występy beze mnie?

To znaczy - beze mnie, jeśli z nim nie pojedę. Ale jeszcze mogę to zrobić. Sięgnęłam po następne daquiri, które przyniósł Jones, i zapytałam Buckleya, czy był kiedyś w górach Adirondacks.

- Nie. Dlaczego pytasz?

No to powiedziałam mu dlaczego. Wyjaśniłam, że chcę spędzić wakacje w górskim miasteczku i zastanawiam się, czy łatwo jest znaleźć tam pracę i tani pokój.

- Chyba powinnaś to sprawdzić, zanim zaczęłaś robić plany - oznajmił rzeczowo.

- Wiesz, Buckley, nigdy nie mogłam znieść, że jesteś taki cholernie praktyczny - powiedziałam i dźgnęłam go palcem w pierś.

W pierwszej chwili był zaskoczony, ale zaraz zorientował się, że żartuję, i parsknął śmiechem.

- Wybacz, Tracę, ale nigdy nie przestanę ci powtarzać, że trzeba działać systematycznie. Nie można rzucać się przed siebie na łeb na szyję. Jesteś już dużą dziewczynką i powinnaś to zrozumieć.

- Oj, Buckley, Buckley - westchnęłam z rozpaczą. - I co ja mam z tobą począć? Najwyższy czas, żebyś się rozluźnił i zaczął żyć.

- Nie jesteś pierwszym człowiekiem, od którego to słyszę - odpowiedział smutno, a ja miałam nieodparte wrażenie, że tym razem nie całkiem żartuje.

- Naprawdę? Pokiwał głową.

- Osoba, z którą do niedawna byłem związany, uznała, że jestem nie dość spontaniczny, i mnie rzuciła. Ale tobie mogę powiedzieć, że to nieprawda. Jestem spontaniczny. Kiedy ubierałem się na to przyjęcie, o mało nie włożyłem beżowego swetra. I w ostatniej chwili - mówię ci, dosłownie w ostatniej chwili, tuż przy drzwiach - zdecydowałem się na granatowy.

- No, no, człowieku! - zatoczyłam się ze zdumienia. - Zdziwiasz mnie swoją spontanicznością.

Oboje o mało nie umarliśmy ze śmiechu. Zaimponowało mi jego poczucie humoru. Lubię ludzi, którzy opowiadają dowcipy z kamienną twarzą. A on jest na dodatek miły. Byłby świetny dla Raphaëła, który zwykle wdaje się w romanse z pięknymi chłopaczkami skupionymi tylko na sobie albo z ekscentrycznymi typami z kręgów artystycznych.

Rozmawialiśmy chwilę, a ja robiłam wszystko, żeby przedstawić Raphaëła z najlepszej strony. Powiedziałam, że jest wielkoduszny i zabawny. że zna się na rozrywce najlepiej ze wszystkich ludzi - bo przesłuchuje wszystkie płyty, zanim jeszcze pojawią się na antenie, ogląda wszystkie broadwayowskie przedstawienia wcześniej od recenzentów i chodzi do kina na każdy nowy film, bez względu na to, co mówi o nim krytyka.

- Widział Flight of Fancy na przedpremierowym pokazie, jeszcze zanim wokół filmu zrobił się taki szum.

Flight of Fancy to ostatni wielki przebój we wszystkich multikinach. Podobno zakończenie filmu jest absolutnie nieprzewidywalne. Podobnie jak w Szóstym zmyśle. Oszalałam, kiedy się o tym dowiedziałam. Jestem chora, kiedy nie wiem, jak coś się kończy. I zawsze zaglądam na koniec każdej powieści Mary Higgins Clark, zanim jeszcze dojdę do połowy książki. Po prostu muszę wiedzieć, kto jest mordercą.

- Ale chyba nie opowiedział ci zakończenia, zanim sama poszłaś do kina? - zapytał Buckley.

- Nie, nie chciałam. A ja wciąż jeszcze nie widziałam filmu.

- Żartujesz! Myślałam, że wszyscy go widzieli.

- Ja nie. Wszyscy go widzieli, więc nie mam z kim iść. Taka jest prawda. Raphael poszedł sam. Kate umówiła się do kina na randkę w ciemno. Wszystkie moje koleżanki z pracy też już go widziały. Ale najgorsze jest to, że kilka tygodni temu Will obejrzał film ze swoimi znajomymi z pracy. Poszli do kina, bo impreza, na której kelnerowali, skończyła się wcześniej. Byłam wściekła, kiedy mi o tym powiedział. Tyle razy mu mówiłam, że bardzo chcę to zobaczyć.

- I co teraz? Czekasz, aż wydadzą go na kasetach? - zapytał.

- Tak. I jestem wściekła, że wciąż nie wiem, o co tam chodzi. Próbowałam namówić kogoś, żeby poszedł ze mną drugi raz. Ale wszyscy mówią, że to nie ma sensu, kiedy zna się koniec.

- Podobno.

Popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ty też nie widziałeś Flight of Fancy?! Pokręcił głową.

- W takim razie musisz pójść ze mną! - Z całych sił ścisnęłam go za ramię. - Nie chce mi się wierzyć, że znalazłam kogoś, kto nie widział jeszcze Flight of Fancy! Chyba zwariuję. Idziemy, dobra?

- Jasne. Kiedy?

- Jutro - powiedziałam stanowczo. - Już cały miesiąc czekam i nie mam zamiaru tego odkładać. Cudownie się składa.

Nagle ktoś wyłączył puszczone na cały regulator piosenkę Boba Marleya. Obejrzeliśmy się. Obok wieży stał Raphael.

Lekko chwiał się na nogach. Ciekawe, ile płonących koktajli zdążył wypić do tej pory?

- Uwaga! - Klasnął w dłonie. - Nadeszła pora na tort. Alexander i Joseph przeszli w tym roku samych siebie. I dlatego proszę wszystkich do mnie. Stańcie dookoła i nie żałujcie gardeł.

- Wygląda na dobrze wstawionego, nie uważasz? - mruknął Buckley, kiedy przepychaliśmy się do stołu.

- Nie znam wspanialszego faceta! - Byłam niezłomna w swojej lojalności. Miałam nadzieję, że to wystarczy, aby Buckley zakochał się bez pamięci w Raphaelu. Niestety, jak dotąd, nie zauważyłam u niego żadnych objawów zainteresowania.

Zaśpiewaliśmy „Happy Birthday to You”, raz, a potem - ulegając sugestiom Raphaela - jeszcze trzy razy, tort został pokrojony i pożarty, Buckley wdał się znowu w rozmowę z Alexandrem i Josephem, a Raphael chyłkiem podszedł do mnie.

- Masz całe włosy w lukrze - powiedziałam, sięgając po serwetkę, żeby go wytrzeć.

- I nie tylko włosy, Tracey. - Puścił do mnie oko. Raphael jest jedynym człowiekiem, który umie puszczać oko i nie wyglądać przy tym jak swój własny dziadek. - Co z moim uroczym, nowym znajomym? Mam nadzieję, że mnie chwaliłaś.

- Jasne. Powiedziałaś, że jesteś najfantastyczniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu.

- Czego się dowiedziałaś o nim?

Przełknęłam łyk świeżego daquiri, które za każdą kolejką miało w sobie coraz mniej lodu i soku, a coraz więcej rumu, ale o tej porze nie miało to już żadnego znaczenia.

- Mówił, że facet, z którym był związany, zarzucił mu brak spontaniczności i odszedł.

- Tracey! Ja jestem taki spontaniczny, że wystarczy dla nas obu. - Raphael omiół Buckleya pożądlivym spojrzeniem. - I co jeszcze mówił?

- Niewiele. Idę z nim jutro do kina na Flight of Fancy. Może dowiem się czegoś więcej.

- W końcu kogoś znalazłaś! O, Tracey! Tak się cieszę. - Raphael objął mnie ramieniem. - Nie boisz się, że Will będzie zazdrosny?

- Przecież Buckley jest gejem. A zresztą Will nigdy nie jest zazdrosny. Ufa mi.

Cisza.

- O co ci chodzi? - zapytałam, widząc dziwną minę Raphaela. - Will naprawdę nie jest zazdrosny. Nigdy.

- Wierzę. Ale, Tracey, uważam, że powinnaś zadać sobie pytanie, dlaczego tak jest - powiedział zagadkowym tonem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - obruszyłam się, ale w tej samej chwili ktoś wciągnął Raphaela do węża, który wił się w rytm kongi.

Nagle poczułam, że nie mam nastroju na kongę.

Zaczęłam zastanawiać się, co robi teraz Will. Spojrzałam na zegarek. Kto wie, może zdążył już wrócić do domu? Może wezmę taksówkę i spędzimy razem noc?

Ale kiedy zadzwoniłam do jego mieszkania, włączyła się automatyczna sekretarka.

Nie nagrałam żadnej wiadomości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Niedzielny poranek. Will jest wściekły. Pada deszcz.

Will jest najprawdopodobniej wściekły dlatego, że pada i dlatego, że jest niedzielny poranek, ale ja, jak to ja, nie mogę opanować myśli, że to moja wina. Spotkaliśmy się pół godziny temu w kawiarni obok jego domu, żeby razem zjeść śniadanie. Od tego czasu staram się nawiązać z nim rozmowę, ale mi nie wychodzi.

Rzecz w tym, że Willy ma humory. Wiem to nie od dzisiaj. Jedna połowa mojego ja jest zafascynowana kapryśną naturą artysty, ale druga chciałaby go pocieszyć i rozweselić.

Kiedy kelnerka wlewała kolejną kawę najpierw do jego filiżanki, a potem do mojej, zapytałam o wczorajsze przyjęcie. Sekret wagi państwowej okazał się bankietem weselnym dwojga aktorów, którzy w atmosferze skandalu podsycanego przez bulwarową prasę opuścili swoich ślubnych partnerów ponad rok temu. Umierałam z ciekawości, jak było, ale Willy nie był w nastroju do rozmowy.

- Opowiedz, co było do jedzenia? - zapytałam, wyciągając z białej miski na środku stołu trzy pojemniczki ze śmietanką i wlewając ją do swojej kawy. Potem rozerwałam dwa opakowania cukru na raz, wsypałam do filiżanki i zamieszałam.

- Zupa krem z krewetek, łosoś z rusztu, stek z polędwicy, ziemniaki puree z homarem... nic szczególnego. - Upił łyk kawy - czarnej. Bez cukru.

- A tort?

- Truskawkowy w białej czekoladzie.

- Pycha. - Włożyłam do ust kawał gumowatego omleta podlanego keczupem i sosem Tabasco. Szkoda, że to nie tort weselny.

Żałowałam, że nie jestem panną młodą, która zjada swój weselny tort truskawkowy w białej czekoladzie. Nie. To nieprawda.

Oczywiście, że chcę być panną młodą, ale kiedy ja i Will będziemy brać ślub... No już dobrze - jeśli ja i Will będziemy brać ślub, chciałabym, żeby odbyło się to jesienią. Wymarzyłam sobie tort z dyni przełożony masą śmietankowo-serową. Nie wiem, co na to Will, bo nigdy nie odważyłam się zapytać.

- Will, powiedz, czy chcesz, żebym przyszła do ciebie po kinie?

Powiedziałam mu od razu o Buckleyu i Flight of Fancy oraz o tym, jak zamierzam zeswatać go z Raphaelem.

Potem opisałam szczegółowo całe przyjęcie, aż do momentu, w którym Raphael wyciągnął ukrytą w szafie pochodnię, zapalił ją i nie zważając na moje ostrzeżenia, zaczął biegać z nią po mieszkaniu. W pewnej chwili przypadkiem podpalił syntetyczną perukę jednego z transwestytów. Jones próbował ratować sytuację i zarzucił mu na głowę błyszczącą, niebieską tkaninę, z której zrobiona była laguna. Niestety tkanina okazała się jeszcze bardziej podatna na ogień niż sztuczne włosy. Na szczęście ktoś rozsądny ugasił pożar wodą z węża nałożonego na kran zlewozmywaka. Nie wiem, co było dalej, bo zaraz wyszłam, umawiając się z Buckleyem przed kinem Odeon na Ósmej Alei, kilka przecznic od mieszkania Willa.

Wymyśliłam, że po filmie pójde spacerem do Willa, kupię po drodze chińskie jedzenie albo coś w tym rodzaju i zjemy je razem.

No, dobrze. Tak naprawdę miałam nadzieję, że pójdziemy razem do łóżka. Nie spaliśmy ze sobą ponad tydzień, a ten ostatni raz, a właściwie kilka ostatnich razów, były całkowicie nieudane.

Ale Will w jednej chwili przekreślił moje plany.

- Nie. - Pokręcił głową. - To nie ma sensu. Mam mnóstwo roboty po powrocie z siłowni. Muszę zapakować rzeczy do paczek i wysłać je do North Mannfield. Nie mam zamiaru taszczyć się ze wszystkim pociągiem.

Mogłabym mu pomóc w pakowaniu. Nie, jednak nie. To byłoby zbyt przygnębiające. Chyba że pojedę z nim...

Ale w żaden sposób nie mogę zdobyć się na odwagę, żeby go o to zapytać.

Próbowałam wymyślić, o czym mamy teraz rozmawiać. Siedzieliśmy przy oknie. Will miał na sobie bordową bluzę z kapturem, którą bardzo lubiłam i którą pamiętam u niego od zawsze. Nie była wcale zniszczona. Nie tak jak moje codzienne ciuchy.

Ponad jego ramieniem widziałam szybę pokrytą kroplami deszczu i ulicę, którą pośpiesznie przemierzali ludzie z parasolami. Niemal całkowicie szary pejzaż za oknem usiany był plamami jaskrawej żółci - ludzie mieli żółte sztormiaki, przejeżdżały żółte taksówki... Chciałam o tym powiedzieć, ale Willa nic nie obchodziły estetyczne walory otoczenia.

Sypnęłam garść soli do zapiekanki z siekanego mięsa, zanim zjadłam pierwszy kęs.

- Nie powinnaś tyle solić, Tracę - powiedział Will.

- Nie mogę przełknąć niedosolonego jedzenia. - Wzruszyłam ramionami.

Nie ma nic gorszego niż niesłone i mdłe jedzenie. Kilka lat temu lekarz zalecił moim dziadkom unikać soli. Trudno wyobrazić sobie coś ohydniejszego

od niesionego sosu pomidorowego, którym poczęstowali pewnej niedzieli całą rodzinę. Wszyscy zgodziliśmy się, że tego nie da się jeść, i babcia natychmiast wróciła do swojego zwykłego przepisu. Wprawdzie doktor do dzisiaj besztadziadków z powodu wysokiego ciśnienia i sprawdza ich dietę, ale nie mam im za złe, że oszukują. Ja zrobiłabym to samo.

- Przyzwyczaiałabyś się bardzo szybko - dodał.

- Być może, ale po co? Mojemu zdrowiu nic nie zagraża. Zawsze czuję się nieswojo, kiedy Will mówi coś o moim jedzeniu. Chyba się boję, że może zacząć rozmowę o mojej wadze. Jak na razie nigdy tego nie zrobił, ale nie myślę, żeby nie widział, że powinnam stracić kilka kilogramów.

No dobrze. Nie kilka. Dziesięć do piętnastu kilogramów.

Na szczęście nigdy nie powiedział tego głośno. I nie powie, jeśli dalej będę miała szczęście.

- Są gorsze rzeczy niż sól - zwróciłam mu uwagę. Na przykład...

- Papierosy?

- Właśnie - wyszczerzyłam zęby w uśmiechu. - Mam dwa nałogi - sól i papierosy. Ale spójrzmy na to z jaśniejszej strony. Trzymam się z daleka od narkotyków.

Słyszając to, parsknął śmiechem.

- Dlaczego ty nie masz żadnych nałogów? - zapytałam, patrząc, jak odgryza kawałek swojej grzanki. Bez masła. Bez dżemu.

Spodziewałam się, że zaprzeczy i powie, że owszem, ma nałogi, ale tego nie zrobił. Wzruszył tylko ramionami, uśmiechnął się i dalej przeżuwał swoją nudną grzankę, zachwycony własnym brakiem nałogów.

- Will! Słuchaj. A może pojedę z tobą?

Kto to powiedział? Mój Boże, czy to ja powiedziałam? Najwyraźniej tak, bo Will przestał żuć i patrzył na mnie z zakłopotaną miną.

- Pojedziesz ze mną dokąd? - zapytał.

Czy ja zgłupiałam? Co, do diabła, przyszło mi do głowy? Nie pomyślałam, tylko wyrzuciłam z siebie pytanie, którego nie da się cofnąć.

A może pojedę z tobą do...

A może pojedę z tobą do...

A może pojedę z tobą do...

Dokąd? Do najbliższego sklepu? Bzdura. Nie było wyjścia. Skoro zaczęłam, muszę skończyć. Odłożyłam widelec, wzięłam głęboki oddech i znowu podniosłam widelec, bo wydawało mi się, że odkładanie go było gestem zbyt uroczystym. Tak jakbym zamierzała złożyć ważne oświadczenie.

W gruncie rzeczy to było ważne oświadczenie, ale nie chciałam, żeby Will tak myślał. Tylko by się przeraził i nawet nie dał sobie szansy, żeby wszystko przemyśleć. Odkroiłam kawałek jaja na twardo z zielonym pieprzem i wsadziłam sobie do ust. Kiedy człowiek je, wszystko wydaje się mniej zobowiązujące.

- Może pojedę z tobą na letnie występy?

Koniec z mniej zobowiązującymi wypowiedziami. Ja skrzeczałam, jakbym za chwilę miała się udusić, Will wyglądał na przerażonego.

- Na letnie występy? - powtórzył - Nie możesz tam ze mną pojechać.

Spróbowałam przełknąć niepogryzione jajko i natychmiast się zakrztusiłam.

- „Na występy” nie znaczy, że chcę jechać z tobą na występy - powiedziałam szybko, żeby go uspokoić - Myślałam o tym, żeby znaleźć pokój w North Mannfield i rozejrzeć się za pracą w jakiejś restauracji albo czymś podobnym. Nie musielibyśmy rozstawać się na całe trzy miesiące.

- Tracey, nie możemy być razem tego lata! Co dwa tygodnie będę występować w innym przedstawieniu. Nie będę mieć czasu, żeby się z tobą widywać. Nawet gdybyś mieszkała dwa domy dalej.

Poczułam ucisk w gardle. Coś się tam rozrastało, w miarę jak rozmokły kawałek jaja z pieprzem torował sobie drogę w dół. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Na szczęście nie musiałam, bo Will jeszcze nie skończył. Odłożył widelec i potrząsnął głową.

- Nie rozumiem, jak mogłaś wyskoczyć z czymś takim. Wydawało mi się, że oboje zgadzamy się, że ten wyjazd jest dla mnie wielką sprawą. Że to ważne dla mojej kariery. Wiedziałaś o tym, Tracey. Dlaczego teraz robisz problemy?

- Nie robię problemów - W końcu uporałam się z jajkiem i z uciskiem w gardle. - Powiedziałam tylko, że chciałabym pojechać z tobą.

- Przecież wiesz, że to niemożliwe. Słuchaj. Wiem, o co ci chodzi. Chcesz, żebym poczuł się winny, bo może wtedy zmienię zdanie i zostanę tutaj.

- Nieprawda. Zapadła kłopotliwa cisza.

- Naprawdę chciałaś jechać ze mną?

- Tak! Nie z tobą... Po prostu chciałam być blisko ciebie. Poczułam się porzucona. Spanikowana. Jak mała dziewczynka, którą próbują zostawić w przedszkolu wbrew jej woli.

- Ale, Tracey... - zabrakło mu słów.

Trzeba oddać mu sprawiedliwość. Nie naśmiewał się ze mnie. Nie był już zły. Wyglądał raczej na... zmartwionego.

Ścisnął mi się żołądek, kiedy zdałam sobie sprawę, że przekroczyłam linię, której nigdy nie chciałam przekroczyć. Zrobiłam to i omal nie zadusiłam Willa, który przecież potrzebuje przestrzeni.

- W porządku. Myślałam, że może do czegoś ci się przydam. Sięgnęłam po kawę. Po jej powierzchni pływały jasnobure grudki. Fúj. Śmietanka musiała być kwaśna. Odstawiłam filiżankę i rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym się zająć. Jaka szkoda, że na moim talerzu nie było już nic poza ogonkiem truskawki i kawałkiem skórki pomarańczowej!

Nie miałam nic do jedzenia.

Nie miałam nic do roboty.

Will się nie odzywał.

Siedział bez ruchu.

To straszne. Nie powinnam podejmować tego tematu. Nie w ten sposób.

Powinnam wszystko zaplanować. Zrobić próbę. Wymyślić każde zdanie tak, żeby nie zaskoczył Willa. Żeby nie myślał, że kurczowo się go trzymam. Ale gdzieś w środku wiedziałam, że niezależnie od tego, kiedy ani jak bym to zrobiła, Will i tak nie uznałby wspólnego wyjazdu do North Mannfield za dobry pomysł.

Wszystko zostało więc ustalone.

Najbliższe wakacje spędzam w Nowym Jorku bez Willa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wychodzimy? - zapytał Buckley.

- Poczekaj, jeszcze napisy - odpowiedziałam, nie odrywając oczu od ekranu.

- Chcesz czytać wszystkie napisy?

Will i ja zawsze czytamy napisy do końca. Ale dzisiaj nie przyszedłam do kina z Willem. Machnęłam ręką.

- Możemy iść. - Chciałam jak najszybciej pogadać z Buck-leyem o filmie.

- Mogę poczekać, jeśli chcesz.

- Nie, to nie takie ważne. - Wstałam, nie wypuszczając z objęć prawie pustego wiaderka po popcornie.

- Chcesz jeszcze, czy mam to wyrzucić? - Buckley zagrzechotał swoim wiaderkiem, kiedy szliśmy do wyjścia.

- Nie wyrzucaj! - Złapałam pełną garść.

Uwielbiam kinową prażoną kukurydzę, szczególnie z masłem. Will nigdy nie bierze masła, bo twierdzi, że to rozpuszczony i zabarwiony na żółto smalec, utwardzany pierwiastkami ciężkimi. Zresztą on nie wzięby do ust masła, nawet gdyby było najprawdziwsze, bo masło jest za tłuste i zbyt kaloryczne.

Za to Buckley zażył sobie podwójnej porcji tłuszczu. Chyba z góry założył, że takie dziewczyny jak ja lubią żółty smalec, który udaje, że nie jest smalcem.

Zresztą, wszystko mi jedno, co myślał.

Po koszmarnym śniadaniu z Willem towarzystwo Buckleya było prawdziwą ulgą. Czułam się bardzo niezręcznie, rozstając się z Willem przed jego siłownią. Kiedy powiedział, że zadzwoni do mnie wieczorem, omal nie poprosiłam, żeby tego nie robił. Bałam się, że wypomni mi pomysł wspólnego wyjazdu. A może bałam się, że w ogóle o tym nie wspomni i że już na zawsze zostanie między nami ogromna, niedopowiedziana sprawa.

Tymczasem Buckley znowu podsunął mi wiaderko popcornu, zachęcając, żebym się częstowała.

- I jak? Czy wielkie zakończenie spełniło twoje oczekiwania? - zapytał.

- Sama nie wiem - zastanowiłam się chwilę. - To nie było zaskoczenie na miarę Szóstego zmysłu. Ani Gry pozorów. Wydaje mi się mocno przereklamowane.

- Dlatego nie bardzo miałem ochotę iść na ten film.

- Nie miałaś ochoty? - Stałam jak wryta. - To dlaczego poszedłeś ze mną? Przecież nie musiałeś. O, rany! Jak to miło z twojej strony. Ale przykro mi, że przyciągnęłam cię tu na siłę.

- Nie przyciągnęłaś mnie na siłę.

- Jak to nie? Kazałam ci tu przyjść. Chyba zakładałam, że...

- Daj spokój - przerwał mi szybko. - Sam chętnie przyszedłem. Inaczej wcale bym go nie zobaczył, bo wszyscy znajomi już na nim byli.

- I po co cały ten szum? Oczywiście, byłam zaskoczona, kiedy okazało się, że to sen, ale taki chwyt nie jest zbyt oryginalny, prawda?

- Sam nie wiem. Trochę przypomina zakończenie jednego opowiadania - Przy moście nad Sowim Potokiem. Czytałaś to kiedyś?

- Żartujesz chyba! Jak mogłam nie czytać Ambrose'a Bierce[^]? Studiowałam anglistykę. Przerabiałam to opowiadanie z dziesięć razy na zajęciach z literatury i kreatywnego pisania.

- Ja też. Pierwszy raz przeczytałem je w średniej szkole i od razu mi się spodobało. Zakończenie wydało mi się niesamowite. Wiesz, ten moment kiedy okazuje się, że cała narracja to po prostu strumień świadomości bohatera w chwili śmierci. Tu było podobnie. Lubię takie chwyt.

- Ale film nie rzucił cię na kolana.

Wzruszył ramionami.

- A ciebie?

- Chyba za bardzo chciałam, żeby tak było. Od tak dawna nie widziałam niczego dobrego. Ostatni film, który mi się naprawdę podobał, to Zakochany Szekspir z Gwyneth Paltrow.

Który oczywiście nie podobał się Willowi. Stwierdził, że jest źle grany, nierealistyczny i ma sentymentalny scenariusz.

- Też go lubię - powiedział Buckley, stając w drzwiach, żeby wyrzucić na dwór. - Kurczę! Znowu pada. - Wciągnął na siebie zgniłozieloną przeciwdeszczową kurtkę z kapturem.

- Obłeśna pogoda. W taki dzień nigdzie nie złapię taksówki - westchnęłam, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu żetonu do metra.

- Nie masz ochoty na piwo?

- Piwo? Teraz? - Popatrzyłam na niego zdziwiona, a potem spojrzałam na zegarek - jakby to miało jakieś znaczenie. Jakby istniała godzina, po której nie można pić piwa w deszczowe, niedzielne popołudnie na Manhattanie.

- Chyba że się gdzieś spieszysz...

- Nie, nie - odpowiedziałam trochę za szybko. Naprawdę miałam ochotę na to piwo. Propozycja Buckleya była na głowę perspektywę powrotu metrem do pustego mieszkania, w którym będę myśleć o Willu pakującym pudła przed wyjazdem na lato.

- To świetnie. Idziemy na piwo.

Wyciągnęłam z torby pelerynę z błyszczącego złotego plastiku. Coś takiego noszą zwykle turyści w górach. Wyglądała w niej jak wielki, szkolny autobus starego typu, w dodatku widziany od tyłu. Przejmowałabym się tym, gdybym była teraz z Willem. Przejmowałam się rano, kiedy wychodziłam z nim z restauracji, ale przy Buckleyu nie musiałam martwić się swoim wyglądem. Dlatego tak dobrze jest mieć przyjaciół gejów. Ma się zagwarantowane męskie towarzystwo bez przymusu rywalizacji z innymi kobietami, bez konieczności stałego sprawdzania, na jakim etapie jest twój zespół napięcia przedmiesiączkowego i bez całej upierdliwej gry w pociąg seksualny.

- Dokąd pójdziemy?

- Znam dobry pub kilka ulic stąd - odpowiedziałam - Często bywam w tych stronach.

- Ja też.

- Naprawdę?

- Jasne Mieszkam tutaj.

- Żartujesz .Gdzie?

- Na Pięćdziesiątej Czwartej przy Broadwayu.

- Nieźle.

- A ty? też mieszkasz gdzieś w okolicy?

- Nie Wynajmuję mieszkanie w East Village.

- Naprawdę? To dlaczego chciałaś spotkać się aż tutaj? Nie było sensu opowiadać mu całej historii z Willem.

- Miałam tu sprawę do załatwienia - powiedziałam po prostu. - Ale skoro jesteśmy w twoim sąsiedztwie, na pewno masz tu swoje ulubione bary.

- Nie. Chodźmy tam, gdzie chciałaś. Zawsze lubiłem nowe miejsca. Jestem spontaniczny, zapomniałaś o tym?

Uśmiechnęłam się do niego Zauważyłam, że ma na sobie inny pulower.

- Widzę, że wybrałaś dzisiaj beż.

- Co mogę powiedzieć? Taki dzień aż się prosi o beż. A u ciebie - żadnych zmian. Zawsze ubierasz się na czarno? - zapytał, przypatrując się moim ciuchom.

Czarne dzinsy Czarna, dżersejowa koszula z długimi rękawami, sięgająca do połowy ud - nie od dzisiaj wiem, że coś takiego najlepiej tuszuje braki figur.

- Zawsze.

- Masz jakiś konkretny powód?

- Czarny wyszczupła - odpowiedziałam bez zastanowienia.

- A ja myślałem - zaśmiał się - że to rodzaj manifestu politycznego albo artystycznego, albo duchowe credo.

- Nic podobnego Jestem po prostu pulchną dziewczyną, która próbuje robić za chudą sierotkę.

W siąpiącym deszczu przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Dwie minuty później siedzieliśmy już w barze u Fndy, całkiem niezłej norze, do której zachodziliśmy czasami z Willem. Robią tam rewelacyjne pieczone ziemniaki z boczkiem i serem cheddar, o czym nie omieszkałam opowiedzieć Buckleyowi, kiedy tylko weszliśmy do środka.

- Masz ochotę? – zapytał.

- Po takiej ilości prażonej kukurydzy?

- Masz dość?

- Musisz wiedzieć, Buckley, że ja nigdy nie mam dość Mogę jeść cały dzień A już na pewno pieczone ziemniaki. Stąd ten tłuszcz.

- Przestań się katować, Tracey, jakbyś była jakimś grubasem.

- Jesteś cudowny - Co za szkoda, że jest gejem. - Teraz opowiedz mi o swoim nieudanym związku.

- Muszę?

- Nie. Jeśli nie chcesz, nie opowiadaj Możemy pogadać o czymś weselszym. Na przykład powiedz mi skąd się tu wzięłeś?

- Z Long Island.

- Pochodzisz z Long Island?

- Tak. - Kiwnął głową. - Dlaczego to cię tak dziwi?

- Wiesz akcent. Nie masz wcale akcentu tych snobów z Long Island.

- Ty musisz być z północy stanu, prawda?

- Tak - zdębiałam - Skąd wiesz?

- Wymawiasz płaskie „a” Z jakiego miasta jesteś?

- Z Brookside. Na pewno nigdy o nim nie słyszałeś.

- Właśnie, że słyszałem. Macie tam uczelnię stanową. O mały włos, a byłbym tam studiował.

- Coś ty? Dlaczego?

- Chciałem uciec jak najdalej od Long Island, a musiałem studiować w szkole stanowej Rodziców nie stać było na płacenie za dobry uniwersytet, a ja nie dostałem stypendium.

- Naprawdę?

- Dlaczego tak się dziwisz?

- Sama nie wiem. Wydajesz się typem prymusa.

- Uwierz mi na słowo - nie byłem prymusem. Z moimi stopmami z trudem przyjęli mnie na stanowy uniwersytet.

Byłam naprawdę zdziwiona, Buckley wyglądał na człowieka, który robi wszystko bardzo dobrze. Przyjemnie się dowiedzieć, że był przeciętnym studentem. Tak jak ja. Co wcale nie oznacza, że nie był bystry. Był bystry jak diabli.

- I gdzie w końcu wylądowałeś?

- Uniwersytet stanowy Stony Brook. Koniec był taki, że nie wyjechałem z Long Island i przez całe studia mieszkałem w domu.

W jego głosie wyczułam tłumione emocje, chociaż twarz miał obojętną. Zaraz zresztą zrozumiałam, o co chodzi.

- Skończyłem szkołę i zaraz potem, w czasie wakacji, umarł mój tata. Nie mogłem wyjechać. Moja mama, brat i siostra zostaliby wtedy sami. Dlatego zdecydowałem się na Stony Brook.

Mówił tak, jakby ta decyzja nic go nie kosztowała, ale ja wiedziałam, że to nieprawda.

- Przykro mi z powodu twojego taty – powiedziałam.

- To było dawno temu. - Schylił się, oparł stopę na dolnej poprzeczce barowego stołka i zawiązał but. Ciekawe, czy naprawdę miał rozwiązane sznurowadło, czy potrzebował chwili oddechu?

- Tak. – mruknęłam. - O czymś takim niełatwo zapomnieć, prawda?

Wyprostował się i spojrzał mi w oczy.

- Niełatwo. Czasami jest mi naprawdę ciężko. Dlatego staram się tego nie rozpamiętywać.

- Przykro mi, że ci o wszystkim przypomniałam.

- Nie wiedziałaś. Nie przejmuj się. Mogę już o tym rozmawiać.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, więc zapytałam go o ojca.

- Co się stało? Twojemu tacie?

- Bolał go żołądek, a kiedy w końcu poszedł do lekarza, okazało się, że ma raka trzustki. Z przerzutami. Było za pozno na operację. Lekarze dali mu sześć tygodni życia. Umarł po pięciu tygodniach i pięciu dniach.

- O mój Boże. - Zobaczyłam, że ma łzy w oczach. Ja też miałam ściśnięte gardło. Jeszcze chwila, a rozpłaczę się z powodu śmierci człowieka, którego nigdy nie spotkałam i który był ojcem ledwo znanego mi faceta.

- Tak. To było straszne. - Buckley wziął głęboki oddech, westchnął i szybko dodał: - Ale, jak ci powiedziałem, to było dawno. Moja mama też się z tego otrząsnęła. Kilka tygodni temu umówiła się nawet na randkę.

- Pierwszy raz?

- Uhm.

Próbowałam wyobrazić sobie, że moja mama umawia się z kimś na randkę, ale na samą myśl o tym wzruszyłam ramionami. Widocznie matka Buckleya nie jest upartą jak muł, bezgranicznie pobożną Włoszką, która ma metr pięćdziesiąt wzrostu i sporą nadwagę, chodzi w elastycznych spodniach i nie rozjaśnia wąsów tak często, jak powinna.

- Nie miałaś jej tego za złe? - zapytałam Buckleya. - Tego, że się z kimś umówiła?

- Nie. Przykro mi, że jest sama. Moja siostra niedawno wyszła z mężem, a brat jest w wojsku. Będę się mniej o nią martwić, jeśli zacznie się z kimś spotykać.

Co za facet! Złapałam się na myśli, że trochę go szkoda dla Raphaela. Nie żeby Raphael nie był cudowny, ale lepiej nie wdawać się z nim w romanse. Jest kapryśny i złamał niejedno serce. Byłoby mi strasznie przykro, gdyby złamał serce cudownemu, miłemu i szlachetnemu Buckleyowi.

Przypomniałam sobie o jego rozbitym związku. Byłam bardzo ciekawa, co się zdarzyło. Już otwierałam usta, żeby o to zapytać, kiedy pojawił się kelner - bardzo ekstrawagancki i bardzo zniewieściały. Kiedy zamawialiśmy piwo i pieczone ziemniaki, niemal ślinił się na widok Buckleya. Na czym to polega? Buckley jest dosyć przystojny, ale ani trochę nie przypomina gwiazdy filmowej. Może chodzi o wyraz jego irlandzkich oczu ze zmarszczkami w kącikach? Albo o uśmiech i sympatyczny stosunek do ludzi? Cokolwiek to było, nie uszło uwagi kelnera o zdecydowanie gejowskich upodobaniach. Ani mojej.

Jaka szkoda, że Buckley nie jest hetero. Zdałam sobie sprawę, że powtarzam to jak mantrę. Gdyby Buckley nie był gejem, a ja nie miałabym Willa, to...

Ale gdyby Buckley nie był gejem, a ja nie miałabym Willa, prawdopodobnie nie siedzielibyśmy tu dzisiaj, a już całkiem na pewno nie jedlibyśmy pieczonych ziemniaków z bekonem i serem, a ja nie paplałabym o tym, że jestem tłusta, co robię tylko w obecności Kate i Raphaela.

Zresztą wątpię, czy jestem w typie Buckleya.

Co prawda, przez cały czas od trzech lat dziwię się, że jestem w typie Willa. Bo przecież Will wygląda jak gwiazda filmowa, a ja nie jestem taką znowu boginią. Na szczęście, związki międzyludzkie nie zawsze oparte są na wyglądzie. Przynajmniej nasz nie jest. Muszę się jednak przyznać, że Will pociąga fizycznie, i to bardzo. Dlatego za wszelką cenę chcę z nim być. Myślę, że jego pociągało we mnie to, że nikt tak dobrze jak ja nie rozumiał jego potrzeby wyrwania się z małego miasteczka na Środkowym Zachodzie i chęci, by urządzić się w Nowym Jorku. Zbliżyła nas paląca potrzeba ucieczki od przyziemnej egzystencji, która z racji urodzenia była pisana nam obojgu.

Wydaje mi się, że ta sama potrzeba teraz nas rozdziela. Boże, Will mnie porzuca. Nie na dobre. Na trochę, ale to też boli. Tak bardzo, że kiedy tylko kelner sobie poszedł, Buckley spojrział na mnie uważnie i zapytał:

- Czy coś się stało, Tracey?

- Nie - próbowałam uśmiechnąć się promiennie. - Dlaczego pytasz?

- Jesteś czymś zmartwiona. Przecież widzę.

- Wcale się nie dziwię. Niczego nie można przed tobą ukryć - zakpiłam z udawaną powagą. - Znasz mnie lepiej niż ja sama.

Zaśmiał się.

- Wiesz, naprawdę wydaje mi się, że znamy się kawał czasu. Zdałam sobie sprawę, że nie żartuje. Zdałam sobie też sprawę, że ma rację. Też mi się wydawało, że jesteśmy starymi kumplami. Byłoby cudownie mieć takiego przyjaciela. Samotna kobieta w Nowym Jorku nigdy nie ma dość przyjaciół płci męskiej.

- Musimy to powtórzyć - powiedziałam do Buckleya, biorąc od kelnera piwo. - Uwielbiam chodzić do kina w deszczowe weekendy.

- Ja też. Prawie tak bardzo jak pieczone ziemniaki z bekonem i serem.

- Wypijmy za to.

- Na zdrowie - Podniósł butelkę.

Stuknęliśmy się. Potem uśmiechnęliśmy się do siebie. Potem. Czy domyślacie się, co było potem? Bo ja nigdy bym się nie domyśliła.

Buckley pochylił się i mnie pocałował.

Właśnie.

Miły, czarujący, szlachetny Buckley, który był gejem, pochylił się i dotknął ustami moich ust w całkowicie heteroseksualny sposób.

Byłam za bardzo zaskoczona, żeby coś wymyślić, i zareagowałam w normalny w takich chwilach sposób. To znaczy - oddałam pocałunek.

Wystarczyło kilka sekund i to, co można było uznać za przyjacielskie cmoknięcie po spełnionym toaście, zaczęło powoli zmieniać się w romantyczny pocałunek. Czuły i namiętny. Wcale nie obleśnie mokry. W pocałunek, który odczuwa się głęboko w żołądku, w tym nieuchwytnym punkcie, gdzie rodzi się pierwszy ślad podniecenia.

Tak. Poczułam podniecenie. Byłam podniecona, zaskoczona i zmieszana równocześnie.

Buckley przestał mnie całować - nie żeby uznał, że coś jest nie tak. Każdy pocałunek musi się kiedyś skończyć, i on właśnie się skończył. Buckley wyprostował się i spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Ale - Gapiłam się na niego głupim wzrokiem. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Przepraszam - Rozejrzał się wokoło.

Byliśmy jedynymi ludźmi w całym barze, nie licząc barmana, który oglądał mecz w telewizji, oraz kelnera, który zniknął gdzieś w kuchni.

- Jesteś zła? - dopytywał się Buckley - Wiesz, niezastanawiałem się. Poczułem, że mam ochotę cię pocałować i pocałowałem. - Był trochę speszony, ale nie wyglądał na świra.

Za to ja byłam pewna, że ześwirowałam.

- Ale...

- Przepraszam - powiedział znowu, tym razem mniej pewnym tonem. - Nie chciałem cię...

- Ale ty jesteś gejem! - wypaliłam, nareszcie odnajdując odpowiednie słowa w potoku myśli.

Spojrzał na mnie zaszokowany.

- Ja jestem gejem?

Nareszcie powiedział coś sensownego, pomyślałam.

- Tak, jesteś gejem - potwierdziłam przenikliwym, nienaturalnie wysokim głosem, jakiego używa się podczas kłótni z brunetką, która próbuje przekonać cię, że jest blondynką.

- To coś nowego dla mnie - był wyraźnie ubawiony. Tym razem nie miałam ochoty ciągnąć żartu.

- Przestań już, Buckley. Bądź poważny.

- Jestem poważny jak diabli. Przez całe życie uważałem się za heteroseksualistę. Być może odkryłaś, dlaczego moja dziewczyna puściła mnie kantem.

Znów to samo. Może nie wszystko jest żartem, ale ostatnie zdanie na pewno jest.

- Myślałam, że on był facetem.

- Nie. On był dziewczyną. To znaczy - ona była dziewczyną. - Przesunął lekko stół i oparł łokcie o bar za swoimi plecami. Był rozluźniony i zdecydowanie rozbawiony.

Ja z kolei musiałam się uspokoić. I czegoś napić. Łyknęłam trochę piwa.

- Tracey, daję słowo, że nie jestem gejem. Wypiłam wielki haust piwa.

- Nie umawiałbym się z tobą na randkę, gdybym był gejem. Zakrztusiłam się i trochę piwa spływało mi po policzku.

Wytarłam twarz rękawem.

- Na randkę? - powtórzyłam.

- Zaraz, zaraz. - Buckley zmarszczył brwi. - Mam rozumieć, że według ciebie nie umówiliśmy się na randkę? Przecież sama chciałaś się ze mną spotkać.

- Poprosiłam, żebyś poszedł ze mną do kina. To nie była randka. Chciałam, żebyś umówił się z Raphaelem.

- Z kim? - Rozejrzał się dokoła - Aaa. Z facetem od przyjęcia! Chciałaś, żebym umówił się z Raphaelem?

- Tak Pasujecie do siebie - powiedziałam tonem zawodowej swatki, ale w głębi ducha wiedziałam, że jest już trochę za późno.

- Aha Pasujemy do siebie. - Pokiwał głową. - Jest tylko jeden mały problem nie jestem gejem.

- Rozumiem - wyjąkałam, przerażona prawdą, która powoli do mnie docierała. Sięgnęłam po reszkę piwa. Inaczej nie strawiłabym tej sensacji.

Fizycznie - wciąż kręciło mi się w głowie po pocałunku. Trzeba powiedzieć, że Buckley umiał całować! Will i ja nie całujemy się od dawna. Śpimy ze sobą, co - jak już mówiłam - ostatnio zdarza się rzadko, a nawet jeśli się zdarzy, nigdy nie uwzględnia pocałunków. I - jak już też wspominałam - jest raczej nieudane.

O rany Will.

- Mam chłopaka - oznajmiłam, odstawiając z łomotem pustą butelkę.

- Masz chłopaka? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo o tym nie pomyślałam. Nie przyszło mi do głowy, że jesteśmy na randce.

Na randce.

Nie rozumiem, dlaczego wcześniej nie zauważyłam, co się święci. Chyba byłam tak zajęta myślami o Willu, że nie zwróciłam uwagi na Buckleya, a raczej na to, co według Buckleya dzieje się między nam.

Oszukałam Willa. Zrobiłam to całkiem nieświadomie, ale fakt pozostaje faktem. Oszukałam go w jego własnej dzielnicy. W miejscu, do którego czasami przychodziliśmy razem. A jeśli ktoś mnie widział? Zauważył, że całowałam się z Buckleyem?

Jeszcze raz sprawdziłam, czy naprawdę nie ma tu nikogo poza barmanem, który nie poświęcił nam nawet cierna uwagi. Bar z całą pewnością był wyludniony.

Nikt nie złapał mnie na gorącym uczynku. Will nigdy się o niczym nie dowie. Mimo to omal nie spaliłam się ze wstydu.

Spojrzałam na Buckleya. Wcale nie był zawstydzony. Powiedziałabym, że był ubawiony. I może trochę rozczarowany.

- A więc masz chłopaka. Jak długo? - zapytał.

Na początku nie rozumiałam pytania. Przez chwilę wydawało mi się, że pyta, jak długo jeszcze zamierzam mieć chłopaka. Tak jakby podejrzewał, że ze sobą zerwiemy po wakacyjnej rozłące. Najeżyłam się, ale potem przypomniałam sobie, że Buckley nie ma o niczym pojęcia. Powoli zrozumiałam, o co pyta.

- Jestem z Willem od trzech lat - poinformowałam go rzeczowo.

- Tak długo? To musi być poważna sprawa. Nie wahałam się ani chwili.

- Jasne, że tak. Bardzo poważna. Bo taka jest prawda.

- Wiesz co? - Zeskoczyłam ze stołka. - Właśnie mi się przypomniało, że mam jeszcze coś do zrobienia.

- Naprawdę?

Oczywiście, że nie, ale czułam się zbyt upokorzona, żeby dłużej siedzieć tu z Buckleyem. Nie mówiąc o tym, że wciąż pamiętałam jego pocałunek. Rozbudził mnie seksualnie, a ja nie mogę dopuścić, żeby robili to obcy mężczyźni. Powinnam być z Willem i tylko z nim.

Wbijając się w pelerynę, przeszukiwałam kieszenie. Rzuciłam na bar dwadzieścia dolców.

- Naprawdę idziesz? Tak po prostu?

- Ja...- jękałam się. - Muszę gnać. Nie rozumiem, jak mogłam zapomnieć o takiej ważnej sprawie...

Tą sprawą był Will.

- Trudno. Czy nie dałabyś mi przynajmniej numeru telefonu? Może jeszcze gdzieś się wybierzemy. Jeśli zechcesz, doproszę którąś z moich koleżanek. - Sięgnął po serwetkę i wyjął z kieszeni długopis.

Tak. Miał długopis w kieszeni. Cholera. Żadnych utrudnień.

- Jaki to numer? - Wyjąkałam coś. - W porządku. Zapisałem. - Schował serwetkę do kieszeni.

Nic nie było w porządku. Dałam mu telefon swoich dziadków. Tylko kierunkowy był na Manhattan.

- Zabieraj to. - Wręczył mi dwudziestkę. - To ja cię zaprosiłem. Nie zjadłaś nawet jednego ziemniaka.

- Nic się nie martw. W gruncie rzeczy nie jestem głodna. Wciąż trzymał banknot w wyciągniętej dłoni, a ja opędzałam się od niego jak od robaka.

- Bierz - powtórzył.

- Nie mogę pozwolić, żebyś za mnie płacił.

- A dlaczego nie? Jeśli zapłacę sam, będę miał pewność, że nie byłem na żadnej randce - powiedział z szerokim uśmiechem.

To przeważyło. Pozwoliłam, żeby włożył mi dwudziestkę do kieszeni, i ruszyłam do drzwi. Wybiegłam na dwór bez kaptura i w rozpiętej pelerynie. Zanim doszłam do rogu, byłam przemoczona do nitki.

Odruchowo skierowałam się prosto do mieszkania Willa.

Gdybym nie była taka zdenerwowana, przystanąłabym na chwilę, żeby się zastanowić. Może wtedy zdobyłabym się na inny odruch - pojechałabym metrem do domu, wzięła prysznic i wskoczyła do łóżka. A raczej na materac.

Niestety, pierwszy odruch zwyciężył. W holu na dole nacisnęłam guzik domofonu Willa.

W głośniku odezwał się beznamiętny głos Nerissy.

- To ja, Tracey.

- Cześć, Tracey. Willa nie ma - odpowiedziała ze swoim cholernym, brytyjskim akcentem.

Jak to nie ma? Przecież musi być. Pakuje się. Nerissa chyba kłamie.

Nie. To bez sensu. Może Will musiał wyjść do sklepu po taśmę klejącą? Może wypisały mu się markery?

- Czy nie wiesz, gdzie on jest?

- Nie mam pojęcia. Dopiero wróciłam z próby. Powiem mu, że tędy przechodziłaś.

Nawet nie zaproponowała, żebym weszła na górę i poczekała na Willa. Można to zrozumieć. Mieszkanie jest mikroskopijne, a ona prawdopodobnie

nie miała ochoty dotrzymywać mi towarzystwa, zanim Will wróci z niewiadomego miejsca swojego pobytu.

Ale przecież mam prawo zaczekać tam na niego. Mam większe prawo do tego mieszkania niż ona. Na liście lokatorów figuruje nazwisko Willa, nie jej, myślałam zupełnie irracjonalnie.

- To do zobaczenia, Tracey - rzuciła z brytyjską flegmą.
- Cześć - odpowiedziałam i wyszłam na deszcz.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Idziesz na lunch, Tracey? - zapytała Brenda z twardym jerseyjskim akcentem. Nad górną krawędzią mojego boksu mignęły jej długie loki, usztywnione litrami lakieru do włosów.

- Tak, ale poczekajcie sekundę. Wyślę tylko faks do jednego z klientów Jake'a - odpowiedziałam, nie patrząc na nią, i szybko wypełniałam etykietę adresową. - Jeśli wam się spieszy, idźcie same. Zamówię sobie coś na wynos.

- Czekamy, złotko. - Charakterystyczna chrypa notorycznego palacza oznaczała, że za ścianą stoi także Yvonne.

Ostatni cień wątpliwości, gdybym oczywiście taki miała, rozwiałyby się, gdy usłyszałam szum aerozolowego rozpylacza. Yvonne i moja babcia są chyba jedynymi osobami na świecie, które stosują jeszcze płyn do dezynfekcji ust marki Binaca.

Trudno się dziwić, bo są chyba w tym samym wieku/chociaż Yvonne wygląda dużo młodziej. Jest wysoka i chuda, farbuje włosy na malinowo i używa malinowej szminki, którą z nabożną czcią maluje usta po każdym popapierosowym zaaplikowaniu sobie porcji płynu Binaca. Głównym powodem sławy Yvonne - poza oczywiście tym, że pełni obowiązki sekretarki Adriana Smedleya, prawdziwej grubej ryby w naszym biurze - jest jej artystyczna przeszłość. Śpiewała kiedyś w chórkach w Radio City Music Hall i uwielbia opowiadać historie o starych, dobrych czasach. Rzuciła przy tym nazwiskami różnych sław, o których nie słyszałam nigdy w życiu - nic dziwnego, skoro byli na topie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Mój tato nazwałby ją niezłym ziółkiem, co ona na pewno uznałaby za komplement.

Rzekomo szybkie nadawanie faksu okazało się prawdziwą gehenną. Nie wiadomo dlaczego, ale za każdym razem, kiedy próbowałam wysłać zwyczajną notatkę służbową od mojego szefa Jake'a do McMurray - White, znanej firmy produkującej między innymi dezodorant „Polne kwiaty” i środek przeczyszczający „Sama łagodność”, maszyna przeciągłym piskiem sygnalizowała błąd.

Nienawidzę zmechanizowanego sprzętu biurowego. Ile razy podchodzę do faksu, kopiarki czy drukarki laserowej, cholerne maszyny wyczuwają mój niepokój i natychmiast się zacinają.

Dzisiaj miałam szczególnie pechowy dzień. Rano w naszej biurowej kuchence oparzyłam rękę o ekspres do kawy. A przed chwilą, wychodząc z

toalety, poślizgnęłam się na mokrych kafelkach i z hukiem wylądowałam na tyłku. Wbrew temu, co można by sądzić, ekstra warstwa tłuszczu nic mi nie pomogła i jeszcze teraz chce mi się płakać z bólu.

Jake stanął za mną, kiedy po raz pięćdziesiąty wpychałam jego notatkę do tej cholernej maszyny.

- Kłopoty, Tracey, tak?

Odwróciłam się i zobaczyłam na jego ustach pełen wyższości uśmiezek. Od jakiegoś czasu wiem już, że to nic obraźliwego. Jake ma taki wyraz twarzy zawsze - no, chyba że w pobliżu jest klient. Na taką minę dobra jest każda sytuacja. Uśmiecha się z wyższością, kiedy mówię mu, że dzwoni żona. Albo że reprezentant NBC właśnie odwołał naszą jutrzejszą prezentację. Albo że przynieśli dokumenty z jego biura maklerskiego.

Pora na słowo prawdy. Gdyby Jake nie był moim szefem, powiedziałabym, że to kutas. Gapi się obleśnie na kobiety, kiedy one tego nie widzą, wyśmiewa się z ludzi, jeśli coś im się nie uda i - jestem tego coraz bardziej pewna - zdradza swoją żonę, Laurie. Wkurza mnie tym maksymalnie. Są małżeństwem niecały rok, a Laurie, której nie widziałam nigdy w życiu, wydaje się bardzo miła przez telefon. Czasami kiedy ona dzwoni, Jake robi miny, wywraca oczami i każe mi mówić, że wyszedł na ważne zebranie. Ona jest wtedy niepokieszona, a ja mam poczucie winy, bo chyba nie przychodzi jej do głowy, że mogę kłamać.

Natomiast Jake, choćby nie wiem jak był zajęty, zawsze odbiera telefony od kobiety o imieniu Monique. Podobno to jego koleżanka. Osobiście uważam, że faceci nie powinni mieć koleżanek, które mają na imię Monique. Coś mi mówi, że Laurie w ogóle nie wie o jej istnieniu.

- Czy możesz wpaść do mojego biura, kiedy z tym skończysz? - powiedział. Faks zaczął piszczeć, sygnalizując awarię, a pierwsza strona jego notatki utknęła w podajniku.

- Czy nie mogłabym przyjść po lunchu? - Szarpałam kartkę, daremnie usiłując uwolnić ją z maszyny.

- To potrwa tylko chwilę. - I dodał: - Uuu. Lepiej uważaj, bo podrzesz papier i będziesz musiała przepisywać na nowo cały tekst.

Po czym poszedł do swojego przestronnego pokoju, skąd po chwili dobiegł mnie charakterystyczny odgłos uderzeń piłeczki o ścianę. Wyobraziłam go sobie, jak siedzi z nogami w czarnych, błyszczących półbutach na biurku, rzucając od niechcenia piłkę do kosza.

Nie zrozumcie mnie źle. Jake jest zajęтым człowiekiem na ważnym stanowisku. I jest dobry w tym, co robi. Kiedy jednak nie nakręca się przed ważnymi spotkaniami ani nie pracuje nad nową prezentacją, skupia się na przyjemnościach. Jada w najlepszych restauracjach w mieście. Zamawia rzeczy z najdroższych katalogów. Pasjonuje się tenisem i golfem, gdyż są to sporty dla dżentelmenów. Słyszałam kiedyś, jak w sklepie Orvis zamawiał sprzęt wędkarski, który kosztował więcej niż moja miesięczna pensja. Od pewnego czasu rozgląda się za wiejską posiadłością w Westchester, koniecznie ze stawem albo ze strumieniem, żeby mógł łowić własne ryby.

- Chyba ci pomogę - usłyszałam za plecami głos Latishy. Miałam wszystkiego dosyć.

- Dzięki. Chyba musicie iść na lunch beze mnie. Jake chce mnie widzieć u siebie. Wprawdzie mówi, że to potrwa tylko chwilę, ale...

- Spokojnie. Poczekamy - i Latisha nacisnęła kilka guzików. Maszyna natychmiast połknęła kartkę i dosłownie sekundę później rozległo się łagodne mruczenie. Wiadomość została przesłana. Oniemiałam.

- Jak to zrobiłaś? Wzruszyła ramionami.

- Jestem sekretarką o wiele dłużej niż ty. Sekretarka. Nie znoszę tego.

W porządku. Jestem sekretarką. Powinam się z tym pogodzić. Ale nie zatrudniałam się jako sekretarka ani nigdy nie zamierzałam nią być! Z jednej strony wiem, że lepiej jest być sekretarką na Manhattanie, niż mieć najlepszą nawet pracę w Brookside, ale z drugiej - wciąż sobie powtarzam, że to tylko kwestia czasu, bo zaraz znajdę coś lepszego. Ale na razie utknęłam w firmie reklamowej Blaire Barnett Advertising jako asystentka Jake'a.

- Dzięki za pomoc - uśmiechnęłam się do Latishy.

- Nie ma sprawy. A teraz - wycelowała we mnie palec w swoim charakterystycznym „nie wciskaj mi tu ciemnoty” geście - leć do Jake'a i sprawdź, czego ten złamas od ciebie chce. Idziesz z nami na lunch. Do Meksykanów. Czipsy, salsa, margarita i te rzeczy...

Byłam wniebowzięta.

- Margarita? Na lunch?

- A co! W końcu jest piątek, nie?

Jasne. Piątek. Will wyjeżdża za mniej niż czterdzieści osiem godzin. W niedzielę o tej porze jego pociąg będzie gdzieś w okolicach Albany.

- Czuję, że muszę się czegoś napić - zakomunikowałam. - Czegoś mocniejszego.

- Mnie to mówisz? Moi chłopcy biorą w dupę jak nigdy. Mówię ci to w razie, gdybyś sama tego nie zauważyła.

Jej chłopcy to drużyna New York Yankees. Latisha jest zapalonym kibicem bejsbolu. Cały jej boks w naszym biurze obwieszony jest plakatami i proporczykami Yankees. Wszyscy znajomi i sama Latisha opowiadają, że jej życie nabrało sensu kilka lat temu, kiedy na chwilę przed meczem dostała od swojej szefowej Rity Seilers bilety na eliminacje mistrzostw świata. Znam Ritę, która kieruje naszym działem rozliczeń finansowych, i dobrze wiem, że nie zrobiła tego z prostej dobroci serca. Brenda utrzymuje, że tamtego wieczoru nad miastem przeszła wichura o sile co najmniej tajfunu, miejsca były pod gołym niebem, a sama Rita miała ostry rozstrój żołądka. Gdyby nie zbieg okoliczności, Latisha nigdy nie poszłaby na mecz.

Okazało się, że bilety są do łoży na trybunie głównej, którą to łożę Latisha dzieliła z burmistrzem i dwoma chłopakami z zespołu Backstreet Boys. Dostała od nich autografy dla swojej córki Keery

- wówczas dziesięcioletniej. Oczywiście autografy Backstreet Boys, nie burmistrza.

- Nie wybierasz się dzisiaj na mecz? - zapytałam. - Może przyniosłabyś im szczęście?

- Pewnie, że chciałabym. Tylko że mecz jest w Seattle.

- Auu! - wrzasnęłam. Przecięłam sobie skórę kartką z listem Jake'a. - Cholera! - Szybko włożyłam palec do ust. Poczułam smak krwi. Wspaniale!

- Ale w niedzielę wybieramy się z Antonem na stadion, żeby ich powitać - ciągnęła Latisha, nie zwracając uwagi na moją kolejną biurową kontuzję.

Anton jest chłopakiem Latishy. Spotkałam go tylko jeden raz i wydawał mi się miły, ale z tego, co słyszałam od Brendy i Yvonne, facet ma złodziejski fach wypisany na twarzy. Ich związek na pewno nie ma przyszłości, ale Latisha wcale się tym nie przejmuje. Mówi, że z rum zerwie, kiedy na horyzoncie pojawi się coś ciekawszego, ale jak dotąd nic się nie pojawiło.

- A ja w niedzielę będę wypłakiwać oczy w poduszkę - powiedziałam.

- Dlatego, że Willy wyjeżdża? Przecież wróci za kilka miesięcy. - Pokręciła głową z całkowitym niezrozumieniem.

- Tak - westchnęłam, zbierając kartki i potwierdzenie nadania notatki Jake'a.

- Ale podczas kilku miesięcy wiele się może zdarzyć.

- Jeśli tak się boisz, dziewczyno, to rusz tyłek i wsiadaj do pociągu razem z nim.

Nigdy nie przyznałabym się w biurze, że Will unikał mnie przez dobry tydzień po tym, jak zaproponowałam mu wspólny wyjazd. Wprawdzie utrzymywał, że był zajęty pakowaniem, ale ile czasu może zająć wrzucenie do pudeł kilku podkoszulków i szortów?

- Nie mogę z nim jechać. - Zrobiłam minę osoby, która usłyszała właśnie najbardziej absurdalną propozycję w życiu. - Jak to sobie wyobrażasz? Mam rzucić wszystko i tak po prostu wyjechać?

- Ja bym tak zrobiła, gdyby Anton postanowił wyjechać z miasta beze mnie.

- Ciekawe, co zrobiłabyś z Keerą?

- Wzięłabym ją ze sobą. Dobrze by jej to zrobiło. Nie widywałaby tych swoich koleśków z ulicy. Wolę nie powtarzać, jak oni się wyrażają! Nie dałabym centa za żadnego z nich. Nie chcę, żeby Keera skończyła jak moja siostra Je'Naye.

Moje problemy to pryszcz w porównaniu z kłopotami Latiszy. Latisha jest samotną matką, która próbuje wychować dorastającą córkę w najbardziej zapuszczonej dzielnicy miasta. Kilka lat temu jej nastoletnia siostra zginęła tam podczas strzelaniny między handlarzami narkotyków.

- Obu nam przyda się margarita - westchnęłam. - Może nawet kilka kolejek margarity. No, to idę. Sprawdź, czego chce ode mnie Jake, i dołączę do was na dole.

- Nareszcie mądrze mówisz - i odeszła zdecydowanym krokiem, mocno kołysząc biodrami. Patrząc na ciuchy Latiszy, można by sądzić, że ma figurę jak Jennifer Lopez. Tymczasem jest ode mnie niższa i grubsza. Nigdy nie widziałam jej w czarnych, luźnych tunikach. Dzisiaj na przykład miała na sobie czerwoną bluzkę z głębokim dekoltem w szpic i krótką, beżową spódnicę, mocno opiętą na biodrach i udach.

Obserwowałam, jak Myron, nasz goniec, wodzi za nią maślanymi oczami.

- Mmm - powiedział, z zachwytem potrząsając głową. Zatrzymał swój wózek z pocztą i wykręcił głowę, żeby jak najdłużej obserwować Latiszę. - A niech cię!

- Wyluzuj, Myron! - rzuciła przez ramię, ale było widać, że lubi zaczepki Myrona.

- Dziewczyno, wyglądasz super!

- Myślisz, że o tym nie wiem? - odpowiedziała zadowolona z siebie i poszła.

Chciałabym mieć połowę jej pewności siebie. Zawsze mi się wydaje, że gdybym włożyła obcisłe ciuchy Latiszy, Myron uciekłby z krzykiem na mój widok.

Doszłam właśnie do biura Jake'a, który rozparty za biurkiem, celował właśnie w kierunku kosza. W jego pokoju z łatwością mieściła się kanapa i para foteli. Cztery wielkie okna wychodziły na Czterdziestą Drugą Ulicę. W moim boksie ledwo wystarczało miejsca na biurko, krzesło, komputer i portretowe zdjęcie Willa w ramce.

- O co chodzi, Tracey? Brawo! - Wyrzucił rękę w powietrze, bo piłka wpadła do kosza.

- Powiedziałaś, że chcesz się ze mną spotkać przed lunchem.

- Racja. Mam dwie rzeczy.

- Notować?

- Nieee. - Wyprostował się i machnął ręką, wskazując krzesło. Siadając, rzuciłam okiem na ślubną fotografię stojącą na

biurku. Według mnie Laurie wygląda o niebo lepiej niż Jake. Jest drobną, ładną brunetką, zdecydowanie elegancką. Tymczasem Jake, ze swoimi rudawymi włosami, pyzată twarzą i śladami po trądziku sprzed kilku dziesiątków lat na policzkach, jest typem kumpla ze szkolnej ławy. Niby nie należy oceniać ludzi po wyglądzie, ale wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego ona za niego wyszła.

Może dlatego, że potrafi być czarujący, jeśli chce. I jest bogaty. Nawet bardzo. Kilka lat temu dostał cynk od kogoś związanego z giełdą, włożył w akcje całą - co do centa - fortunę i dużo na tym zarobił. Dość powiedzieć, że mają dziś z Laurie wielkie mieszkanie w okolicach Sutton Place na Wschodniej Pięćdziesiątej którejs tam, w jednym z tych pięknych domów strzeżonych przez portierów w liberiach i że, jak już mówiłam, szukają letniego domu w Westchester.

Zastanawiam się, czy ona jest szczęśliwa. To znaczy Laurie. I czy ich małżeństwo długo potrwa.

Ale na razie kiszki grały mi marsza z głodu, więc wołałam zastanawiać się, czy zamówię quesadillę nadziewaną nisko-kaloryczną śmietaną i chudym serem cheddar, czy pójdę na całość i zjem ją z mięsem smażonym w głębokim tłuszczu.

- Po pierwsze - sprawdź, czy da się coś zrobić, żebym tego nie płacił. - Przesunął w moim kierunku mandat za złe parkowanie.

- Dlaczego? Wlepili ci go niesłusznie? - zapytałam. - Zaparkowałeś w wyznaczonym miejscu?

- Oczywiście, że nie, ale nigdzie w okolicy nie można legalnie parkować. I nikt nie płaci za te rzeczy. Zadzwoń w kilka miejsc i dowiedz się, co zrobić, żeby uznano mnie za niewinnego, i daj mi znać.

- Dobrze. - Nie ma szans, żeby w najbliższej przyszłości Jake dostał nagrodę dla Najlepszego Obywatela Miasta.

- Po drugie... - odchrząknął, jakby miał coś poważnego do powiedzenia.

O, kurczę! Ciekawe, o co chodzi tym razem? Czyżby chciał, żebym przyznała się do jakiejś niepopelnionej winy, a on zagwarantuje mi, że będę objęta programem ochrony świadków koronnych? Ale wtedy Will nigdy mnie już nie odnajdzie.

- Co z twoją kreatywnością, Tracey?

- Kreatywnością? - powtórzyłam ostrożnie, niepewna, co Jake ma na myśli. Czy mam znaleźć sposób na ukrycie ciała? - Zależy, co przez to rozumiesz.

- Jeśli się zgodzisz, mam dla ciebie małą propozycję. Może być całkiem zabawna. McMurray-White zamierzają wejść na rynek z nowym produktem. Potrzebują dla niego nazwy. Jak dotąd, nic im się nie spodobało. Postanowili, że teraz zajmie się tym nasz zespół. Chcą burzy mózgów i świeżych pomysłów. Zanim powiem coś więcej, muszę cię uprzedzić, że to poufne.

- Jasna sprawa. - Kręciło mi się w głowie. Nareszcie jakieś podniecające zadanie zamiast zwykłej walki ze źle funkcjonującym sprzętem albo ustalania terminarza spotkań z trenerem

Jake'a. Nie mówiąc o dodatkowej premii - wszystko jest najzupełniej legalne. Pochylił się w moim kierunku.

- Chodzi o nowy, rewolucyjny dezodorant w kulce, który działa przez cały tydzień.

- Cały tydzień? Czy to możliwe?

- Podobno tak. Postaraj się coś wymyślić. Tylko pamiętaj. To poufne.

- Dobrze. - Niemal mu wybaczyłam przekręt z mandatem. To dopiero będzie, kiedy opowiem wszystko w domu! Dobrze, dobrze. Wymyślanie nazwy dla nowego dezodorantu też nie jest szczytem moich marzeń, ale w Brookside nie miałabym nawet takich możliwości.

- To wszystko. - Jake sięgnął po piłkę i przymierzył się do strzału.

- Mogę już iść?

- Cześć - odpowiedział, rzucając piłkę. - Jessst! - wrzasnął, kiedy udało mu się trafić.

W jednej chwili byłam za drzwiami.

Latisha, Brenda i Yvonne czekały na mnie na ulicy, paląc papierosy. Nie one jedne - w drzwiach kłębił się tłum „białych kołnierzyków” z papierosami, zmuszonych do opuszczenia swoich biur, w których obowiązywał zakaz palenia. Yvonne ciągle wspomina stare dobre czasy, kiedy każdy mógł mieć popielniczkę na biurku i zaciągać się do woli, bez obawy, że zaraz wpadnie antyterrorystyczna brygada niepalących.

- Najwyższy czas. - Brenda rzuciła niedopałek na chodnik i przydeptała go niewiarygodnie szpiczastym czubkiem swoich niewiarygodnie wysokich białych szpilek.

- Przepraszam. Byłam u Jake'a. - Zapaliłam salema i zaciągnęłam się z ulgą.

- Czego chciał tym razem? - zapytała Latisha. - Żebyś znowu odebrała jego rzeczy z pralni?

- Nie. Tym razem nie. - Zastanawiałam się, czy opowiedzieć im o mandacie za złe parkowanie, ale tiznałam, że tego nie zrobię.

Latisha i Yvonne zawsze mówią, że powinnam bardziej się stawiać, kiedy Jake wykorzystuje wobec mnie swoje stanowisko. Brenda, jako osoba z natury uległa, raczej nie podejmuje tego tematu.

Tylko, że ja na ogół nie mam nic przeciwko załatwianiu jego prywatnych spraw.

Dobrze już, dobrze. Nie lubię tego, ale nie na tyle, żeby dążyć do konfrontacji.

- A więc Will wyjeżdża w niedzielę? - Ton Brendy nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że dziewczyny, czekając na mnie, omówiły całą sytuację.

- Wszystko na to wskazuje - odpowiedziałam lekceważącym tonem. Przeciskałam się właśnie obok niani pchającej wózek, starając się nie podpalić jej ani niemowlaka.

Boże, jaki był upał! Zlani potem turyści okupowali całą ulicę - a przecież czerwiec dopiero się zaczął. Przede mną było kilka długich, upalnych miesięcy. Nagle pomyślałam, że wolę spędzić lato wszędzie, tylko nie tu. W tej chwili nawet Brookside nie wydawało się takie złe.

- Chyba będziesz się z kimś spotykać, kiedy go tu nie będzie? - dopytywała się Latisha.

- Co ty! Nie! - Ale muszę przyznać, że natychmiast przyszedł mi do głowy Buckley.

- Will też nie będzie się z nikim spotykać?

- Nie.

- Jesteś tego pewna?

- Jasne.

Latisha nie odpowiedziała, ale zauważyłam, że rzuciła dziewczynom znaczące spojrzenie. Czekaliśmy właśnie na zielone światło. Zmrużyłam oczy i odwróciłam się do niej.

- A bo co? Uważasz, że nie ma zamiaru być wierny?

- Pokaż mi wiernego mężczyznę! Na pewno okaże się eunuchem! - wykrzyknęła Yvonne, trzykrotna rozwódka.

- To głupie - obruszyłam się. - Nie wszyscy mężczyźni oszukują. Mój tata na przykład...

- A skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Uwierzcie mi, że to wiem.

Tato, po trzydziestu latach małżeństwa, wciąż ma bzika na punkcie mamy. Nie mam pojęcia dlaczego. Czasami wydaje mi się, że ona wyłącznie go strofuje. Ma również sporą nadwagę, wąsik nad górną wargą i uwielbia ciasne, elastyczne spodnie, a on nie nazywa jej inaczej niż Bella, co jak wiadomo po włosku znaczy „piękna”. Najlepszy dowód na to, że miłość jest ślepa. W ten sposób da się wyjaśnić wiele rzeczy, łącznie z tym, że Will jest ze mną.

- Tracey ma rację - rzuciła Brenda. - Paulie nie oszukuje. Paulie to jej chłopak. Chodzą ze sobą od początku szkoły średniej. Zaręczyli się, zaczynając naukę w tym samym college'u i teraz, dokładnie trzy lata później, nadszedł czas na wielkie wydarzenie. Ślub odbędzie się w wielkiej sali w Jersey. Jesteśmy wszystkie zaproszone na wesele. Z osobą towarzyszącą.

Brenda wręczyła mi zaproszenie kilka tygodni temu. Zrobiło mi się bardzo miło, że umieściła mnie na liście swoich gości, bo znamy się przecież dopiero od kilku miesięcy. Zaraz też pomyślałam - wiem, że uznacie mnie za kompletną idiotkę - że Will zdoła jakoś wyrwać się z teatru, żeby pojechać ze mną na wesele.

Naturalnie, od razu powiedział, że nic z tego. Zamiast niego wezmę Raphaela. Mogłabym oczywiście iść sama, ale Latisha bierze Antona, a Yvonne Thora, swojego korespondencyjnego przyjaciela ze Szwecji, z którym wymienia listy od dzieciństwa. Zobaczą się pierwszy raz w życiu, bo Thor wybiera się na wakacje do Nowego Jorku.

Anton, czarnoskóry kieszonkowiec, Thor - cudzoziemiec, który podobno zna pięć języków, ale żaden z nich nie jest angielskim, i Raphael, homoseksualny odpowiednik bardzo rozwiązłych panienek z Baywatch. Podoba mi się ta trójka.

- Oczywiście, że Paulie nie oszukuje - pocieszyła Brendę Latisha prawie szczerym tonem. - Nie wszyscy oszukują, ale ja nie dałabym grosza za wierność Antona. Yvonne ma rację, kiedy mówi, że facetom nie można ufać. Dlatego Tracey nie powinna siedzieć z założonymi rękami, kiedy Will jest daleko.

- Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami - zaprotestowałam.

- Nie? A co masz zamiar robić? - zapytała Yvonne.

- Pracować nad sobą.

Muszę przyznać, że nie myślałam o niczym podobnym. Tak mi się chlapanęło. Jednak od razu uznałam, że to najlepszy pomysł, jaki miałam w życiu. W lecie wezmę się w garść i zacznę nad sobą pracować.

- Pracować nad sobą - powtórzyła za mną Yvonne. - A w jaki sposób?

- Każdy. Zrzucę kilka kilogramów. Nawet więcej niż kilka. Muszę dojść do formy. Zacznę oszczędzać. Może znajdę jakąś dodatkową pracę? Po wyjeździe Willa będę miała więcej czasu.

- Dodatkową pracę? Co na przykład?

- Nie wiem jeszcze. Mogę wyprowadzać ludziom psy. Albo pilnować dzieci. I nareszcie uporządkuję pokój... Zacznę czytać klasykę...

Byłam jak w transie. Czułam, że nadeszła moja wielka chwila.

- Tak trzymaj, dziewczyno. - Poczułam, jak Latisha przybija piątkę na mojej wolnej od papierosa dłoni.

- Zrobię wszystko, co sobie kiedyś obiecywałam. Ale nie przestanę palić - dodałam pośpiesznie.

Gdybym przestała palić, w jeden tydzień zrobiłabym się dwa razy grubsza. Ale jeśli chodzi o resztę... Nie ma sprawy. Zrobię to. Wiem, że to zrobię. Po raz pierwszy od kilku tygodni niemal nie mogłam doczekać się wakacji. Po powrocie Will z trudem mnie rozpozna. Będę szczuplejsza od Lary Flynn Boyle.

No, może trochę przesadziłam. Ale będę wyglądać bardzo dobrze. Nie, będę wyglądać super - nowe ciuchy, modna fryzura i temu podobne. Will na pewno straci głowę dla nowej Tracey. A potem - jak się domyślicie - zamieszkamy razem. Jeszcze później - weźmiemy ślub.

Ale nie robię tego tylko dla Willa, ustaliłam w duchu, kiedy wchodziłyśmy do meksykańskiej restauracji. Przede wszystkim robię to dla siebie. Po to, żeby dobrze o sobie myśleć.

A jeśli przy okazji Will nie będzie mógł mi się oprzeć - poinformowałam swoje drugie, opętane Willem ja - będzie to tylko dodatkowa premia. Bo -

zgodnie z poradami publikowanymi przez niezliczone kobiece magazyny, które czytam od lat - dziewczyna nigdy nie powinna zmieniać się z powodu faceta. To samo mówi Andrea Antonowski, moja najlepsza przyjaciółka z Brookside, a jej słowa do dzisiaj są dla mnie niczym Biblia - ostatecznie od szóstej klasy poczynając, Andrea zawsze ma chłopaka, a teraz jest zaręczona i czeka na ślub.

Cechą dobrego związku jest miłość i wzajemna akceptacja, bez względu na wygląd zewnętrzny. Tak jak w naszym - to znaczy Willa i moim - przypadku. W przeciwnym razie nie byłibyśmy razem, prawda? Will akceptuje mnie taką, jaka jestem. Tylko ja nie akceptuję siebie. Chciałabym być lepsza pod każdym możliwym względem.

No, dobrze. Przede wszystkim chciałabym lepiej wyglądać. Jeśli przy okazji uporządkuję szafę i przeczytam kilka powieści - świetnie! Ale głównym celem tego lata jest dla mnie schudnięcie.

I co w tym złego?

- Powinnaś wypróbować dietetyczną zupę z kapusty - poradziła Brenda. - Moja druhna odbije mi przepis. Przed ślubem muszę schudnąć dwa i pół kilo.

- Ja powinnam stracić dziesięć razy tyle - mruknełam, przeciskając się między japońskimi biznesmenami, którzy czekali na stolik.

Brenda nie skomentowała mojej odpowiedzi. Byłam trochę dotknięta. Chodzi o to, że ona albo Latisha, albo Yvonne mogłyby powiedzieć coś w rodzaju: „Nie przesadzaj, Tracey! Przecież nie masz aż takiej nadwagi”. Nawet jeśli to nieprawda.

Próbowałam ukryć rozczarowanie. Tłumaczyłam sobie, że nie chcę, żeby przyjaciółki okłamywały mnie dla poprawy mojego samopoczucia. Chyba tego nie chcę.

- A może powinnaś spróbować diety proteinowej? - zaproponowała Latisha. - Przecież lubisz steki i boczek, nie?

- Diety nic nie dają. - Yvonne zatrzepotała wymanikiurowanymi palcami. - Trzeba ćwiczyć. To podstawa sukcesu. Zaczynaj ćwiczyć codziennie. Znajdź sobie jakąś miłą siłownię. I koniecznie pracuj sam na sam z trenerem.

- Albo zapisz się do Strażników Wagi - dorzuciła Latisha.

- Osobisty trener? Strażnicy Wagi? Czy ja jestem księżną Yorku? Nie mam ani grosza. Nie mogę płacić za chudnięcie.

- Program Strażników Wagi nie kosztuje dużo.

- Ale nie jest bezpłatny.

- Najtaniej jest się zagłodzić - powiedziała Brenda. - Pod warunkiem, że nie skończysz w szpitalu na oddziale dla anorektyczek.

Pomyślałam sobie o Sofii - tej, która nauczyła mnie palić. Ona schudła. Kilka razy trafiała do kliniki w Cleveland. A ja nic. Od tamtej pory minęły trzy lata i nie zrezygnowałam z codziennego zwyczaju obżerania się do oporu. I mam więcej tłuszczu niż kiedykolwiek.

- Nie ma się z czego śmiać. Znam dziewczynę, która tak skończyła. Koleżanka Je'Naye z czasów, zanim Je zaczęła zadawać się z niewłaściwymi ludźmi. I pomyśleć, że kiedyś martwiłam się, że z powodu tych głupich diet dziewczyna może mieć zły wpływ na moją siostrę! A swoją drogą - słyszałam, że znowu jest w szpitalu.

Latisha potrząsnęła głową z nieobecną miną. Zawsze tak wygląda, kiedy myśli o swojej siostrze. Żadna z nas nie wiedziała, co powiedzieć. Zapadła cisza.

- W każdym razie, Tracey, kapusta też jest tania. - Brenda robiła, co się da. - Przyniosę ci ten przepis. Kiedy zaczynasz?

- Jak tylko Will wsiądzie do pociągu. W poniedziałek zobaczycie nową Tracey, która podąża drogą ku doskonałości...

- Ile osób? - przerwała kelnerka, która niespodziewanie wyrosła przed nami.

- Cztery - odpowiedziałyśmy zgodnym chórem.

Kiedy prowadziła nas do stołu, zdecydowałam się na cheddar i tłusty sos śmietanowy. Ostatnie szaleństwo, a potem uwolnię z siebie Calistę Flockhart.

Wiem, co chodzi wam teraz po głowie. Macie rację. Niejeden raz miałam wielkie plany związane ze zrzuceniem wagi. Ale tym razem to coś zupełnie innego. Tym razem zamierzam nad tym pracować. Uda mi się, nawet jeśli miałabym umrzeć.

Nie chodzi tylko o dietę. Zmieniam wszystko. Całe życie. Od niedzieli. Już od dzisiaj przygotowuję się duchowo. Właśnie tak.

Ale wcześniej muszę pożegnać się z Willem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Byłoby łatwiej, gdyby nasza ostatnia wspólnie spędzona doba zmieniła się w koszmar. Gdybyśmy na przykład skakali sobie do oczu albo grali sobie na nerwach, albo śmiertelnie się sobą nudzili.

Ale nie. Nic z tego.

W ten weekend nasze stosunki układały się tak dobrze jak nigdy przedtem - lub przynajmniej jak nigdy od bardzo dawna. Od naszych wspólnych początków.

Prawdziwe szczęście, że Nerissa wyjechała akurat z Broderickiem z miasta, bo na dworze było gorąco i parno, a u mnie nie ma klimatyzacji. Całe mieszkanie Willa mieliśmy dla siebie.

Ale i tak nie siedzieliśmy ciągle w domu.

W piątkowy wieczór Will zaskoczył mnie biletami na musical Rent. Sam widział go już kilka razy, a ja nigdy. Ale znam muzykę - z płyty kompaktowej, którą kupił sobie Will, i zawsze bardzo chciałam zobaczyć to przedstawienie. Prawdopodobnie dlatego, że bliskie jest mi libretto i trochę identyfikuję się z bohaterami - grupą młodych ludzi bez grosza przy duszy, którzy próbują zarobić na życie i marne mieszkanie w gorszych częściach dolnego Manhattanu. Chwała Bogu, że w przeciwieństwie do nich nie jestem zakażona wirusem HIV. I tak mamy dużo wspólnego, chociaż ja zdecydowanie nie wykazuję skłonności do intonowania pełnych gniewu songów, kiedy dostaję w łeb od losu.

Po przedstawieniu Will zabrał mnie na kolację do klubu, w którym często występują jego przyjaciele. Wprawdzie tego wieczoru na estradzie nie było nikogo znajomego, ale mnie to nie przeszkadzało. I tak jednym uchem słuchaliśmy piosenek. Przez cały czas rozmawialiśmy. Nie mam pojęcia o czym, ale ciągle się śmialiśmy i wypiliśmy mnóstwo wina.

Po powrocie do domu kochaliśmy się i było świetnie, pierwszy raz od wielu tygodni. Może sprawiło to wino, a może świadomość, że przez długi czas nie będziemy razem?

Dzisiaj rano poszliśmy do piekarni po świeże bajgle, a potem przez cały dzień włóczyliśmy się po Soho. Will kupił mi odlotowe kolczyki, a ja kupiłam mu drewnianą, rzeźbioną ramkę. Zaartowałam, że może włożyć w nią moją fotografię i wziąć ze sobą do pociągu, a on zrobił to zaraz po powrocie do domu! Znalazł zdjęcie, które od biedy mogę zaakceptować, bo nie wyglądam na nim zbyt strasznie, i wsadził ramkę do swojej podręcznej torby.

Teraz skończyliśmy chińskie jedzenie przyniesione z knajpki na dole, pijamy czerwone wino, a ja zachodzę w głowę, dlaczego tak się denerwowałam wyjazdem Willa. Jemu chyba nie chce się wyjeżdżać - tak przynajmniej wygląda. Już kilka razy powiedział, że będzie mu mnie brakowało.

- Chyba te wakacje szybko nam zlecą - odezwałam się z nadzieją w głosie.

Siedzieliśmy na podłodze obok łóżka Willa. Kartonowe pojemniki po chińszczyźnie wciąż leżały między nami. W tle cicho grał jazz.

- To trzy miesiące - mruknął, a ja nie byłam pewna, czy się ze mną zgadza, czy nie.

- W końcu trzy miesiące to bardzo niewiele. Pomyśl - jeszcze trzy miesiące temu miałam jakieś marne zleczone prace. Teraz pracuję w agencji Blaire Barnett... Czekaj - to zły przykład, bo wydaje mi się, że jestem tam od zawsze.

- Mam lepszy przykład - uśmiechnął się Will. - Trzy miesiące temu złapałem wirusa i strasznie chorowałem na żołądek, a ty przyjechałaś tu z wodą mineralną i dietetycznymi sucharkami. Wydaje się, że to było tak niedawno.

Wręcz przeciwnie, pomyślałam. Nigdy nie powinnam odgrywać siostry miłosierdzia, bo oczywiście zaraz zaraziłam się od Willa. Byłam taka chora, że zwymiotowałam w metrze. Nikomu nie życzę podobnego doświadczenia. Nikt się nie ruszył, żeby mi pomóc, a jakieś głupie smarkule śmiały się ze mnie w głos.

- Ja mam jeszcze lepszy. - Wyparłam z pamięci niemiłe wspomnienia. - Pamiętasz niespodziewanie ciepły dzień prawie trzy miesiące temu? Oboje mieliśmy wolne i nagle postanowiliśmy iść do zoo.

- Trzy miesiące temu? - Oparł się o łóżko. Jego ramię znalazło się tuż przy moim, a noga dotykała mojej nogi. - Przysięgłbym, że to było w maju.

- Nie. W marcu.

Przerzuciłam nogę przez jego uda. Mogłam sobie na to pozwolić, bo dzisiaj rano dokładnie ogoliłam łydki. Ostatecznie nadeszła już pora krótkich spodni. Miałam na sobie czarne džinsowe szorty, na tyle długie, że zakrywały najbardziej newralgiczne partie moich ud. Zlustrowałam nogi. Na białej skórze dostrzegłam czarne kropki po cebulkach włosowych. Pięknie! Przysięgłam sobie, że do powrotu Willa nie tylko zrzucę piętnaście kilogramów, ale opalę się na piękny brąz. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię. Może będę leżeć na dachu swojego domu? A może jednak zmuszę się do depilacji woskiem?

Tymczasem Will wciąż rozmyślał nad tamtym dniem w zoo.

- Czy to nie było w kwietniu?

- Na pewno w marcu. Na tydzień przed Dniem Świętego Patryka. To było niesamowite - słońce i dwadzieścia pięć stopni ciepła o tej porze roku. Kupiliśmy sobie okulary przeciwsłoneczne na ulicy. Facet przysięgał, że to markowe Ray-Bans.

- Racja. Moje rozpadły się godzinę później.

- Dobrze się wtedy bawiliśmy, prawda?

- Uhm - odpowiedział z roztargnieniem. Ciekawe, czy myślał jeszcze o tamtym dniu, czy o przyszłych dniach beze mnie.

Zrobiło mi się znowu bardzo smutno. Trzy miesiące to szmat czasu. To cała pora roku. Podczas trzech miesięcy wiele się może zmienić... Niekoniecznie na lepsze.

- Szkoda, że musisz jechać. - Spojrzałam mu w oczy. Siedzieliśmy tak blisko siebie, że czułam jego wodę kolońską.

- Muszę. - Odgarnął włosy z mojego policzka. - Ale wracam zaraz po Święcie Pracy*.

* Święto Pracy (ang. Labor Day) - oficjalne święto w USA i Kanadzie obchodzone w pierwszy poniedziałek września.

- Odwiedzę cię tam, dobrze?

- Uhm. - Ale w jego głosie nie było nawet cienia entuzjazmu. Ogarnęła mnie panika. Przecież przy różnych okazjach rozmawialiśmy o moim przyjeździe. Nigdy szczegółowo, ale zawsze... Nagle zdałam sobie sprawę, że to ja zawsze o tym mówiłam. Usiłowałam sobie przypomnieć, czy Will kiedykolwiek wspomniał, że tego chce. Nie. Ani razu.

- Nie przyjadę, dopóki na dobre się nie zagospodarujesz - zapewniłam. Może bał się, że wybiorę się do niego już w przyszłym tygodniu?

- Uhm.

- Will? Nie masz chyba nic przeciw temu, prawda? - Uważnie sprawdzałam jego reakcję. - Bardzo chciałabym zobaczyć cię na scenie...

Nie mówiąc o tym, że muszę sprawdzić, co tam robisz, i upewnić się, że mnie kochasz...

- W porządku... Ale musisz wiedzieć... To znaczy, przeczytałam właśnie regulamin dotyczący bursy dla aktorów. Goście nie mogą tam nocować.

- Goście nie mogą tam nocować? - powtórzyłam z niedowierzaniem. A co to jest? Żeński akademik w latach czterdziestych? - Przecież bursa jest koedukacyjna.

- Oczywiście, że tak. Ale mieszka tam bardzo dużo ludzi i nie ma pokoiów gościnnych. Poza tym w teatrze uważają, że powinniśmy skupić się na pracy. Goście będą nas rozpraszać.

- O!

- Możesz oczywiście przyjechać na weekend. Tam jest mnóstwo moteli i pensjonatów...

- Świetnie. - Zrobiło mi się lżej na sercu, kiedy wyobraziłam sobie romantyczny weekend w wiejskiej gospodzie. - Może w wolnej chwili uda ci się znaleźć jakieś miłe miejsce dla nas.

- Tylko, Tracey...

Rany! A teraz o co chodzi? Zaniepokoiłam się nie na żarty.

- Aktorzy muszą mieszkać w bursie. Taki jest regulamin. Podczas całego letniego sezonu wolno nam nocować poza bursą tylko w nadzwyczajnych wypadkach.

- Coś takiego! Czy oni mają zamiar czytać wam bajki na dobranoc i otulać was kołderką?

Will parsknął śmiechem, ale ja nie byłam w nastroju do żartów.

- To bardziej przypomina obóz pracy - powiedziałam.

- W moim zawodzie samodyscyplina jest najważniejsza, Tracey - pouczył mnie. - Liczę, że dzięki temu doświadczeniu wiele się nauczę i sprawdzę, czy nadaję się na scenę. Traktuję to bardzo poważnie. Chcę, żeby mi się udało. To dla mnie najważniejsza rzecz w życiu.

Było jasne, że to nie ja jestem najważniejsza w jego życiu.

Ta niewypowiedziana prawda nie powinna być dla mnie aż takim zaskoczeniem. Ale była. Nie wiem dlaczego, ale miałam nadzieję, że gdyby przyszło mu wybierać, Will zdecyduje się na mnie, nie na karierę.

Wybrał karierę, mimo że wcale nie musiał dokonywać wyboru.

- Nie martw się. - Próbowałam nie myśleć o tym, że czuję się zraniona. Nie chciałam psuć naszego ostatniego wieczoru. - Przyjadę i na pewno znajdę coś fajnego. Może nawet pozwolą ci mnie odwiedzić - zażartowałam.

- Nie przypominam sobie, żeby regulamin zakazywał odwiedzin. - Pochylił się i pocałował mnie.

To był szybki, ciepły pocałunek. Ciepły, ale nie namiętny. Na pewno nie był wstępem do czegoś więcej.

I nie był podobny do pamiętnego pocałunku Buckleya.

Na myśl o Buckleyu ogarnęło mnie poczucie winy. Mimo że od tamtego dnia minęło kilka tygodni, pamiętałam dokładnie, co czułam, kiedy zostałam pocałowana - zupełnie niespodziewanie przez zupełnie obcego człowieka.

Nie przyznałam się do tego nikomu, nawet Raphaelowi. Szczególnie Raphaelowi. Oczywiście powiedziałam mu, kiedy żądny wiadomości zadzwonił następnego dnia, że oboje się pomyliliśmy, bo Buckley jest hetero. Nie uwierzył, oczywiście. Raphael jest pewien, że każdy w miarę przystojny, dobrze ubrany facet, który wykonuje wolny zawód i mieszka w Nowym Jorku, musi być gejem.

- Być może Buckley myśli, że jest hetero - powiedział Raphael - ale któregoś ranka zbudzi się, Tracey, i uzna, że nie może dłużej żyć w więzieniu. Ogłosi wszystkim prawdę, a ja będę wtedy czekać na niego z otwartymi ramionami.

Raphael zawsze był optymistą.

W przeciwieństwie do mnie - wiecznej pesymistki. Pesymizm to główna cecha rodziny Spadolinich. Teraz na przykład nie miałam nadziei, że Will rzuci się na mnie i zanieś mnie na łóżko. Nie mogłam żywić podobnych nadziei, bo najwyraźniej wystarczało mu, że lekko objął mnie ramieniem.

- Byłbym zapomniał. Dałem twój telefon Milosowi. Powiedziałem, żeby dzwonił, jeśli latem zabraknie mu ludzi. Nie tylko ja wyjeżdżam na wakacje.

- Naprawdę? Dzięki. Zastanawiałam się właśnie, jak znaleźć dodatkową pracę. Bardzo potrzebuję forsy.

- Masz szczęście. Milos dobrze płaci. A napiwki bywają naprawdę super. Powiedziałem mu, że masz doświadczenie.

- Nazywasz doświadczeniem kelnerowanie w przydrożnym barze podczas jednych wakacji w liceum? Wątpię, czy to wystarczy Milosowi, który urządza przyjęcia na Manhattanie dla bogatych i sławnych.

- Nie daj się zastraszyć, Tracę. Nie wszyscy klienci Milosa są sławni i bogaci.

- Daj spokój, Will. Nawet jeśli nie są sławni, nie powiesz, że to zwykła klasa średnia, prawda? U Milosa kilkadziesiąt prostych przystawek w rodzaju minipizzy kosztuje więcej, niż ja zarabiam w ciągu dnia.

- To prawda. Dlatego powinnaś brać każdą pracę, jaką ci zaproponuje.

- Tak zrobię.

To świetnie, że będę mogła dorobić do swojej nędznej pensji. Nie powiedziałam Willowi o planie samodoskonalenia, który od jutra wprowadzam w życie. Postanowiłam, że zaskoczę go po powrocie swoją nową powierzchownością. To znaczy - osobowością.

- Która jest godzina? - ziewnął Will. Spojrzałam na zegarek.

- Dochodzi jedenasta.

- Powinniśmy iść spać. Jutro wstaję o wpół do szóstej. Dreszcz przeszedł mi po plecach - o świcie muszę się z nim pożegnać. Zostało nam tylko osiem godzin, a on najwyraźniej zamierza je przespać.

- Słuchaj, Tracey. To byłoby nieludzkie zrywać cię z łóżka tak wcześnie. Pośpij sobie, a potem zostaw klucze u Jamesa.

Na coś takiego nie byłam wcale przygotowana. Mam zostawić klucze u Jamesa? Na całe lato?

- Czy to dobry pomysł? Nie mogłabym ich zatrzymać? Zawsze to bezpieczniej.

- Nie martw się. James odda je jutro Nerissie. - Will wy dostał się spod mojej nogi i wstał.

Trzęsłam się w środku jak galareta. Will nie zostawia mi kluczy?

- Ale Nerissa nie potrzebuje dwóch kompletów - cudem udało mi się mówić spokojnie. - Gdyby kiedyś zatrzęsnęła się na zewnątrz, James jej pomoże.

Will przestał strząsać niewidoczny kurz z szortów, żeby na mnie popatrzeć.

- O co ci chodzi, Tracey?

- O nic. - Wzruszyłam ramionami. - Myślałam, że zostawisz mi klucze. To znaczy, mogłabym podlewać twoje rośliny...

- Nerissa się tym zajmie.

- Aha. Ale jest jeszcze jedno. U mnie nie ma klimatyzacji, a latem w mieście nie da się wytrzymać. Może mogłabym przychodzić do twojego mieszkania, żeby się trochę ochłodzić?

Nie odwrócił głowy. Patrzył mi prosto w oczy. Uznałam, że to dobry znak, dopóki nie dodał:

- Początkowo chciałem tak zrobić. Ale wiesz, pojawiałabyś się tu bez uprzedzenia, a to nie byłoby w porządku wobec Nerissy. Liczyła, że podczas wakacji będzie miała mieszkanie tylko dla siebie.

- Och! Nie ma sprawy. Po prostu... Rozumiem. Wszystko w porządku.

Ale tak nie było. Zranił mnie, i to bardzo. Czułam, że za chwilę się rozplączę. Musiałam natychmiast zmienić temat rozmowy. Kiedy rozglądałam się dookoła, poszukując natchnienia, mój wzrok padł na notes i długopis leżące przy telefonie. Złapałam je z ulgą.

- Will, bo zapomnę... Czy możesz dać mi telefon do bursy? Tak na wszelki wypadek. W razie gdybym nie mogła dodzwonić się na komórkę. Nie wzięłam ze sobą elektronicznego notesu, ale po powrocie do domu...

Zauważyłam cię niezadowolona na jego twarzy. Co więcej - przerzucił ciężar ciała z nogi na nogę, co zawsze jest złym znakiem.

- Tracę, rzecz w tym, że... To niemożliwe! Nie wierzę.

- Że co? Nie wolno wam rozmawiać przez telefon?

- Tam nie ma telefonu. To znaczy jest automat telefoniczny...

- Automaty mają swoje numery. Chcesz powiedzieć, że ten nie ma?

- Może ma. Nie wiem. Sprawdzę na miejscu. Teraz nie znam żadnego numeru. To znaczy... Rzecz w tym, że będzie tam dwadzieścia pięć osób, jeden telefon i będziemy wszyscy bardzo zajęci na próbach, a potem na przedstawieniach, więc... Więc usiłuję ci teraz wytłumaczyć, że w podobnej sytuacji rozmowy telefoniczne nie są najlepszym sposobem porozumiewania się.

- Mogę dzwonić na komórkę.

- Sam nie wiem... To znaczy, oczywiście, że tak. Możesz próbować, ale nie mam pojęcia, kiedy będę ją włączać. Byłoby głupio, gdybyś dzwoniła podczas prób, prawda?

Nic na to nie poradzę - byłam coraz bardziej wkurzona.

- Rozumiem, że e-maile też nie wchodzi w grę?

- To byłoby najlepsze. Gdybym tylko miał laptopa... Ale nie mam.

- Może będziemy pisać do siebie listy jak w dawnych dobrych czasach? - powiedziałam z udawaną nonszalancją, która miała zamaskować ironię. - Jak Yvonne i Thor. Bardzo romantycznie.

- Kto?

- Nieważne. - Wzruszyłam ramionami i poszłam do łazienki. - Nie masz nic przeciw temu, że pójde pierwsza?

- Oczywiście, że nie. Muszę jeszcze zajrzeć do torby i sprawdzić, czy wszystko spakowałam. Rano nie będzie na to czasu.

No tak. Rano będzie się spieszyć. Byle dalej stąd. Byle dalej ode mnie.

Może jestem niesprawiedliwa. Przecież wiem, że Will nie wyjeżdża z Nowego Jorku po to, żeby ode mnie uciec. Ale jakie to ma teraz znaczenie?

Ledwo zamknęłam za sobą drzwi od łazienki, a już zaczęłam płakać. Odkręciłam wodę i kilka razy splukiwałam muszlę klozetową - wszystko po to, żeby zagłuszyć coraz głośniejsze łkanie, którego nie mogłam powstrzymać.

Kiedy wróciłam do pokoju, Will był w zdecydowanie lepszym humorze.

- Wszystko w porządku - poinformował mnie, zamykając torbę.

Odwrociłam głowę, żeby nie zauważył moich podpuchniętych oczu.

- To świetnie.

- Za chwilę będę z powrotem - powiedział, wchodząc do łazienki.

Zgasiałam światło i weszłam do jego łóżka.

Chciałabym móc powiedzieć, że potem wziął mnie w ramiona i kochał się ze mną, łagodnie i czule. I że nasze stosunki wróciły do normy.

Było jednak zupełnie inaczej.

Owszem, kochaliśmy się, ale to ja zrobiłam pierwszy ruch. Byłam zdesperowana i bardzo chciałam udowodnić sobie, że wszystko jest w porządku.

Will podjął moją akcję. Ale kochaliśmy się byle jak, mechanicznie i - bo ja wiem - może określenie „na zimno” jest za mocne? A może nie.

Natychmiast potem zwinął się w kłębek po swojej stronie łóżka i zasnął. A ja leżałam z otwartymi oczami, słuchając jego równego oddechu, szumu klimatyzacji i dalekich odgłosów ulicy.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

O świcie zadzwonił budzik. Will wyskoczył z łóżka.

Odwrociłam się na bok. Udawałam, że nie chcę wybić się ze snu. Tak jakbym w ogóle spała tej nocy... Jeszcze chwila, a rozkleję się, zacznę płakać albo jeszcze gorzej - błagać go, żeby został.

Przez okno sączyło się mlecznoszare światło. Spod półprzymkniętych powiek obserwowałam, jak Will biega po pokoju. Słyszałam odgłos wody lejącej się z prysznicza, potem kuchenną krzątaninę. Wiedziałam, kiedy nalewa do szklanki sok i sypie płatki do miseczki.

Przekonany, że śpię, chodził na palcach, cicho otwierał i zamykał szuflady, nie trząsał drzwiami od lodówki. Słyszałam nawet, jak przetyka sok i chrupie płatki. Zasuwa zamek w dzinsach. Rozpyła wodę kolońską. Znowu odkręca wodę w łazience i myje zęby.

Potem poczułam zapach wody kolońskiej i jego ciepły oddech na policzku.

- Muszę już iść, Tracę... - Pochylił się nade mną.

- Hm? - udawałam, że się zbudziłam.

- Muszę iść. Do pociągu. Zostawiam klucze na blacie w kuchni.

Oczywiście. Mam oddać je portierowi.

- Zjedz, co chcesz, na śniadanie. Tylko nie zostawiaj brudnych naczyń w zlewie.

Najeżyłam się cała. Czy on naprawdę uważa mnie za takiego niechlujka? Przecież nie każe Nerissie zmywać po sobie!

Już otwierałam usta, żeby powiedzieć, co myślę o takich uwagach, kiedy pochylił się, żeby mnie pocałować. Szybko zacisnęłam wargi, świadoma jego świeżego, miętowego chuchu i mojego oddechu smoka.

- Będę za tobą tęsknić, Tracę - powiedział. W drzwiach odwrócił się ostatni raz. - Zadzwonię do ciebie, kiedy już wszystko się ustali.

Taaak.

Wyszedł, a ja rozplakałam się w poduszkę. Płakałam i płakałam. Zwlokłam się z wilgotnego łóżka z czerwonymi, opuchniętymi oczami i obolałym nosem. Zlepione nad czołem włosy miałam całkiem mokre. Potem długo stałam pod prysznicem. Zanim się ubrałam, wypaliłam kilka papierosów. Pety wrzucałam do muszli i spuszczałam wodę, ale nawet nie otworzyłam szafki, w której Will trzyma odświeżacz powietrza o zapachu polnych kwiatów. Po co zawracać sobie głowę? Nie będzie go tu aż do września.

Co mnie obchodzi Nerissa? Niech sobie węża zastarzały dym po moich papierosach.

Potem zaparzyłam kawę - całe pół dzbanka, i zrobiłam jajecznicę z dwóch jaj. Na maśle. Miałam nadzieję, że kawa postawi mnie na nogi, a jajka uspokoją mój rozhuśtany emocjami żołądek.

Nic z tego.

Po jajecznicy i kawie dalej byłam zmęczona i było mi jeszcze bardziej niedobrze. Tak niedobrze, że tylko z grubsza spłukałam brudne naczynia i zostawiłam je w zlewie. Niech Nerissa pozwie mnie za to do sądu, jeśli chce.

Spakowałam rzeczy do podręcznej torby. Szczoteczkę do zębów zostawiłam na zwykłym miejscu. I co z tego, że Will wyjechał?

Potem mogłam już tylko zamknąć za sobą drzwi i zjechać na dół. James był oczywiście na posterunku. Piękny jak zawsze i jak zawsze w granatowym uniformie, który podkreślał jego szerokie bary.

- Jak się masz? - odezwał się na mój widok.

Nigdy nie wiedział, jak mam na imię, i do tej pory jakoś mi to nie przeszkadzało. Teraz jednak bardzo chciałam poczuć, że mam tu swoje miejsce. W domu, w którym mieszka Will. I w jego życiu.

- Jako tako - odpowiedziałam, podając mu klucze. - To dla lokatorki Willa.

- Dla Nerissy. - Kiwnął głową. Oczywiście. Zna jej imię. Ona tu mieszka, nie ja. W tej chwili nie znosiłam Nerissy jak nigdy dotąd. Chociaż być może byłam niesprawiedliwa. Nerissa jest tylko lokatorką Willa, a ja jestem jego dziewczyną.

Wystarczyło postawić nogę na ulicy, żeby poczuć się jak wewnątrz wirującej suszarki nastawionej na najwyższą temperaturę. Ściana gorącego powietrza waliła się na głowę. Słońce gdzieś zniknęło. Nad dachami wielkich budynków wisiały szare chmury. Upał nie do wytrzymania, chociaż dopiero dochodziła dziewiąta.

To nie był nawet lipiec

Do lipca było jeszcze daleko.

A kiedy przeżyję jakoś lipiec, czeka mnie cały sierpień. Dopiero we wrześniu przyjedzie Will i moje życie wróci do normy.

Zapaliłam papierosa i zaciągnęłam się głęboko.

Dziwne. Mimo że pękała mi głowa, a żołądek przewracał się na drugą stronę, poczułam się lepiej.

Na krótko. Wystarczyło kilka przystanków w trzęsącym się wagonie zatłoczonego metra, żeby o tym zapomnieć.

Wysiadłam w East Village. Na ulicy sprawdziłam czas. Will od dawna siedział już w pociągu, który wiozł go na północ. Wyliczyłam, że co najmniej godzinę temu opuścił granice Nowego Jorku. Wyobrażałam sobie, jak siedzi przy oknie i ogląda mijany krajobraz. Ciekawe, czy myśli o mnie?

Jakoś nie wydawało mi się to prawdopodobne.

Nie. Z całą pewnością myśli teraz o tym, co go czeka.

Ja też powinnam o tym pomyśleć.

Wtedy przypomniałam sobie, że to właśnie dzisiaj miałam zrobić pierwszy krok na drodze do mojego nowego ja - nowego, chudsze go ja.

Jajecznica na maśle - piękny początek!

Zaraz, zaraz... Przecież takie rzeczy zaleca dieta wysokobiałkowa.

Zaczynam dietę wysokobiałkową, postanowiłam, przyspieszając kroku. Na sąsiednim rogu zauważyłam Food Emporium, wielki sklep spożywczy. Weszłam do środka i złapałam koszyk, żeby zaopatrzyć się w odpowiednią ilość protein. Węglowodany - wykluczone.

Oto co kupiłam:

Parówki.

Jajka.

Bekon.

Płaty suszonej wołowiny w dwóch smakach.

Sery - Muenster i Monterey Jake, chociaż według mnie one wcale nie różnią się smakiem, tylko kolorem. Swoją drogą - jakim cudem jeden jest aż taki pomarańczowy?

W białkowym szale chciałam jeszcze dokupić mrożonego, pieczonego kurczaka, ale w samą porę zauważyłam, że żywiąc się w ten sposób, szybko doprowadzę się do bankructwa.

Cóż! Żadna dieta nie jest doskonała.

Musiałam zapłacić kartą, bo do następnej pensji zostało mi tylko piętnaście dolarów.

Pod moją nieobecność mieszkanie przesiąkło nieznanym zapachem. Mówiąc precyzyjnie: nie całkiem nieznanym. Poczułam go, kiedy weszłam tu pierwszy raz w życiu. Była to mieszanina płynu do mycia podłóg i kocich sików uzupełniona lekką nutą curry. Teraz kompozycja została wzbogacona o zaduch dymu papierosowego.

Rzyg.

Żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, otworzyłam jedyne okno, które niestety wychodzi na ulicę. Miałam już czym oddychać, ale uszy wędły mi od

odgłosów kłótni toczącej się cztery piętra niżej. Jakaś nastolatka obrzucała swojego chłopaka gradem wyzwisk przerywanych od czasu do czasu jego nieartykułowanymi protestami, w których przeważało słowo „no”. Czasami były to nawet dwa „no”, jak w zdaniach: „no, no, i ja to niby powiedziałem, tak?” albo „no, no, zejź już że mnie, wieśniaku”.

Jak rozumiem, ona miała być tym wieśniakiem, bo kiedy wyjrzałam przez okno, nie zauważyłam przy nich nikogo trzeciego. Burda pod oknem. Tego mi jeszcze brakowało!

Nagle na dole zapadła cisza. Nie całkowita oczywiście, bo ruch na ulicy nie zamarł, ale kłótnia najwyraźniej została zakończona. Znowu zerknęłam przez okno. Zobaczyłam szczęśliwą parę splecioną ramionami. Bez wątpienia uprawiali seks na czyimś progu.

Dobra. Co teraz?

Rozejrzałam się po pokoju. Wszędzie pełno było książek, kolorowych magazynów i zeszytygodniowych gazet. Uświadomiłam sobie, od jak dawna niczego nie czytałam. A przecież teraz mam skupić się na klasyce. Tak postanowiłam. Wcisnęłam Mary Higgins Clark i Jamesa Pattersona pod materac. Na poduszce zostawiłam tylko najnowszą powieść Joyce Carol Oates. Nie była to wprawdzie klasyka, ale że wszystkiego, co obecnie posiadam, najbardziej ją przypominała.

Rozpakowałam zakupy w mikroskopijnej wnęce kuchennej. Niestety, znowu zrobiłam się głodna. Wrzuciłam na patelnię trzy... no dobrze - cztery parówki i odrobinę masła i poszłam przesłuchać sekretarkę.

Trzy wiadomości. Może Will dzwonił z pociągu, pomyślałam z nadzieją i niecierpliwie czekałam, aż przewinie się taśma.

Piii. Wiadomość pierwsza:

„Cześć, Tracey, to ja” - usłyszałam głos Raphaela. - „Kate i ja chcemy zabrać cię w niedzielę na lunch. Wiemy, że Will już wyjechał. Oddzwoń, żebyśmy mogli coś postanowić”.

Następne piii i wiadomość druga:

„Hej, Tracey. Raphael i ja chcemy zabrać cię w niedzielę na lunch, żeby nie było ci zbyt smutno po wyjeździe Willa. Zadzwoń do mnie”.

Potem było nagranie trzecie:

„Tracey! Czy u ciebie wszystko w porządku? Mama powiedziała, że nie telefonowałaś do niej ponad tydzień. Denerwuje się. Zadzwoń do mnie albo do niej i daj znać, co u ciebie słyhać. Całuję”.

Westchnęłam ciężko. Jeśli myślicie, że moja mama mogłaby sama podnieść słuchawkę i zadzwonić do mnie, zamiast używać do tego Mary Beth, grubo się mylicie. Ona ma dziwną przypadłość - nie uznaje międzymiastowych rozmów. Słowo daję, że to prawda. Być może boi się wydatków, ale ja skłaniam się ku przypuszczeniu, że w ten sposób z wrodzonym sobie uporem mama chce mi pokazać, że nie aprobuje mojego wyjazdu. Tak jakby myślała, że jeśli do mnie nie zatelefonuje, ja zrozumieję, jak bardzo za nią tęsknię i natychmiast wrócę do domu.

Zazwyczaj rozmawiam z rodzicami kilka razy w tygodniu, ale przez ostatnie dni byłam zajęta w pracy, a każdą wolną chwilę spędzałam z Willem.

Sięgnęłam po słuchawkę, ale wybrałam numer Mary Beth, nie rodziców. Zresztą i tak są teraz w kościele. Moja siostra odebrała telefon już po drugim dzwonku.

- Żyjesz - powiedziała.

- Skąd wiesz, że to ja?

- Zainstalowałam wyświetlacz numerów. Wiem teraz, kiedy dzwoni Vinnie, i nie odbieram jego telefonów.

- To wspaniale.

Byłam naprawdę zaskoczona. Myślałam, że wciąż usycha z tęsknoty za swoim byłym małżonkiem i zrywa się na każdy dzwonek w nadziei, że on chce się z nią pogodzić.

- Mój terapeuta kazał mi to zrobić. Według niego mogę rozmawiać z Vinniem tylko w sprawach dotyczących dzieci. Wszystkie inne rozmowy są zbyt bolesne i wzbudzają we mnie nadzieje, których nie powinnam sobie robić.

- Czy Vinnie dzwoni do ciebie i mówi, że jest jakaś nadzieja?

- Byłby to zadziwiający obrót rzeczy.

- Dzwoni do mnie. Tak - potwierdziła ponuro Mary Beth.

- Ale po to, żeby opowiedzieć o babach, z którymi się umawia, i o rzeczach, które kupuje do swojego nowego mieszkania. Doprowadza mnie tym do furii, bo w sprawie alimentów zachowuje się jak najgorszy skąpiec. Myślę, że chce mi dopiec i wzbudzić we mnie poczucie winy. George mówi...

- Kto to jest George?

- Mój terapeuta. On mówi, że nie wolno mi wysłuchiwać jego opowieści ani z nim rozmawiać...

- Z Vinniem? Czy z George'em?

- Przecież o nim mówię.

- Nie wiem. O George'u też.

- Słuchaj. To George mówi, że nie wolno mi rozmawiać z Vinniem, bo robię sobie niepotrzebne nadzieje.

Nie jestem w stanie pojąć, jakim cudem Mary Beth może jeszcze mieć nadzieję, że ich stosunki dadzą się naprawić. Boję się, że ona nigdy nie przestanie go kochać i do końca życia będzie go wysłuchiwać. Tak było od czasów szkoły średniej, kiedy zaczęli ze sobą chodzić.

- Mary Beth! Czy ty wciąż ćwiczysz? - Chodziłam tam i z powrotem po swoim małym mieszkaniu. W kuchni nalałam sobie szklankę wody. Wczorajsze wino i sos sojowy oraz dzisiejsza kawa całkowicie mnie odwodniły.

- No tak. Ale ostatnio mam mniej czasu i rzadziej bywam w klubie. Dlaczego pytasz?

- Ile schudłaś? - Upiłam łyk wody. Fúj. Była ciepła jak zupa. Odkręciłam kran i odczekałam chwilę, aż zacznie lecieć zimna. Resztkę wody wlałam do filodendrona. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio go podlewałam.

- Trochę schudłam. Ale musisz wiedzieć, że mięśnie ważą więcej niż tłuszcz. Nędzna wymówka, która miała usprawiedliwić fakt, że wcale nie schudła. Ale kto wie? Może z powodu genów obie jesteśmy skazane na porażkę w tej walce?

Nie! Nie mogę tak wyglądać do końca życia! Nie zgadzam się na to. Pomaszerowałam do kuchni po następną szklankę wody. Wracając stanęłam przed lustrzanymi drzwiami do łazienki.

Auu!

To był okropny widok. Miałam na sobie wczorajsze czarne szorty i powyciąganą białą podkoszulkę za pupę. Wprawdzie szorty zasłaniały te obszary moich nóg, na których na dobre rozpanoszył się cellulitis, ale nie ukrywały prawdy: miałam grube uda, które trzęsły się jak budyń.

W wyobraźni zobaczyłam Nerissę i jej smukłe ciało.

Natychmiast poczułam nową falę entuzjazmu dla swoich planów. Zaczynam dietę. Będę ćwiczyc. Każdego dnia. Będę pić osiem szklanek wody dziennie.

Upiłam trochę ze szklanki, którą trzymałam w ręku. Dobry początek.

- A co u ciebie? - zapytała Mary Beth.

Miałam ochotę opowiedzieć jej o moim planie pracy nad sobą. Właśnie zastanawiałam się, czy to zrobić, kiedy moja siostra rzuciła od niechcienia:

- Chyba Will już niedługo wyjedzie, prawda?

- Wyjechał dzisiaj rano.

- Musisz być załamana.

Typowa reakcja mojej siostry. To urodzona pesymistka. Tak jak nasza mama. Dla nich zawsze szklanka jest do połowy pusta. Przez cały czas walczę z podobnymi skłonnościami u siebie. Oczywiście, w tym przypadku trudno jest powiedzieć, że szklanka jest do połowy napelniona. Will wyjechał, i już.

Mogę wyliczyć wiele sytuacji w moim życiu, na które moja siostra zareagowała negatywnie, zamiast udzielić mi wsparcia. Na przykład, kiedy znalazłam w Nowym Jorku mieszkanie, na które w końcu było mnie stać, nie powiedziała, że to świetnie, ale zdziwiła się, że mam zamiar płacić straszne pieniądze za coś, co nie ma nawet oddzielnej sypialni.

Powinłam się do tego przyzwyczaić, ale nie, nie mogę. To mi psuje humor.

- Wiesz, muszę już kończyć - powiedziałam szybko. - Zaraz wychodzę. Idę z przyjaciółmi na lunch.

- Z kim?

- Z Kate i Raphaelem. - Jakby to miało jakieś znaczenie. I tak nie zna żadnych moich nowojorskich znajomych.

- Raphael to chyba ten... homoseksualista?

O mało nie parsknęłam śmiechem. Nie z powodu słowa, ale niezwyklej staranności, z jaką je wymówiła. „Gej” nie przeszedłby jej przez gardło.

- Tak. To on.

W wyobraźni zobaczyłam, jak Mary Beth walczy teraz ze swoimi uprzedzeniami.

- Baw się dobrze - powiedziała. - Aha! Słuchaj, może przyjechałabyś do domu w przyszłym miesiącu? Rodzice obchodzą trzydziestą piątą rocznicę ślubu i chcemy urządzać im przyjęcie. Przemyśl to, dobrze?

- Sama nie wiem... W moim biurze niechętnie dają dni wolne. Nie należy mi się jeszcze urlop, mam do niego prawo dopiero po sześciu miesiącach pracy, chociaż Latisha mówi, że można wcześniej wyłudzić dzień albo dwa. Wszystko zależy od bezpośredniego szefa. Mam nadzieję, że Jake zgodzi się na jeden długi weekend, podczas którego chcę odwiedzić Willa, a nie jechać do Brookside.

- Postaraj się, Tracey. Nawet jeśli miałyby to być tylko sobota i niedziela. Nie byłaś w domu od Wielkanocy. Chłopcy za tobą tęsknią.

- Dobrze, postaram się.

Nie pilnowałam się i nagle dopadła mnie tęsknota za domem. Wszystko dlatego, że Mary Beth wspomniała chłopców, czyli moich siostrzeńców. Vince, czyli Vincent Carmine Rizzo Junior (dzięki Bogu, nikt go tak nie nazywa), ma cztery lata, a Nino prawie trzy. Obaj mają czarne kręcone włosy,

błyszczące brązowe oczy i cudne, pulchne ciałka. Uwielbiam ich. Nie mogą się ode mnie odczepić, żądają, żeby ich nosić na barana, wieszają się na mnie, żeby mnie pocałować i objąć.

Gdyby tu dzisiaj byli, nie czułabym się taka opuszczona.

- Postaraj się przyjechać - powtórzyła moja siostra. - Wszyscy za tobą tęsknimy.

- Postaram się - powiedziałam znowu. Ale tym razem szczerze.

Na tym skończyłyśmy. Łyknęłam trochę wody, która znowu była letnia, i skrzywiłam się z odrazą. Potem zadzwoniłam do Raphaela. Poinformował mnie, że wszystko jest już zaplanowane. Jemy niedaleko mnie, w nowej restauracji na rogu Czternastej Ulicy i Alei A. Spotykamy się tam o wpół do pierwszej. Zanim odłożyłam słuchawkę, usłyszałam w tle męski głos. Najwyraźniej Raphael nie spędził tej nocy sam. Ciekawe, czy przywodzi swojego nowego faceta?

Postanowiłam zajrzeć do parówek. Myśląc o życiu uczuciowym Raphaela, przypominałam sobie Buckleya O'Hanlona. Przyszło mi do głowy, że gdyby Will rzucił mnie podczas tych wakacji, zawsze mogę zacząć umawiać się z Buckleyem.

Zamarłam z ręką nad patelnią. To idiotyczne! O czym ja mówię?

Will mnie nie rzuci!

Nie ma takiej możliwości.

A nawet... Nawet gdyby mnie rzucił, nikt mi go nie zastąpi. Nigdy. On i ja mamy za sobą szmat życia...

A przed sobą - długą przyszłość. Oczywiście jeśli wszystko potoczy się zgodnie z moimi oczekiwaniami.

Buckley O'Hanlon jest miłym facetem do wzięcia, który kiedyś mnie pocałował. Owszem, mogłabym zainteresować się kimś takim jak on, gdyby w moim życiu nie było Willa. Ale mam Willa i będę z nim przez całe życie. Poczułam ostry ból w sercu na samą myśl, że mogłoby być inaczej.

Złapałam za patelnię i potrząsnęłam nią lekko, żeby wszystkie parówki równo się przypiekły. Potem przerzuciłam je na talerz, zalałam keczupem, dodałam musztardę i połknęłam w okamgnieniu.

Dopiero kiedy zaczęłam zmywać, przyszło mi do głowy, że dieta proteinowa prawdopodobnie wyklucza wszelkie przyprawy i sosy. Powinnam to sprawdzić, zanim pofolgowałam swoim zachciankom.

I jeszcze jedno. Prawdopodobnie nie powinnam jeść tuż po śniadaniu i tuż przed spotkaniem z Kate i Raphaelem w restauracji. Ale z drugiej strony -

przekonywałam restrykcyjną stronę swojej osobowości - nie można marnować jedzenia. Smażone parówki są później niesmaczne.

A poza wszystkim innym - byłam głodna. Jak zwykle.

Obiecałam sobie, że bez względu na to, co będą jedli Kate i Raphael, ja zamówię tylko kawę. Ale zaledwie godzinę później, na rogu Wschodniej Czternastej i Alei B poczułam, że znowu chce mi się jeść. Co jest? Byłam pewna, że duże ilości białka zabijają głód. Najwyraźniej się myliłam. Chyba dieta wysokobiałkowa nie była najlepszym pomysłem.

Kiedy weszłam do małej restauracji, Kate już tam była. Stała w drzwiach i czytała ogłoszenia przyklejone do ściany. Miała na sobie luźną sukienkę bez rękawów z jasnożółtego lnu i płaskie buty pod kolor. Włosy spięła z tyłu kłamrą. W takim stroju bywa się na ogrodowych przyjęciach w Connecticut, a nie w słabo oświetlonej knajpie z typowym dla East Village ekscentrycznym wystrojem.

Ściany całego niewielkiego pomieszczenia pomalowano na ciemnoczerwony kolor, podłoga była w czarno-białe pasy, gdzieś tam zachlapane fluorescencyjną fioletową farbą. Z sufitu zwisały dziesiątki mobilni zrobionych z pogiętych sztuców przyklejonych złotym sznurkiem do zwyczajnych, metalowych wieszaków na ubrania. Wszystkie obracały się powoli w podmuchach ciepłego powietrza poruszanego przez wiatraki umocowane do sufitu.

Całą długość jednej ze ścian zajmował bar, na pozostałej przestrzeni tłoczyły się okrągłe plastikowe stoły i krzesła w psychodelicznych kolorach.

Klon Roba Lowe'a, który rezydował za barem, pokazał, że możemy siadać, gdzie chcemy. Wybrałyśmy stół najbliższy otwartych na oścież drzwi - w knajpie nie było klimatyzacji, a wiatraki tylko mieszały gorące powietrze.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Kate z wyraźnym południowym akcentem, jak tylko usiadłyśmy. Na jej bezbłędnie umalowanej twarzy malowała się troska o mnie.

- A co? Nie wyglądam dobrze?

- Wyglądasz raczej... smutno.

Aż tak to widać? Myślałam, że weszłam tam luźna i zadowolona. Taki przynajmniej miałam zamiar.

- Oczywiście, że mi smutno. - Sięgnęłam po laminowane płachty menu, ustawione na sztorc między solniczką a pieprzniczką. - Will wyjechał dopiero kilka godzin temu. No nic. Jakoś przywyknę.

- Może to ci dobrze zrobi. Wiesz... to, że Will jest daleko. Będziesz mogła... będziesz miała okazję, żeby...

Czekałam cierpliwie, aż Kate skończy zdanie, chociaż wiedziałam, że liczy na to, że ja skończę je za nią.

- Będziesz miała okazję sprawdzić, kim jesteś bez niego - wyjąkała w końcu.
- Zgłębić własne ja.

- Serdeczne dzięki. Bawisz się w Oprah Winfrey, czy co?

- Próbuję jakoś ci pomóc. Wiesz, znaleźć coś, co ułatwi opanowanie sytuacji.

- I tak jesteś lepsza od mojej siostry. Rozmawiałam z nią niedawno. Powiedziała, że muszę być załamana.

- A jesteś? Oczywiście, że tak.

- Oczywiście, że nie!-Nie odrywałam oczu od menu.- To za mocne słowo. Kobieta jest załamana, kiedy jej mąż odchodzi do innej. Kiedy traci dziecko. Albo pracę. Ludzie prawdopodobnie mogą być załamani, kiedy ze sobą zrywają. Ale my ze sobą nie zerwaliśmy. Po prostu Will wyjechał na kilka miesięcy.

O Boże! Za dużo gadam.

- Pomyśl o żonach żołnierzy - mówiłam coraz szybciej. Ratunku, niech ktoś każe mi się zamknąć!

Kate kiwnęła głową. Ja nie mogłam przestać. Gadałam jak nakręcona.

- To naturalne, że ich mężowie wyjeżdżają na dłuższy czas. Czasami bardzo daleko. Czasami w niebezpiecznych misjach... Oczywiście, że byłabym załamana, gdyby Will został wysłany w niebezpiecznej misji gdzieś daleko, ale - na litość boską - on będzie grać w letnim teatrze zaledwie dwieście mil stąd... albo i mniej.

Kate drugi raz kiwnęła głową. Z jej miny widziałam, że przejrzała mnie na wylot. Prawdę mówiąc, czułam się tak, jakby teatr Willa stał na linii frontu.

- W North Mannfield - brnęłam dalej - nie ma ani terrorystów, ani min przeciwpiechotnych. Przynajmniej mnie o niczym takim nie wiadomo.

Nie ma terrorystów, ale są aktorki, które mieszkają w tym samym domu, co aktorzy. Oni z kolei - jeśli dane statystyczne z wydziału aktorskiego Uniwersytetu Brookside sprawdzają się w skali globalnej - w przeważającej większości są homoseksualistami. Nawet jeśli Will ma szczerzy zamiar być mi wierny i zachować celibat - a jestem pewna, że tak jest - nie przyjdzie mu to łatwo.

Wyobraziłam go sobie - jedynego faceta o heteroseksualnych skłonnościach w całej bursie - w otoczeniu atrakcyjnych nimfetek, ogarniętych żądzą seksu. Nagle zorientowałam się, że Kate coś do mnie mówi.

- Słucham? - Zamrugałam powiekami.

- Pytałam, czy przyjechałabyś w następną sobotę do mnie nad morze? To będzie mój pierwszy weekend w letnim domu.

- Może.

Nie będę mówić, że nie mam takiego zamiaru. Plaże nie są moimi ulubionymi miejscami. Ostatnim razem miałam na sobie kostium kąpielowy ponad trzy lata temu. Przywiozłam go nawet ze sobą do Nowego Jorku, ale tylko dlatego, że przyjechałam tu ze wszystkimi rzeczami, a nie dlatego, żeby go nosić. Ani tutaj, ani gdzie indziej.

- Mam zamiar wziąć wolny dzień już w piątek i zrobić sobie długi weekend - mówiła dalej Kate - ale ty możesz dojechać w sobotę rano.

W tym samym czasie ja przysięgam sobie, że za skarby świata nie wyjdę na plażę z kimś, kto wygląda jak chodząca reklama wakacji na Karaibach. Kate przypomina te wszystkie blondynki przyodziane w skąpe bikini, które idą brzegiem morza, wymachując trzymanymi w ręku sandałkami. Postawcie mnie obok i macie inną reklamę: „Tak wyglądasz Przed i Po naszej diecie-cud”. Na pewno znacie te zdjęcia, na których szczupła, uśmiechnięta piękność zapewnia, że jeszcze sześć tygodni temu wyglądała jak tłuste prosię. Potem przed każdym posiłkiem połykała jedną pastylkę Ekstra Mocnej Nutry Minus i - voilai Oto efekty.

Kiedy do restauracji wpadł rozpromieniony Raphael, ja dalej studiowałam menu, a Kate paplała o ludziach, z którymi wspólnie wynajmuje domek nad morzem. Raphael w najmodniejszych okularach, pomarańczowej koszulce bez rękawów wepchniętej w obcisłe szorty oraz w espadrylach mógłby uchodzić za najbardziej ekstrawaganckiego modela. Gdyby jeszcze miał umalowane paznokcie u nóg! Prawdę mówiąc, zerknęłam dyskretnie pod stół, żeby się przekonać, czy nie ma, ale nie miał.

Uściskał nas obie, opadł na krzesło i zapytał szeptem, osłaniając usta dłonią:

- Czy widzicie to świeżutkie mięsko za barem?

- Są trzy rzeczy, których można być pewnym w życiu - oznajmiła Kate swoim przeciągłym głosem. - Śmierć, podatki oraz libido Raphaela.

- Jeśli robi się cieplej, będzie musiał zdjąć koszulę. - Raphael wytarł z czoła strużkę potu i rzucił znaczące spojrzenie nieświadomemu niczego barmanowi.

- Jeśli zrobi się cieplej, ja będę musiała zdjąć koszulę - powiedziałam. - Wiercie mi, że to nie będzie piękny widok.

- Skoro o pięknych mowa - czy Will wyjechał szczęśliwie, Tracey?

Kate prychnęła z naganą, ale udałam, że nie słyszę. Odpowiedziałam Raphaelowi, że tak.

- Tylko nie pytaj, czy jestem załamana, dobrze? Bo nie jestem.

- Oczywiście, że nie. Wyglądasz fantastycznie.

- Są cztery rzeczy, których można być pewnym w życiu - oświadczyłam. - Śmierć, podatki, libido Raphaela oraz jego kłamstwa.

- Tracey! Jesteś niemiła. To był komplement zgodny z tym, co naprawdę myślę - powiedział, ale z tonu głosu nie wynikało, żeby czuł się dotknięty. - Co zamawiamy? Krwawą Mary? Mimozę *?

*** Mimoza - Koktajl złożony z soku pomarańczowego i szampana.**

Czy od razu coś mocniejszego? Jeśli tak, biorę barmana.

- Krwawa Mary dla mnie. - Kiwnęłam głową.

- Ja wezmę Mimozę - zdecydowała Kate.

- Popieram twój wybór, Tracey. Mam ochotę na coś ostrzejszego - Krwawą Mary albo...

- Barmana - dokończyłyśmy z Kate zgodnym chórem.

- Słuchaj! - Klepnęłam Raphaela w ramię, żeby odciągnąć jego uwagę od nowego obiektu fascynacji. - Kim był mężczyzna, którego głos słyszałam podczas naszej rozmowy? Myślałam, że wciąż usychasz z tęsknoty za Buckleyem O'Hanlonem.

- Kto to jest Buckley O'Hanlon? - dopytywała się Kate.

- Był na moim urodzinowym przyjęciu. Aaa! Racja. Miałaś wtedy kłopoty z wąsami i musiałaś wcześniej wyjść.

- Nie miałam kłopotów z wąsami - przerwała oburzona Kate i zerknęła przez ramię, czy dwaj mężczyźni przy sąsiednim stoliku nie usłyszeli przypadkiem słów Raphaela.

Jeden z nich nosił turban, drugi miał tatuaże na całym ciele. Obaj byli zajęci rozmową, prowadzoną w języku, który zdecydowanie nie brzmiał jak angielski.

Niezrażony niczym Raphael zaczął drobiazgową relację.

- Buckley to ten uroczy facet w swetrze. Przyprawdzili go Alexander i Joseph. Pisze tekst do ich nowego folderu. Wyobraź sobie, Kate, że Tracey miała mnie z nim umówić, a zamiast tego sama go uwiodła.

- Nieprawda! - pisałam. W chwili słabości opowiedziałam mu, co zdarzyło się na naszej „randce”. Powinnam wtedy ugryźć się w język.

- Prawda! Ale nie mam o to żalu. Rozumiem, że nie mogłaś się opanować.

- Spałaś z nim? - zapytała Kate z niedowierzaniem.

- Nie! Umówiliśmy się tylko do kina, ale ja nie miałam pojęcia, że to jest randka, dopóki...

- Dopóki nie zaczęli się całować - dokończył Raphael radośnie.

- To on pocałował mnie. Wtedy myślałam jeszcze, że jest gejem.

- A nie jest?

- Nie jest. Jest - odpowiedzieliśmy z Raphaelem jednocześnie.

- Raphael nie wierzy, że jakiś facet może być hetero - wyjaśniłam Kate. - Nawet jeśli ma żonę i dzieci, jak John Timmerman.

John Timmerman był jednym z brokerów zatrudnionych w firmie, w której we trójkę pracowaliśmy rok temu.

- Znowu do tego wracasz? Tracey, ile razy mam ci mówić, że mój przyjaciel Thomas widział...

- Dobrze, już dobrze - przerwałam, żeby nie słyszeć po raz kolejny tej paskudnej historii. - Rzecz w tym, Kate, że Raphael uważa, że każdy facet jest gejem, chyba że udowodni, że jest inaczej. Tym razem mogę zaręczyć, że jest inaczej.

- Całowałaś się z obcym facetem? I nic mi nie powiedziałaś?

- Bo nie było o czym.

- Umie całować? - dopytywała się.

- Robi to wspaniale - odpowiedział za mnie Raphael. - Nie ślini, nie wpycha języka za głęboko...

- Skąd wiesz takie rzeczy? - zamurowało mnie.

- Sama mi powiedziałaś, Tracey.

- Raphael! Nigdy nie mówiłam czegoś podobnego.

- Jesteś pewna? W takim razie coś mi się przyśniło. - Beztrosko machnął ręką i wyciągnął menu w naszym kierunku. - Co zamawiamy poza alkoholem? Krwawa Mary uderzyła mi do głowy. Nie jadłem od wczorajszego popołudnia, jeśli nie liczyć małej przegryzki o północy.

- No więc, kto to był?

Z tonu Raphaela jasno wynikało, że nie mówi o ciasteczkach popijanych mlekiem.

- Na imię ma Phillip. Jest żeglarzem. Przyplłynął na Tydzień Białej Floty.

- Tydzień Białej Floty dawno się skończył, Raphael - przypomniała mu Kate.

- Może kłamał - wzruszył ramionami. - Rzeczywiście. Przyp o-minał raczej komputerowca. Wicie, podoba mi się omlet z awo-kado.

- Ja też poproszę - zdecydowała Kate. - Co dla ciebie, Tracey?

- Już jadłam śniadanie.

Lunch też, ale do tego się nie przyznałam.

- Wezmę sałatkę ze szpinaku w sosie jogurtowym.

Koniec z wysokobiałkową dietą. Wyczerpałam już swój przydział jajek i mięsa. Już za późno, żeby pozbyć się jajek i pływających w maśle parówek, ale nie można jeść wyłącznie białka. Sens ma tylko liczenie kalorii.

Zapamiętać: W drodze do domu zrobić zapasy beztłuszczowego jedzenia w Entenmann's.

Sałatka była pyszna. Dwie Krwawe Mary weszły mi tak gładko, że od razu postanowiłam zamówić trzecią i utopić smutki w wódce marki Absolut. Niestety Raphael i Kate, którzy poprzestali na jednym drinku, uznali, że nie powinnam się upijać w dzień wyjazdu Willa.

- Zrób to, kiedy będziesz na dnie - poradził Raphael. - Wtedy naprawdę ci ulży.

- Może spotkalibyśmy się wieczorem w jakimś barze? - zaproponowałam. Rzeczywiście byłam już w lepszym nastroju.

- Mam randkę.

- Z Phillipem?

- Nie. Z Charlesem, moim nowym trenerem. Będziemy pracować nad moimi mięśniami.

- A ty, Kate? Też masz plany na wieczór?

- Dzisiaj mam lekcję salsy.

Zapomniałam. Kate z nieznanego mi powodu uznała, że nie spełni się w życiu, dopóki nie nauczy się cza-czy, lambady i nie wiem czego tam jeszcze uczyć w szkole tańców latynoskich.

- Może poszłabyś ze mną? - zaproponowała.

- O nie, dziękuję - odpowiedziałam szybko. Już to przerabiałymy. Nie dam się namówić. Mój repertuar tańców latynoskich skończył się na macarenie w czasach, kiedy macarena była na topie. I wystarczy.

- Może ty się ze mną wybierzesz, Raphael?

- Kate! Pochodzę z Puerto Rico, zapomniałaś? Nie potrzebuję lekcji. Mam mambo we krwi. - Uniósł ramiona i zademonstrował kilka przesadnych ruchów bioder - wszystko po to, żeby olśnić obojętnego na jego awanse barmana.

Wyszliśmy na ulicę. Zza chmur wyjrzało słońce. Okazało się, że i Kate, i Raphael mają kilka wolnych godzin, więc postanowiliśmy przejść się Broadwayem i zajrzeć do kilku sklepów. Wczesnym popołudniem Raphael miał już nowy strój na dzisiejszą randkę, a Kate po godzinnym zastanawianiu się, czy woli niebieskie czy czerwone bikini, zdecydowała, że kupuje różowe.

Zapamiętać: Nigdy, ale to nigdy, nie dać się namówiona odwiedzić Kate w jej letnim domu.

PS. Wyrzucić swój jedyny kostium kąpielowy natychmiast po powrocie do domu, żeby w chwili słabości nie ulec pokusie włożenia go.

Na Strandzie kupiłam sobie używany egzemplarz Gron gniewu. Nie wiem jakim cudem, ale nie przeczytałam Gron podczas studiów i zawsze miałam poczucie, że powinnam to nadrobić. Uznałam, że Steinbeck dobrze mi robi - podobnie jak dieta, oszczędzanie i gimnastyka.

Rozeszliśmy się każde w swoją stronę, ale wcześniej wstąpiliśmy na lody. To znaczy - Kate i Raphael jedli lody, a ja - sorbet truskawkowy. Byłam pewna, że będę cierpieć męki na widok ich rożków z czekoladowymi kulkami, ale okazało się, że w takim upale nie ma znaczenia, co się je - byle było słodkie i zamrożone.

W domu przesłuchiłam sekretarkę, żeby sprawdzić, czy dzwonił Will - nie dzwonił - potem ustawiłam na parapecie swój obrzydliwy wiatraczek i zaczęłam czytać Grona gniewu. Joyce Carol Oates może poczekać.

Na początku było to nawet zajmujące, jednak powoli zdawałam sobie sprawę, że popadam w coraz większe przygnębienie. Nie z powodu książki. Jasne: Grona gniewu nie są najbardziej optymistycznym dziełem literackim, jakie czytałam w życiu, opisowy styl prozy Steinbecka mnie nie zachwyca, a kolokwialne dialogi działają mi na nerwy.

Poza awersją do Steinbecka moja depresja brała się z tego, że w letnią, słoneczną niedzielę siedzę zamknięta gdzieś na czwartym piętrze, w pokoju z małym oknem, w towarzystwie wędnącego filodendrona i nudnej książki.

A Will jest teraz w jakimś zielonym, lesistym miejscu. Wyobraziłam go sobie w ocienionym drzewami wiejskim domu, w pokoju o białych ścianach, z wytartymi dywanami na dębowej podłodze... Pewnie teraz rozpakowuje bagaże. Albo z nowymi kolegami włączy się po North Mannfield. A jeśli prześladowający mnie obraz jest prawdziwy? Jeśli wszyscy aktorzy letniego teatru są gejami, a wszystkie aktorki ogarnięte są żądzą seksu i mają figurę Nerissy?

Zgniotłam niedopałek, z trzaskiem zamknęłam książkę i wstałam, ale nadal nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Wyjrzałam przez okno. Wysokie budynki rzucały cień na ulicę. Nigdzie nie było widać nawet skrawka zieleni. Nagle poczułam się jak w pułapce. Serce waliło mi coraz mocniej. Przymknęłam oczy, żeby opanować zawroty głowy, i odsunęłam się od okna.

Brakuje mi powietrza. Dlatego jest mi niedobrze.

Brakuje mi drzew. Albo trawy. Albo rzeki - niechby to była nawet East River. Muszę poczuć, że w tym mieście, pokrytym tonami betonu, pełnym obcych ludzi, dusznym od upału, da się przeżyć piękne, letnie popołudnie.

Włożyłam tenisówki, złapałam klucze i w jednej chwili byłam za drzwiami. Na dworze zaczęłam powoli dochodzić do siebie. Nie miałam pojęcia, co się ze mną działo w domu, ale na ulicy zawroty głowy minęły, a serce zaczęło bić normalnym rytmem. Nie wiedziałam, dokąd idę - na najbliższej alei zawahałam się chwilę, ale zaraz instynktownie skierowałam się w dół miasta.

Niecałe półtorej godziny później znalazłam się w okolicach starego portu, na South Street Seaport, w turystycznym sercu miasta. Każdy prawdziwy nowojorczyk unika tego miejsca jak ognia, szczególnie w słoneczny, czerwcowy weekend.

Mimo że po roku mieszkania na Manhattanie bardzo chciałam uchodzić za prawdziwego nowojorczyka, teraz - nic na to nie poradzę - spodobało mi się tu. Nie przeszkadzała mi wszechobecna komercja, a robiona na pokaz staroświecka atmosfera działała na mnie kojąco. Tak jakbym zrobiła krok i zamiast na Manhattanie znalazła się w jakimś skansenie.

Wstyd się przyznać, ale czułam się swojsko wśród tłumów ludzi w jaskrawych ubraniach i wygodnych butach, objuczonych aparatami fotograficznymi, z torbami pełnymi zakupów, którzy wyglądali, jakby pojawili się prosto z Brookside albo, powiedzmy, z Nebraski. Tak jak oni rozkoszowałam się prawie autentycznym duchem Nowej Anglii, który panował na zacumowanych w porcie historycznych statkach o pokładach zrobionych ze szerniających ze starości desek.

Nawet aura podmiejskiego centrum handlowego nie wydawała mi się tym razem odpychająca. Wszystko to - ruchome schody, sklepy o oczywistych nazwach i małe restauracje - przypominało świat, który kiedyś był moim światem i który pozostawiłam za sobą.

W czasach, kiedy wystarczało mi Brookside, zanim jeszcze postanowiłam zamieszkać na Manhattanie, w lecie pływało się w jeziorze, siedziało w

ogrodach nad basenem, jadło mięso prosto z grilla albo jeździło się samochodem bez celu, słuchając ostatniej listy przebojów.

Nie chciałam wracać do tamtego życia, ale nagle uświadomiłam sobie, że to, co robię teraz, też mnie nie zadowala. Jaka to satysfakcja mieszkać w ponurej kawalerce na obrzeżach nieciekawego przedmieścia? Dlaczego aż do dzisiaj nie zauważyłam, że czegoś mi brakuje?

Chyba dlatego, że dopóki miałam Willa, nie było mi tak źle. A teraz Will wyjechał...

Boski zapach smażonego jedzenia doprowadził mnie do najbliższego baru z pieczonymi kurczakami, panierowaną cebulą i innymi tłustymi przysmakami, za którymi przepadam. Już, już miałam zamówić trzy różne potrawy i bananowy koktajl, kiedy w chromowanej ladzie zauważyłam odbicie mojego podwójnego podbródka.

- Poproszę... - zająknęłam się i zamilkłam.

Młodzieniec siedzący w kasie, niecierpliwy jak wszyscy w Nowym Jorku, czekał na moją decyzję, mierząc mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Dietetyczną coca-colę - powiedziałam z triumfem w głosie. Zrobię to.

Schudnę.

Sącząc pozbawioną smaku i rozwodnioną lodem colę, wyszłam na zewnątrz. Starłam się nie widzieć ludzi, którzy bez opamiętania zażerali się frytkami albo lodami. Wyrzuciłam pusty kubek do przepelnionego kosza i oparta o barierkę obserwowałam żaglówki na rzece. Wystarczyło stanąć plecami do miasta i nie patrzeć na cień rzucany przez Most Brooklyński, żeby zapomnieć, że jest się w Nowym Jorku.

Co, do diabła, mnie tu trzyma?

Przecież nie Will, który wyjechał, ani praca bez perspektyw, ani marne mieszkanie... Nie o takim życiu marzyłam, jadąc tutaj. W każdym innym miejscu mogłoby mi być lepiej.

Nawet w Brookside.

W Brookside, gdzie rodzina Spadolinich obserwowałaby każdy mój krok, zastanawiając się, kiedy się ustatkuję i wyjdę za mąż. W Brookside, gdzie nie ma interesującej pracy ani ciekawych ludzi, gdzie znam wszystkich, widziałam wszystko, co jest do zobaczenia, i zrobiłam wszystko, co jest do zrobienia.

Nie. Tam nie.

Nawet jeśli w tej chwili nie jestem pewna, czy chcę zostać w Nowym Jorku, na pewno nie chcę wracać do Brookside.

A skoro tak - skoro postanowiłam być tutaj, powinnam coś zrobić ze swoim życiem.

Poczułam nowy przyływ energii. Odwróciłam się i ignorując kuszący zapach świeżej pizzy z kielbasą i oregano, wjechałam ruchomymi schodami na placyk, po czym szybkim krokiem pomaszerowałam do domu. Pot lał mi się z czoła.

Na widok pustej ławki w parku przy Thompkins Square moje zmęczone nogi odmówiły posłuszeństwa i błagały o chwilę odpoczynku. Usiadłam i doznałam olśnienia.

Przecież ja ćwiczę!

Zupełnie przypadkiem zafundowałam sobie prawdziwy trening.

Wpadłam w zachwyty. Mój nieoczekiwany wypadek okazał się dużo lepszy od najlepszej gimnastyki, bo był ciekawy i nic nie kosztował. Poza forszą wydaną na dietetyczną colę, oczywiście.

Teraz mogłam pogapić się na wystawy. Po gimnastyce koniecznie trzeba się rozluźnić. Kolorowe napisy anonsowały otwarcie wielkiego salonu meblowego. Przyglądałam się różnym sprzętom, ale moją uwagę przyciągnęło ogromne drewniane łóżko. W takim łóżku zawałonym poduchami można spędzić cały dzień.

Później, w domu, próbowałam wymyślić, co zrobić, żeby moje mieszkanie nie było takie straszne. Może zamiast ohydneho materaca bez narzuty warto byłoby mieć porządne łóżko, takie jak tamto w sklepie?

Potem przypomniałam sobie, że wszystko tutaj jest tymczasowe. Mieszkanie. I materac. Nie będę mieszkać w East Village, nawet jeśli zostanę w Nowym Jorku na stałe. Teraz mam jednak co innego na głowie - muszę ćwiczyć i nie jeść tłustych rzeczy. Oraz schudnąć i zaoszczędzić trochę pieniędzy.

A kiedy we wrześniu wróci Will, zamieszkamy razem.

Nagle zauważyłam, że na sekretarce miga czerwone światełko. Na chwilę straciłam dech. Will. Serce fiknęło mi koziółka.

Wiadomość była od Brendy. Ma dla mnie przepis na dietetyczną zupę z kapusty. Przyniesie go jutro do pracy.

„Zadzwoń, jeśli poczujesz się samotna i będziesz chciała pogadać”, powiedziała, zanim odłożyła słuchawkę.

Czuję się samotna.

Ale nie chcę rozmawiać. Nie z Brendą, która za chwilę wychodzi za mąż za mężczyznę swoich marzeń.

Jedyną osobą, z którą chciałabym teraz porozmawiać, jest Will, a z nim akurat nie mam żadnego kontaktu. Na myśl o tym wpadłam w panikę. Will jest daleko, a ja nie mogę sprowadzić go tutaj nawet na chwilę.

To on dyktuje warunki. On decyduje, kiedy będziemy rozmawiać. A mnie ponoszą emocje. Chociaż wiem, że niedługo zadzwoni. Obiecał. Przecież będzie za mną tęsknić.

Owszem, ale nie tak, jak ja tęsknię za nim.

Minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny od jego wyjazdu, kiedy doszłam do filozoficznego wniosku, że dużo trudniej jest temu, kto zostaje niż temu, kto wyjeżdża. Stare kąty pełne są wspomnień i pustych miejsc zapełnianych dotąd przez drugą osobę. Nowe miejsca łudzą nowością - oferują świeże doświadczenia, inne widoki i nowe znajomości.

Ciekawe, co by było, gdybym to ja wyjechała, a Will pozostał tutaj? Jakoś nie wierzę, żeby czuł się tak źle jak ja. Po prostu nie wyobrażam sobie, że tu, w Nowym Jorku, Will mógłby usychać z tęsknoty za mną.

Podobnie jak nie wyobrażam sobie, że ja, nie oglądając się wstecz, rzucam się w wir nowych przygód.

Nieciekawe wnioski narzucały się same. Wolałam darować sobie dalsze dywagacje. Zamiast tego złapałam portmonetkę i zbiegłam do sklepu po pyszną, świeżą kapustę. Nowa dieta jest jedyną przygodą, na którą mnie w tej chwili stać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Od wyjazdu Willa minął prawie tydzień. Udało mi się zrzucić ponad dwa kilogramy. Mówię serio. Ponad dwa kilogramy!

Z diety wysokobiałkowej przerzuciłam się na dietę niskotłuszczową, potem na zupę z kapusty, a w końcu wybrałam stary, sprawdzony sposób: jem małe porcje, liczę kalorie i ćwiczę.

Mój dzienny limit wynosi tysiąc kalorii i - co najdziwniejsze - wcale nie jestem głodna. To znaczy, czasami jestem, ale wtedy oszukuję żołądek, pijąc dużo wody. Ale chyba najważniejsze jest to, że mam ostatnio zbyt wiele zajęć, żeby myśleć wyłącznie o następnym posiłku, co było dotąd moją obsesją.

Dwa razy, tuż po pracy, poszłam znowu do portu. W pozostałe wieczory siedziałam w biurze do późna, przygotowując materiały do nowej prezentacji Jake'a i wracałam do domu piechotą. Przechodząc czterdzieści przecznic, nie tylko spalam kalorie, ale nie płacę za metro.

Wiem. To tylko trzy dolary tygodniowo, ale i tak wkładam je co tydzień do pustej puszki po herbatnikach. Chciałabym jak najszybciej otworzyć rachunek bankowy. Muszę tylko zebrać wcześniej trochę pieniędzy, żeby kasjer w banku nie umarł ze śmiechu. Liczę na to, że wcześniej czy później Milos zadzwoni do mnie z propozycją pracy na jakimś przyjęciu. Jeśli nie, będę musiała sama za coś się rozejrzeć. W weekendy mogę pilnować dzieci albo wyprowadzać psy.

Dzisiaj jest sobota, a ja siedzę właśnie w autobusie, który jedzie na Long Island. Nie jest to byle jaki autobus, ale Hampton Jitney, do którego wsiadłam na rogu Lexington i Wschodniej Czterdziestej, turystyczny szerokopokładowy autokar najnowszej generacji (tak przynajmniej wyczytałam), z odchylanymi siedzeniami, lampkami do czytania i napojami wliczonymi w cenę biletu. Za wszystkie bajery płaci się prawie pięćdziesiąt dolców w obie strony.

Muszę zapomnieć o rachunku bankowym. Oraz o przyrzeczeniu, że nigdy nie wiozę kostiumu kąpielowego.

Przez cały tydzień Kate błagała mnie, żeby przyjechać do jej letniego domku, a ja, prawdę mówiąc, nie miałam nic lepszego do roboty. Perspektywa włożenia antycznego kostiumu, który wyciągnęłam z dna szuflady spod stosu skarpetek, była mniej straszna niż myśl o spędzeniu następnego samotnego weekendu w pustym mieszkaniu, w towarzystwie Gron gniewu i milczącego telefonu. W tej sytuacji miałam dostateczną motywację, aby spakować torbę i zapomnieć o oszczędzaniu.

Will zadzwonił w końcu w czwartek wieczorem, kiedy byłam na spacerze w porcie. Zostawił wiadomość, że odezwie się później, ale ja i tak zamartwiałam się, że wtedy akurat musiało nie być mnie w domu. Chyba bałam się, że nie zadzwoni.

Niesłusznie. Telefon odezwał się tuż przed północą, kiedy drzemałam sobie przed telewizorem, udając, że oglądam Noc z Daudem Lettennanem. Natychmiast wyłączyłam fonię, ale po stronie Willa przez cały czas było głośno. Nawet bardzo. Kilka razy Will przerywał naszą rozmowę i mówił coś do - sądząc z odgłosów - tłumu swoich kolegów z teatru.

Staralam się nie okazywać zazdrości, nawet gdy, raz jeden, zatkał dłonią mikrofon i stłumionym głosem prowadził z kimś konwersację. Wpatrywałam się w ekran, na którym niemy David Letterman wręczał puszkę szynki rozentuzjasmowanemu wielbicielowi w turkusowym skafandrze, kiedy dobiegł mnie szaleńczy wybuch kobiecego śmiechu. Zaraz potem odezwał się Will.

- Kto to był? - zapytałam niedbałym tonem.

- Ósme. Prawdziwa z niej wariatka. Powiedział to z nieukrywanym podziwem.

Wiem, że uznacie mnie za umysłowo chorą, ale w tamtej chwili czego nie pragnęłam bardziej, niż tego, żeby Will uznał i mnie za prawdziwą banatkę. Ciekawe, co powiedział kolegom o mnie, swojej dziewczynie, która została w domu. Próbowałam wyobrazić sobie, jak mówi „Ma na imię Tracey i prawdziwa z niej wanatka”, ale nie brzmiało to jak komplement, którym bez wątpienia obdarzył enigmatyczną Ósme.

Chciałabym również mieć jakieś tajemnicze, rzadkie, egzotyczne imię, jak Ósme. Tymczasem nazywam się Tracey, ponieważ moja mama była zaprzysięgłą wielbicieleką rodziny Partridge'ów, a w szczególności ich najmłodszej córki Tracy - tej, która grała na tamburynie. Ale inspiracja, co? Mama odważnie zmieniła pisownię, dodając do mojego imienia literę „e”

Złapałam się na tym, że podczas dalszej rozmowy z Willem ciągle próbuję wyobrazić sobie, jak wygląda owa zabawowa Ósme. Prawdopodobnie jest pewną siebie brunetką, która lubi sprośne zaiciki i praktyczne figle. Nie mogłam zapytać o nią wprost - Will wspomniał o niej jeden raz i tylko dlatego, że o nią spytałam. Nie chciałam wchodzić w rolę zazdrosnej i podejrzliwej dziewczyny faceta, który wyjechał.

Ale dokładnie tak się czułam.

Dowiedziałam się od Willa, że jest już obsada do pierwszego musicalu, czyli West Side Story. Will ma grać Sharka. Domyślałam się, że jest rozczarowany. Wiedziałam, że liczył na główną rolę, mimo że zaraz powiedział.

- Mój głos i tak nie jest odpowiedni do partii Tony'ego.

- Ależ jest - zaprotestowałam lojalnie, ale to go tylko zirytowało.

Był na mnie wyraźnie zły, wyjaśniając, że co dwa tygodnie przygotowują nowe przedstawienie, a wcześniej czy później każdy członek zespołu ma zapewnioną główną rolę.

- Kiedy przyjdzie twoja kolej, będę siedzieć w pierwszym rzędzie, Will.

Wymruczał kilka niezrozumiałych słów, co znaczyło, że znowu powiedziałam coś nie tak. Niedługo potem skończyliśmy rozmowę. - Will nieuważnie napomknął, że inni czekają w kolejce do telefonu, obiecał, że zadzwoni za tydzień i odłożył słuchawkę. Premiera West Side Story jest dzisiaj, potem ma odbyć się bankiet W niedzielę grają popołudniówkę i przedstawienie wieczorne. W poniedziałki teatr jest zamknięty, więc dopiero w poniedziałek spodziewam się telefonu.

Tak więc dzisiaj, w słoneczny sobotni poranek, siedzę w luksusowym autokarze razem z innymi bladymi mieszkańcami Manhattanu, zmierzającymi do letnich domów na plaży. Są wśród nich przystojni faceci w typie maklerów z Wall Street, grupki dziewczyn z okolic Upper East Side w drogich, lnianych ciuchach i para gejów z francuskim winem, świeżą bazylią i kozim serem w torbie.

Przed wyjściem z domu zjadłam tylko grejpfruta i teraz umieram z głodu. Żucie gumy bez cukru nie pomaga. Oczywiście - pomógłby papieros, ale w autobusie nie wolno palić, więc aż do przyjazdu na miejsce muszę zadowolić się gumą. Wiozę ze sobą Grona gniewu, Wielkiego Gatsby'ego i ostatni numer „She”, który dostałam dzięki uprzejmości Raphaela. Kiedyś miałam prenumeratę „She”, ale zrezygnowałam, bo odkąd Raphael pracuje w redakcji, przynosi mi każdy numer za darmo.

Mogłabym więc czytać, ale jakoś nie mam ochoty na opisy meszczeńc spadających na rodzinę Joadów. Wolałabym „She” i wywiad z Kate Hudson, ale zdecydowałam, że gazetę odkładam na jutrzejszą drogę powrotną.

Nigdy jeszcze nie byłam na Long Island. Jak na razie, po kilku przelotnych spojrzeniach przez okno, wyspa wydawała się jedną wielką autostradą, przy której co chwilę stały centra handlowe. Dopiero kiedy wjechaliśmy między porośnięte sosnami wydmy, krajobraz zrobił się nieco mniej miejski, a w

samym West Hampton, dokąd dotarliśmy o dziesiątej trzydzieści, panowała zdecydowane nadmorska atmosfera.

Tam czekała na mnie Kate w szortach i krótkiej podkoszulce z dekoltem odsłaniającym różowe szelki znanego mi dobrze bikini. Była z facetem, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Uściskała mnie z całych sił - jakbyśmy nie widziały się od wielu miesięcy. Znam Kate na tyle długo, żeby wiedzieć, że nie udaje - jest serdeczna jak każdy południowiec.

- Tracey, to jest Billy - powiedziała, uwalniając mnie z objęć.

- Billy, to Tracey.

Wynikało z tego, że tutaj, jak w telewizyjnym reality show, nowi przybysze przedstawiani są tylko imionami.

Billy uśmiechnął się i powiedział „cześć”, ale nie był szczególnie wylewny.

Możę tylko mi się zdawało? Wszystko dlatego, że jestem taka niepewna siebie Na co czekałam? Na to, że też mnie uściska?

Chętnie dowiedziałabym się, kto to jest, ale Kate najwyraźniej nie zamierzała niczego wyjaśniać Na parkingu zapaliłam papierosa Billy najwyraźniej jest niepalący, bo popatrzył na mnie tak, jakbym właśnie strzeliła sobie działkę kokainy prosto w żyłę.

Miał na sobie sportowe półbuty bez skarpetek, szorty khaki i wygniecioną różową koszulę od Ralphi Lauren. Dziwnym trafem różowy kolor w niczym nie ujmował jego męskości Podobnie było z imieniem A swoją drogą to zabawne, że „Billy” i tak brzmi bardziej męsko niż „William”, który jest zdecydowanie ciotowaty.

Na pewno uprawiał jakieś sporty i był silny, co wywnioskowałam z łatwości, z jaką zarzucił sobie na ramię moją wypakowaną do granic torbę.

Miał blond włosy spłowiałe od słońca. Właśnie tak - spłowiałe od słońca. W Nowym Jorku, na początku czerwca. Był mocno opalony i opalenizna, i kolor włosów wyglądały na prawdziwe, ale kto wie? Włosy Kate, jej oczy oraz opalenizna też wydawały się naturalne, a przecież, jak już mówiłam, Kate jest tlemoną blondynką, nosi błękitne szkła kontaktowe, a miodową barwę skóry zawdzięcza buteleczce specyfiku, który zakupiła w superdrogiej drogem w zeszłym tygodniu. Przypadkiem byłam tam z nią, więc wiem Kate nigdy nie wystawiłaby delikatnej skóry, którą charakteryzują się wszyscy Delacroix, na działanie słońca!

Okazało się, że Billy podwiózł ją do miasta, żeby mogła odebrać mnie z autobusu. Jest jednym z lokatorów letniego domu i poznali się dopiero wczoraj

wieczorem. Dowiedziałam się też, że Billy mieszka na Upper East Side i pracuje na Wall Street - człowiek nigdy nie wie, jakie niespodzianki czekają na niego za rogiem. I z kimś takim Kate wynajmuje na spółkę dom. Samochód robił nawet większe wrażenie, raz jego właściciel. Był to czarny bmw, kabriolet. Otwierając drzwi, Billy spojrzał na mnie znad swoich markowych okularów przeciwsłonecznych. Zrozumiałam i zgasiłam papierosa, zanim mnie o to poprosił. Przecież i tak nie paliłabym w cudzym samochodzie - nawet jeśli był to kabriolet. Nie jestem taką prostytutką!

Kate zaproponowała mi miejsce obok kierowcy Oczywiście odmówiłam.

Moje pozbawione jedzema oraz nikotyny ja musiało zadowolić się kolejną gumą do żucia i tylnym siedzeniem. Czułam się jak czterolatka, która musi mocno wychylić się do przodu, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają rodzice.

Jechaliśmy właśnie przez obsadzone drzewami, malownicze, chociaż pełne aut ulice West Hampton - niewielkiego i zdecydowanie bogatego miasteczka w dawnym stylu. Za miastem, wzdłuż drogi biegnącej przez zarośniętą trawą wydmy, stały nieco zniszczone domy na palach z dachami pokrytymi gontem.

Niebo miało czysty, błękitny kolor Podobnie jak morze, widoczne w oddali Podobnie jak - mogłabym się założyć - oczy Billy'ego, skryte za ciemnymi szklami szpanerskich okularów. Radio grało, na przednim siedzeniu Kate i Billy gadali, wiał ciepły wiatr i za każdym razem, kiedy otwierałam usta, żeby włączyć się do rozmowy, zwiewał mi włosy prosto w gumę do żucia. Chciałam ją wypluć, ale bałam się, że Billy mógłby mnie nakryć na gorącym uczynku Jakoś nie wydawało mi się, że pochwała podobne zachowanie.

W końcu skręciliśmy w wąską, piaszczystą drogę i zatrzymaliśmy się przed pudełkowatym, piętrowym domem na palach - dość nowoczesnym, chociaż także krytym gontem. Właściwie to zatrzymaliśmy się za domem, który - jak szybko nadmieniła Kate - stał frontem do wody. Co w pewnym sensie wyjaśniałoby jego nieciekawy wygląd. Wiedząc, ile płaci Kate, spodziewałam się czegoś bardziej ekstrawaganckiego.

Billy uprzejmie wniósł moją torbę po schodach, wstawił za drzwi i natychmiast wrócił do samochodu, informując nas po drodze, że zobaczymy się później.

- Dokąd pojechał. - zapytałam Kate, przekrzykując odgłos zapalającego silnika

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała zawiedzionym tonem. Nie było wątpliwości, że jest mm wyraźnie zainteresowana. Nie powinno mnie to dziwić. Trafił się bogaty, przystojny WASP*, czyli ktoś w jej typie.

* WASP - White Anglo-Saxon Protestant - w USA określenie ludzi należących do wyższej klasy średniej i zajmujących uprzywilejowane miejsce w establishmencie

Kate przyznawała otwarcie, że mieszka na Manhattanie nie po to, żeby robić poważną karierę czy nawet uczestniczyć w nowojorskim życiu kulturalnym, mimo że na uniwersytecie w Alabamie zrobiła magisterium ze sztuki. Miała nadzieję wypatrzeć tu odpowiedniego męża. Męża w typie Billy'ego.

Dlatego właśnie Kate dalej bierze prace zlecane w różnych biurach. W ten sposób łatwo jest spotykać facetów z Wall Street. Nie potrzebuje stałej pensji, bo rodzice wynajmują jej mieszkanie, opłacają wszystkie wydatki i co tydzień wpłacają „kieszonkowe” na jej konto w banku.

Widziałam zdjęcia jej rodzinnego domu w Mobile. Wygląda jak Tara z Przemineño z wiatrem. Słowo honoru, że nie przesadzam. To jedna z tych południowych rezydencji z białymi, wysokimi kolumnami, półokrągłym podjazdem ocienionym wielkimi, omszałymi drzewami. Dwie starsze siostry Kate razem ze swymi bogatymi mężami, plantatorami z Alabamy, mieszkają w podobnych pałacach.

Sama Kate twierdzi, że południowcy nigdy nie byli w jej guście. Na studiach miała chłopaka, który pochodził z Nowego Jorku i to on zaszczepił w niej upodobanie do życia towarzyskiego Manhattanu, w którym tak bardzo chciałyby uczestniczyć.

Dlatego też spodziewałam się czegoś więcej po jej letnim domu. Nie wiem - liczyłam chyba na porcelanę, kryształ i żyrandole zwisające z sufitu. Tymczasem wielka przestrzeń połączonego z kuchnią salonu uderzała brakiem elegancji. Meble miały czysto użytkowy charakter, wszystkie były beżowe i prostokątne jak cały dom.

W tej chwili miejsce wydawało się puste, ale wszędzie widać było ślady czyjeś obecności. Na stole leżały butelki po sokach i dzisiejsza gazeta. Dzbanek świeżej kawy, do połowy opróżniony, stał na kuchennym blacie. Przy drzwiach wejściowych walało się kilka par butów. Z magnetofonu leciał hip-hop, który nie jest moim ulubionym gatunkiem muzycznym.

Rozsuwane, szklane drzwi w głębi pokoju prowadziły na szeroki, drewniany taras. Dalej były wydmy i - jak można się domyślać - plaża.

- I co sądzisz? - Kate spojrzała na mnie wyczekująco.
- Miło tu.
- Nie pytam o dom - powiedziała - ale o Billy'ego.
- A, o Billy'ego. Miły.

Jej rozczarowana mina wyrażała jedno: „I to wszystko, co możesz o nim powiedzieć?”. Zaczęłam gorączkowo szukać innych przymiotników. Innych niż arogancki.

- Atrakcyjny. - Nie błysnęłam oryginalnością. - Bardzo atrakcyjny.

- Tak - zgodziła się ze mną ochoczo.

- Co jest między wami?

- Dlaczego przypuszczasz, że coś jest między nami?

- Czytam w ludzkich myślach, nie wiesz? Kate wzruszyła ramionami.

- No więc - uśmiechnęłam się do niej. - Co się wydarzyło?

- Wczoraj wieczorem coś między nami zaiskrzyło. Poszliśmy wszyscy do klubu... no i wiesz. Ale po powrocie było marnie. Żadnej prywatności. Jest nas tu teraz dwanaście osób, z tobą - trzynaście. W każdym pokoju śpi po troje ludzi. Nie mogę powiedzieć, żeby sprawy zaszły daleko.

- Chcesz powiedzieć, że nie spaliście ze sobą.

- Oczywiście, że nie! Tracey! Dopiero wczoraj go poznałam. Jej południowy akcent był wyraźniejszy niż zwykle. Dzieje się tak zawsze, kiedy Kate gra damę i chce uchodzić za obrażoną.

Tak się składa, że wiem, jak skończył się jej ostami podryw - poszła do łóżka z pewnym młodzieńcem z bardzo dobrej bostońskiej rodziny, który przejeżdżał przez Nowy Jork w drodze na uczelnię na Zachodnim Wybrzeżu, dokładnie tej samej nocy, kiedy spotkali się w barze w okolicach Czterdziestej Ulicy.

Ale skoro Kate ma dzisiaj ochotę głosić pochwałę cnoty, nie ja będę wytykać jej szaleństwa, prawda?

- I jak ci się tu podoba? - zapytałam, idąc za nią po schodach do pokoju na piętrze. Moja torba, którą wciągałam za sobą, lądowała na każdym stopniu z głośnym „bum”. Ważyła na pewno dobrą tonę.

- Bardzo Fantastyczne miejsce.

Kate zatrzymała się i spojrzała na mnie przez ramię.

- Co ty tam masz? Kamienie?

- Tylko kilka par szortów i kostium kąpielowy - odpowiedziałam bagatelizująco.

W rzeczywistości zapakowałam jeszcze kilka różnych strojów na wyjście - przecież nie wiem, w czym chodzi się tutaj do klubów. Miałam nadzieję, że kuse rzeczy nie są na topie. Takich nie zapakowałam.

W razie gdybym przypadkiem skończyła Grona gniewu, wrzuciłam do torby Wielkiego Gatsby'ego w twardej okładce. Wprawdzie akcja powieści rozgrywa

się bliżej North Shore, a nie w Hampton, ale trudno o bardziej logiczny wybór, kiedy jedzie się na weekend na Long Island, prawda?

Jeszcze kosmetyki, filtr do opalania, szampon i odżywka oraz suszarka do włosów.

Tenisówki, sandały, dwie pary czarnych czółenek - jedno eleganckie, drugie mniej.

Aha i sześć kartonów dietetycznej mrożonej herbaty o smaku truskawkowym - po to, żeby w chwili słabości nie dać się namówić na coś bardziej kalorycznego.

- Za rok chciałabym płacić pełny udział - mówiła Kate, mijając rząd zamkniętych drzwi na piętrze. - Teraz mam prawo do nocowania tutaj tylko co drugi tydzień. Wiesz, wczoraj próbowaliśmy opracować nowe zasady, żeby można było przyjeżdżać także w nie swoje weekendy. Będziemy wtedy spać na podłodze w salonie.

- Ty masz zamiar spać na podłodze?

- Wiem, to niezbyt zachęcająca perspektywa, ale... - Kate uniosła swoje nienagannie wyskubane brwi - Billy ma pełny udział, co znaczy, że ma zapewnione łóżko na każdy weekend. Nigdy nic nie wiadomo, Tracey.

- Ależ Kate! Dopiero wczoraj go poznałaś! - powtórzyłam jej słowa z idealnym południowym akcentem.

- Tak, ale całe lato przed nami, jeśli wiesz, co mam na myśli - uśmiechnęła się szeroko i weszła do naszego pokoju.

Dwa pojedyncze łóżka były nie pościelone. Na trzecim, podwójnym, wszystko było schludnie ułożone. Natychmiast poznałam kołdrę od Laury Ashley z charakterystycznym kwiatowym wzorem.

- To musi być twoje miejsce, Kate - powiedziałam, przysiadając na brzegu łóżka. - Nic nie mówiłaś, że trzeba przywieźć własną pościel.

- Bo nie trzeba, ale ja nie umiem spać bez mojej kołdry.

- I ciagniesz ją tutaj co weekend?

- Co drugi weekend - poprawiła. - Nie, to byłoby bez sensu. Do domu kupiłam sobie nową.

Kate ma uderzająco luźny stosunek do pieniędzy. To typowe dla niej.

- Co zrobisz z dwoma identycznymi kołdrami, kiedy skończy się lato? - zapytałam.

- Na przykład jedną dam tobie - zaproponowała.

- Tak. Tylko że ja mam pojedynczy materac.

- A może do tego czasu sprawisz już sobie łóżko? Jesteś już dużą dziewczynką i powinnaś mieć prawdziwe łóżko - przekomarzała się tonem zatroskanej mamy.

- Może, może.

Kate nie wiedziała, że do tego czasu na pewno zamieszka z Willem.

Oczywiście, nie jestem na sto procent pewna, że tak będzie, ale spójrzmy prawdzie w oczy. To jedyne logiczne rozwiązanie. Jak długo zrównowazona, kochająca się para może mieszkać w dwóch oddzielnych kawalerkach? Ja - w niebezpiecznej dzielnicy, on - z niebezpieczną lokatorką? Nawet jeśli jest to tylko niebezpiecznie ponętna lokatorka?

- Łazienka jest tam - Kate wskazała sąsiednie drzwi. - Przebierz się i pójdziemy na plażę.

Przyszedł czas na moment prawdy.

Wiedziałam, że to nastąpi, ale nie byłam jeszcze gotowa. Kate równie dobrze mogła zaproponować mi wspólny napad na bank. Ale na dworze świeciło słońce, morze było kilka kroków stąd i w tej sytuacji musiałam przystać na jej propozycję. W końcu schudłam już dwa kilogramy, prawda?. Może to nie będzie takie straszne - to znaczy ja w kostiumie kąpielowym?

Kate podeszła do lustra, rozpuściła włosy i zaczęła je szczotkować.

Ja podeszłam do swojej torby i zaczęłam ciągnąć ją w stronę łazienki.

- Wyjmij tylko kostium - mruknęła Kate, trzymając w zębach klamrę do włosów.

- Jest na samym dnie - muszę dobrze pogrzebać. I znaleźć coś do maskowania.

Najlepiej płachtę malarską, ale tego akurat nie zapakowałam. Najbardziej podobny do płachty malarskiej był luźny podkoszulek w kolorze khaki, który prezentował się zupełnie meźle, kiedy kupowałam go zeszłego lata w sklepie Eddiego Bauera. Teraz, w łazience bez okna, w żółtawym świetle lampy, wyglądałam w nim bardziej blado i niezdrowo niż w rzeczywistości. Podkoszulek miał jednak tę zaletę, że zakrywał mój kostium - czarny koszmar zaprojektowany specjalnie dla kobiet o „pełnej figurze”. Dwa ukośne, jaskrawofioletowe pasy w kształcie litery V zbiegały się w okolicach żołądka, prawdopodobnie po to, żeby stworzyć iluzję cienkiej talii. Z kolei wysoko podcięte nogawki miały optycznie wyszczuplać uda. W jaki sposób - nie wiem, bo zdrowy rozsądek podpowiada, że jeśli chce się coś zatuszować, trzeba to zakryć, nie odkrywać. Tymczasem tłuszcz na moich udach, widocznych w całej glorii, zwisał sobie smętnie, podczas gdy brzuch dzielnie opierał się

zakusom ściśnięcia go w okowach cudownej tkaniny o właściwościach najlepszego gorsetu, jak powiedziała sprzedawczyni, namawiając mnie kiedyś na kupno tego kostiumu.

W łazience nie było dużego lustro. Nie byłam pewna, czy mam się tym cieszyć, czy martwić. Nie mogłam sprawdzić, jak leży na mnie ta rzecz. Na wszelki wypadek wbiłam się w szorty. Potem włożyłam sandały, które nadawały się bardziej na wyprawę na pustynię niż na plażę, okupowaną przez snobistyczne towarzystwo.

Kiedy wyszłam wreszcie z łazienki, zobaczyłam Kate w szykownym, krótkim wdzianku frotte. Jej gołe nogi były równo „opalone”, a paznokcie u stóp miały identyczny kolor, co jej nowe bikini. Chodząca piękność z Karoliny Południowej: opalona blondynka, doskonała od końców włosów niedbale spiętych na czubku głowy po złotą bransoletkę na szczupłej kostce.

Dobiła mnie tą bransoletką.

Cienki łańcuszek na nodze był taki seksowny! I bardzo pasował do Kate. A Kate, w swoim plażowym wydaniu, bardzo pasowała do tego miejsca.

W pierwszej chwili pomyślałam, że oddałabym wszystko, żeby być nią.

Chwała Bogu, że nie ma tu Willa, pomyślałam zaraz potem.

Nie chciałabym, żeby mnie teraz zobaczył.

A jeszcze bardziej nie chciałabym, żeby zobaczył teraz Kate.

To nieważne, że Kate wcale nie uważa Willa za atrakcyjnego faceta i nigdy nie próbowałaby go poderwać. Ważne jest to, że Will na pewno uznałby skąpo odzianą, rozbawioną Kate za bardzo atrakcyjną dziewczynę. Każdy normalny mężczyzna tak by zrobił. Przy niej ja wyglądałam jak chodzące nieszczęście. Resztki dumy z powodu zrzucenia dwóch kilogramów w tydzień rozwiały się jak dym. Popadłam w skrajną rozpacz.

- Gotowa? - zapytała Kate, łapiąc plażową torbę z rafii, która również idealnie pasowała do całego obrazu.

Trudno było nie myśleć teraz o Kate z nienawiścią. Naprawdę trudno.

Jeszcze trudniej było nie myśleć z nienawiścią o sobie. Kiedy z leżakami pod pachą szłyśmy piaszczystą ścieżką w kierunku szerokiej plaży, mówiłam sobie, że osiągnęłam już pierwszy sukces w drodze do celu że za rok o tej porze będę wyglądać jak bogini. Nic nie pomagało.

Po pierwsze - nie byłam przekonana, że uda mi się utrzymać dietę i ćwiczyć w celu uzyskania statusu prawdziwej bogini. Po drugie - chciałam wyglądać dobrze teraz, nie za rok ani choćby za miesiąc.

- Tam są wszyscy - Kate wskazała spory tłumek przed nami.

- Wszyscy?

- Cały nasz dom Chodź, to cię przedstawię.

Nie miałam wyjścia. Musiałam podejść do grupy, w której wszyscy prezentowali się równie atrakcyjnie jak Kate. No, może nie wszyscy. Był wśród nich Kenny, przygarbiony facet o twarzy łasicy, z szopą zmierzwionych włosów i w okularach na nosie. Dzielił koc z Shelby - rudowłosą laską, która okazała się jego dziewczyną. A sam Kenny okazał się niewiarygodnie bogaty.

Oczywiście Kenny nie mieszkał tam gdzie reszta ludzi. Mieszkał w domu rodziców w South Hampton. A Shelby razem z mm. Przyjechali tylko na chwilę odwiedzić Lucy i Amelię, przyjaciółki Shelby. Lucy miała mieszkanie w tym samym domu co Kate i to ona wciągnęła Kate do swojego towarzystwa.

Lucy była podobna do Kate i Shelby, ale z wielką ulgą zauważyłam, że Amelia wygląda jak ktoś, kto nie zwykł żałować sobie czipsów ani piwa. Prawdę mówiąc, w tej chwili trzymała w dłoniach i jedno, i drugie, i nie wydawała się ani trochę zakłopotana swoim cellulihsem ani obecnością tych wszystkich plażowych ślicznotek, nie mówiąc już o Chadzie i Rayu, którzy rzucali się na wszystkie dziewczyny z wyjątkiem mnie i Amelii.

Usiadłam na leżaku twarzą do wody, z nogami zgiętymi w kolanach, bo w tej pozycji moje uda prezentowały się najlepiej. Kategorycznie odmówiłam zdjęcia podkoszulka. Ogłosiłam wszystkim, że zostawiłam w domu filtr do opalania i nie chcę ryzykować poparzenia.

- Posmaruj się moim. - Kate rzuciła mi buteleczkę Clinique SPF 30.

- Jestem na to uczulona - odpowiedziałam z godnością.

- Tracey! Nikt nie jest uczulony na Clinique. Uuu. Naprawdę?

- Ja jestem - musiałam kłamać dalej. - Używam specjalnego kremu zapisanego przez dermatologa. Jestem alergikiem i...

- Ja też - przerwała mi Kate. - I nigdy nie słyszałam...

- Kate, naprawdę! Wszystko jest w porządku - rzuciłam jej piorunujące spojrzenie.

Zamknęła się od razu, więc chyba zrozumiała.

Siedzieliśmy, gadając i pijąc piwo, i po jakimś czasie całkiem się rozluźniłam. Niestety, słońce przygrzewało coraz mocniej, a że mnie - z powodu podkoszulka - pot lał się strumieniami. Na plaży pojawił się Billy z przenośną lodówką i dwoma innymi facetami

- Randym i Wade'em i w tej samej chwili zostałam porzucona przez Kate. Byłabym wściekła, gdyby nie Amelia, która okazała się bardzo sympatyczna. Wcale nie była taką snobką jak Lucy i inni.

Nie mogłam się nadziwić, że Amelia, która miała co najmniej dwadzieścia kilogramów nadwagi, siedzi sobie w jaskrawożółtym kostiumie i zupełnie się nie przejmuje swoim wyglądem, ani tym, co je. Przy mnie wrzuciła w siebie pół paczki czipsów Pringle'a - wersja pełnotłusta, i wypła przynajmniej ze trzy piwa.

Przyznała się też głośno, że nie umie pływać. Świetnie się złożyło, bo nie byłam sama, kiedy wszyscy poszli się kąpać.

- Ty też nie umiesz pływać? - zapytała mnie, energicznie nacierając olejkim kokosowym pulchne ramiona usiane piegami.

- Nie bardzo - skłamałam. - Poza tym, o tej porze roku woda jest jeszcze za zimna. - Wytarłam z czoła strużkę potu.

- Im to najwyraźniej nie przeszkadza. - Machnęła ręką w kierunku chlapiącego się towarzystwa.

Usłyszałam pisk Kate, którą Billy próbował zanurzyć pod wodą.

Zdecydowanie go nie lubię. Jest zbyt zarozumiały.

- Ależ z niego dupek - odezwała się Amelia. Byłam pewna, że mówi o Billym, dopóki nie zobaczyłam, że wskazuje na Wade'a.

- Naprawdę? Dlaczego? - Rzuciłam okiem na faceta o ciemnych włosach i wydatnej szczęce, który byłby całkiem przystojny, gdyby nie to, że sięgał mi do ramienia. Wydawał się bardzo spokojny, kiedy tu siedział.

- Nadużywa. A kiedy się upije, nie przepuści niczemu, co się rusza. Rok temu jak idiotka dałam się nabrać na jego podchody. Więcej tego nie zrobię. Lepiej trzymać się od niego z daleka. Uwierz mi, Tracey.

- Mam chłopaka - odpowiedziałam.

- Naprawdę?

Więc opowiedziałam jej o Willu.

- Chodziłam kiedyś z aktorem - pokiwała głowa Amelia. - Do dziś się przyjaźnimy.

- Kiedy ze sobą zerwaliście?

- Trzy lata temu, jeszcze w college'u. On nagle uznał, że jest gejem. Teraz mieszka ze swoim kochankiem kilka ulic dalej i często wypuszczamy się gdzieś razem.

- O! - nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Co za straszna sytuacja. Próbowałam wyobrazić sobie, że zerwaliśmy z Willem, ale wciąż wypuszczamy się gdzieś razem. Nie mogłam. Nie zrobiłabym tego, gdyby ktoś miał - nawet jeśli ten ktoś byłby mężczyzną.

Ale przecież wbrew temu, co sądzi Kate, nie ma najmniejszej szansy, żeby Will uznał, że jest gejem.

- Wciąż próbuje mi kogoś przedstawić - ciągnęła Amelia. - A ja wciąż mu powtarzam, że nie chcę mieć do czynienia z aktorami. Wszyscy są skupieni wyłącznie na sobie. To znaczy, może nie wszyscy - dodała szybko. - Pewnie twój chłopak nie jest.

- Nie, zupełnie nie jest - zapewniłam ją.

To nie była prawda. Dawno zauważyłam, że jest. Ale dopiero teraz poczułam złość z tego powodu. Wszystko zawsze jest tak, jak chce Will. Nigdy tak, jak chciałabym ja.

Czyja to wina? - zapytał cichy głos w mojej głowie.

To przecież ja karmię tego Willa. Ja nigdy nie żądam niczego dla siebie. Dlaczego?

Dlatego, że nikt nie jest doskonały. I dlatego, że go kocham. I co w tym złego?

- Coś nie tak? - zapytała Amelia. Zobaczyłam, że mi się przygląda. - Zrobiłaś się nagle strasznie przygnębiona.

- Myślałam... o swoim chłopaku. Tęsknię za nim.

- Może powinnaś do niego pojechać?

- Mam taki zamiar.

Rzecz w tym, że nagle zdałam sobie sprawę, że nie chcę już oglądać go w nowym otoczeniu. Nie jestem ciekawa bursy, nie chcę spotkać Esme ani sprawdzać, czy Will dobrze się bawi beze mnie.

Chcę, żeby wrócił do Nowego Jorku. Tam jest jego miejsce. Chcę, żeby wszystko było po staremu.

Od jego wyjazdu minął dopiero tydzień. Co zrobić, żeby przeżyć kolejne jedenaście?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Tracey, cieszę się, że cię znowu widzę - powiedział Milos, który czekał na mnie w holu swojego wielkiego mieszkania, które równocześnie pełniło funkcję głównego biura jego firmy „Jedz, pij, wychodź za mąż”.

Wprawdzie widzieliśmy się tylko raz, przelotnie, kiedy Will odbierał tu swój czek, ale Milos zamknął obie moje dłonie w serdecznym uścisku, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi.

Był bardzo niskim mężczyzną - wyglądałam przy nim jak olbrzymka - miał jednak w sobie coś władczego, a zarazem budzącego zaufanie; rodzaj charyzmy, która sprawiała, że nie czułam strachu, a raczej rodzaj podziwu.

- Przepraszam, że nie oddzwoniłam od razu, ale cały weekend spędziłam na Long Island. Dopiero w niedzielę wieczorem przesłuchałam sekretarkę.

- W porządku. Jestem wdzięczny, że przyszłaś się ze mną spotkać - powiedział ze słowiańskim akcentem. - Domyślam się, że poświęcasz swoją przerwę obiadową, więc przejdźmy od razu do rzeczy. Will powiedział, że pracowałaś jako kelnerka.

Kiwnęłam głową, modląc się, żeby nie zapytał o szczegóły.

- Czy poradzisz sobie z francuskim przyjęciem? Co?

- Nie wiem - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Co to, do diabła, jest francuskie przyjęcie?

Zaskoczony Milos uniósł ciemne brwi.

- Czy w ogóle obsługiwałaś jakieś przyjęcia? - zapytał.

- Nie. Właściwie... pracowałam tylko w restauracji.

- Tu, w Nowym Jorku?

- Nie. U siebie w Brookside. Wyraźnie się zawahał, ale pokiwał głową.

- Brakuje mi ludzi. Will powiedział, że możesz z nami pracować. Robię koktajl we wtorek wieczorem. Dasz radę przyjść?

We wtorek? To znaczy jutro. Ledwo żyję po weekendzie w Hampton - za dużo alkoholu, za dużo tańca i tylko półtorej godziny snu, nie licząc drzemki w autobusie w drodze powrotnej. Ale mogę dzisiaj iść wcześniej spać... I na pewno przydadzą mi się pieniądze, zważywszy na to, ile wydałam podczas weekendu.

- O której mam być? - zapytałam dziarsko. - Zwykle jestem w pracy do...

- Jeśli zdążysz na siódmą, damy sobie radę. Ktoś pokaże ci, co robić. Zawsze jesteśmy wcześniej, żeby wszystko zorganizować.

- Zdążę.

- Świetnie. Przyjęcie zaczyna się o dziewiątej.

O dziewiątej? To znaczy, że będę w domu bardzo późno, a w środę rano muszę wcześniej wstać.

- W zasadzie tym razem twoim zadaniem będzie roznoszenie tac z gorącymi i zimnymi przekąskami - powiedział Milos.

Świetnie. Jeśli na tym polega francuskie przyjęcie, mogę być kelnerką.

- Musisz nauczyć się francuskiej obsługi, zanim zatrudnię cię na oficjalnych imprezach. Na przykład przyjęciach weselnych - poinformował Milos.

Oficjalne przyjęcia? Wesela? Najwyraźniej Milos ma wobec mnie poważne plany. Widocznie francuskie przyjęcie nie polega jednak na roznoszeniu przekąsek.

- W najbliższej przyszłości muszę wziąć cię na nasze trzygodzinne szkolenie - obiecał Milos. - Na razie będziesz pracować na tyłach. To nie będzie trudne. Mamy teraz modę na ragout.

Kiwnęłam głową.

- Jakies pytania?

Pokręciłam głową. Co to, do cholery, jest moda na ragout?

- Świetnie. Wracam do moich croquebouches. Zapamiętać: Przy najbliższej okazji zapytać Willa, o czym mówi Milos.

Pięć minut później wracałam do pracy z jasnoszarym zakietem w stylu Nehru pod pachą. To góra mojego uniformu. Milos kazał mi włożyć do tego czarne spodnie i czarne buty na płaskim obcasie. Dobrze, że chociaż swoją dolną połowę mogę ubrać w wyszczuplającą czerń.

Zakiet nie jest szczególnie twarzowy. Wyraźnie opinał mi się na biodrach, kiedy go mierzyłam w garderobie Milosa, ale było mi wstyd poprosić o większy. Ten i tak oznaczony był literą L! Kto wie, czy w ogóle mają tam większe rozmiary?

Miałam wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić do pracy piechotą. Dwadzieścia przecznic! Przez cały weekend nie ćwiczyłam ani razu, nie licząc przetańczonych sobotniej nocy. Na szczęście podczas pobytu nad morzem niewiele jadłam. Wieczorem, w letnim domku rozpaliliśmy na tarasie grill, ale zjadłam tylko jednego hamburgera - bez bułki - i trochę sałaty. Nie chciałam obżerać się jak prosię pod nosem znajomych Kate.

Potem poszliśmy do klubu, żeby się napić i potańczyć. Cały wieczór ściszałam w garści jedną jedyną Krwawą Mary - od alkoholu rzeczywiście można utyć! Wade upił się, dokładnie tak, jak przepowiedziała Amelia, i próbował do mnie startować. Miałam ochotę dać mu w zęby, i to nie dlatego,

że zostałam ostrzeżona. Na parkiecie wciąż łapał mnie za pośladki i rozwodził się nad kobietami z dużym biustem. Chyba myślał, że uznam to za komplement. Co za pajac! W końcu udało mu się poderwać jakąś panienkę, która wynajmowała dom na sąsiedniej plaży w Quoque i zniknął z nią na resztę weekendu.

Jeśli chodzi o znikanie, Kate też się to udało. Ona i Billy wyszli z klubu grubo przed całą resztą. Muszę oddać jej sprawiedliwość, bo wcześniej zapytała, czy nie mam nic przeciwko temu, żeby wrócić do domu z kimś innym. Miałabym, gdyby nie Amelia. Na pewno upierałabym się, żeby zabrać się z nimi na trzeciego, bo przez cały dzień nikt z całej paczki nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Ale z Amelią dogadałam się świetnie. W niedzielę zostałyśmy na plaży we dwie, a Kate, Billy i inni poszli na narty wodne.

Muszę powiedzieć, że na lunch Amelia połknęła trzy hot dogi, a ja zjadłam tylko małą torebkę popcornu.

Po powrocie do domu też nic nie jadłam. Byłam taka zmęczona, że marzyłam wyłącznie o spaniu. Rano, zanim pobiegłam do metra, zdążyłam zjeść połówkę kajzerki z chudym twarożkiem. Teraz jestem wprawdzie głodna, ale nie tak znowu bardzo. Chyba zdążę coś sobie kupić, zanim dojdę do biura.

Może to tylko wyobraźnia, ale wydaje mi się, że czarna, lniana spódnica jest o wiele luźniejsza w pasie. Być może podczas weekendu ubyło mi następne pół kilograma? Albo nawet cały kilogram?

Will nie zadzwonił. Tak jak zapowiadał. Jedyna wiadomość na sekretarce pochodziła od Milosa. Ale na pewno zadzwoni dzisiaj, przekonywałam siebie, wchodząc do małych delikatesów na parterze budynku, w którym mieściło się nasze biuro. Było tam pełno ludzi - jak zwykle. Przecisnęłam się przez tłum stojący przed stoiskiem spożywczym i podeszłam do bufetu z przekąskami. Wahalam się między sałatą a gotowanymi jarzynami, a ponieważ nie mogłam docisnąć się do żadnego z dań, zdecydowałam, że wrócę po coś do picia.

Znowu pomyślałam o Willu. Skoro obiecał zatelefonować po weekendzie, to znaczy, że zadzwoni dzisiaj. A co będzie, jeśli nie zatelefonuje? Co wtedy zrobię?

- Przepraszam! - krzyknęłam spanikowana, bo wpadłam na faceta, który akurat otwierał lodówkę z napojami.

- Tracey! - Odwrócił się do mnie.

Wiedziałam, że go znam, ale przez ułamek sekundy wydawało mi się, że to ktoś z biura. Wszystko dlatego, że nigdy, przenigdy, nie spodziewałam się spotkać tutaj właśnie jego.

- Buckley?

To był on. Buckley O'Hanlon.

- Co tutaj robisz? - wyjąkałam.

- Próbuję zjeść lunch - odpowiedział, wyciągając z lodówki pepsi-colę. -
Robię coś dla firmy, która ma biura w tym budynku.

- Jakiej firmy? - Serce mi stanęło na myśl, że to może być Blaire Barnett.

- Seyville Inc. Na drugim piętrze. A ty? Też tu pracujesz?

- Uhm. Na trzydziestym trzecim.

Dzięki Bogu, jeździmy innymi windami. A swoją drogą, co za dziwaczny zbieg okoliczności, że Buckley wylądował w moim budynku.

- Co za zbieg okoliczności! - potwierdził stan faktyczny Buckley.

- Uhm - z udawaną uwagą kontemplowałam rząd butelek z napojami. Szyba lodówki była całkowicie oszroniona, ale trudno.

- Wiesz, próbowałem do ciebie dzwonić po...

- Naprawdę? - przerwałam. Nie chciałam, żeby kończył zdanie, bo oboje wiedzieliśmy, o czym mowa.

Ale Buckley musiał skończyć.

- Tak. Po naszej randce, która tak naprawdę nie była randką, skoro myślałaś, że jestem...

- Wiem. Przepraszam. - Byłam na niego wściekła. Czy on naprawdę musi dopowiadać wszystko do końca? Przecież umówiliśmy się zaledwie jeden raz!

- Za każdym razem, kiedy dzwoniłem, włączała się automatyczna sekretarka.

- Ostatnio rzadko bywam w domu - mruknęłam, zachodząc w głowę, skąd zna mój numer telefonu. Wydawało mi się, że dałam mu fałszywy.

- Tylko że nagranie na sekretarce było po arabsku - poinformował.

- Naprawdę? - Nie mogłam zdobyć się na nic bardziej oryginalnego. -
Dziwne. Musiałeś źle wybrać numer.

- Tak. Za każdym razem - przytaknął uprzejmie. Zanurkowałam do lodówki po coś do picia. Miałam ochotę wejść do jej wnętrza i zamknąć za sobą drzwi. I to bynajmniej nie dlatego, że spociałam się po długim spacerze w samo południe.

- Chyba że przez pomyłkę podałaś mi zły numer - dodał, kiedy wyłoniłam się z mroźnej otchłani z mrożoną herbatą w dłoni.

- Pewnie tak było. Przepraszam. To przypadek.

- W porządku. Dzwoniłem po to, żeby ci powiedzieć, że nie powiedziałaś niczego strasznego i że...

- To dobrze. Dziękuję. Nie miałam zamiaru cię... no wiesz...

- ...obrazić? W porządku. - Uśmiechnął się szeroko. - Dobrze, że nie wymyśliłaś sobie o mnie jakichś naprawdę strasznych rzeczy. Bałem się, że może ci być głupio, i dlatego chciałem ci powiedzieć, że nie ma powodu.

Zauważyłam, że w uśmiechu pokazuje wszystkie zęby. Jeśli takim uśmiechem obdarza się bohatera porządnego komiksu, trzeba mu dorysować wielką iskrę odbitą od przednich zębów.

Dzisiaj Buckley nie miał na sobie swetra, ale jasnoniebieską, elegancką koszulę, sportowe spodnie w kolorze khaki i żółtawy krawat. Podwinięte rękawy odsłaniały opalone ręce.

- Idziesz do pralni? - zapytał, wskazując zakiet od Milosa, zawinięty w plastikową torbę.

- Nie, właściwie to wracam ze... ze spotkania - coś mnie zmuszało, żeby mówić dalej. - Spotkałam się z... hm... facetem, który organizuje przyjęcia. Będę dla niego pracować.

Nie wiedziałam, dlaczego opowiadam niemal obcemu człowiekowi o prywatnych sprawach. Czasami zdarza mi się coś podobnego. Tylko wtedy, kiedy jestem zdenerwowana.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby mnie nie pocałował. No, może nie do końca w porządku, zważywszy na to, że według mnie był gejem, z którym poszłam po przyjacielsku do kina, a według niego - byliśmy na randce. Ale pocałunek niewiarygodnie skomplikował sytuację.

A wszystko dlatego, że... Że pocałunek Buckleya O'Hanlona sprawił mi wielką przyjemność.

Co gorsza, na sam jego widok zapragnęłam, żeby pocałował mnie jeszcze raz. W usta. Tutaj. W wąskim, zatłoczonym przejściu dość obskurnych delikatesów, gdzieś na Trzeciej Alei.

Zrobił krok w moją stronę, bo ktoś przepychał się za jego plecami. Nasze twarze znalazły się tuż przy sobie i - muszę przyznać - strasznie chciałam, żeby objął mnie ramionami i całował do utraty tchu.

Ale nic podobnego się nie stało. Buckley uśmiechnął się znowu.

- Przygotowują dla mnie kanapkę - powiedział.

- Co? - Zamrugałam powiekami, próbując odgadnąć, co ma na myśli. Dlaczego wydaje mi się, że mówi do mnie w obcym języku, skoro słyszę znane mi angielskie słowa? To nie ma sensu. Przecież niczego nie piłam.

Ale w samo południe byłam na słońcu...

- Muszę ją odebrać, zanim weźmie ją ktoś inny - dodał zagadkowym tonem.

- Co? - powtórzyłam.

O czym on mówi? Ktoś z nas gada bez sensu. Albo Buckley jest pijany, albo mnie umknęło coś, co powiedział, kiedy snułam fantazje o pocałunku.

- Kanapkę - wyjaśnił. - Zamówiłem kanapkę z wołowiną i żółtym serem, i odszedłem na chwilę, żeby wziąć sobie coś do picia. Dlatego muszę...

- Jasne. Leć - powiedziałam i odepchnęłam go z całych sił. Wszystko dlatego, że dopóki jego twarz była blisko mojej, nie mogłam nie myśleć o niczym innym tylko o całowaniu. Potem pomaszerowałam do kasy ze swoją puszką mrożonej herbaty o smaku truskawkowym.

- No to cześć! - zawołał za mną.

Pomachałam mu, wmawiając sobie, że to nie Buckley. że zareagowałabym podobnie na każdego w miarę przystojnego faceta. Dziewięć dni w celibacie i proszę, jaka jestem napalona.

Nie zauważyłam tego, dopóki nie pojawił się Buckley i wspomnienie tamtego pocałunku.

Z puszką w ręku wróciłam do biura. Dopiero w windzie uświadomiłam sobie, że nie kupiłam niczego do jedzenia. Teraz było za późno. Nie zjadę na dół, wiedząc, że mogę natknąć się na Buckleya w holu.

- Jak było? - Brenda wystawiła głowę nad ściany swojego boksu.

Jak było? Skąd ona wie?

- Spodobałaś mu się?

Musiałam mieć nieprzytomny wzrok.

- Milosowi - podpowiedziała.

- A! Milosowi.

- A myślałaś, że o kogo pytam?

- O Buckleya.

- Wiedziałaś, o kogo pytasz, ale... chyba dostałam udaru. - Przyłożyłam sobie zimną puszkę do płonącego czoła.

- Rzeczywiście masz wypieki - przyznała. - Chyba nie wracałaś pieszo w tym upale?

Kiwnęłam głową.

- Muszę ćwiczyć. Codziennie staram się dużo chodzić.

- Jesteś szalona. Nie wolno. W takim upale! Jeszcze zemdlejesz gdzieś na chodniku.

- Brenda. Nic mi nie jest - uśmiechnęłam się uspokajająco na widok jej zaniepokojonej miny.

- Jeśli chcesz ćwiczyć, przyniosę ci kasetę z aerobikiem.

- Aerobik? Dla mnie? Mam fatalną koordynację ruchów.

- Każdy może ćwiczyć aerobik. Masz w domu wideo? Kiwnęłam głową. Mam. Dostałam w pożegnalmym prezencie od rodziny.

- Jutro dostaniesz którąś z kaset Jane Fondy. A co z dietetyczną zupą? Skuteczna?

- Jasne - powiedziałam. Nie chciało mi się wyjaśniać, że żadna kobieta nie przeżyje na zupie z kapusty.

- Naprawdę? Ja wytrzymałam jeden dzień. W zeszłym tygodniu utylam kilogram.

- Nie wyglądasz - powiedziałam zgodnie z prawdą. Brenda należy do tych kobiet, których figurę trudno ocenić.

Często nosi luźne spodnie i swetry i nie wiadomo, jaka jest pod spodem. Nigdy nie pomyślałabym, że ma nadwagę. Poza tym ma dużo włosów i one odciągają uwagę od całej reszty.

- Wczoraj Paulie zażyczył sobie lasanię - westchnęła. - Zjadł połowę. A ja prawie drugie pół.

Poczułam, że ślina napływa mi do ust. Lasania... Ostatni raz jadłam lasanię... I wtedy przypomniałam sobie o czymś.

- Jak myślisz - zapytałam Brendę - czy Jake pozwoliłby mi wcześniej wyjść z pracy? W piątek, przed 4 lipca*?

* 4 lipca Amerykanie obchodzą Dzień Niepodległości (Independence Day albo Fourth of July), upamiętniający przyjęcie Deklaracji Niepodległości 4 lipca 1776 roku. Jest to święto narodowe Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

- Kto wie. A dlaczego?

- Chciałabym złapać popołudniowy autobus do domu. Moi rodzice obchodzą rocznicę ślubu. Wydajemy dla nich przyjęcie.

- Musisz jechać. - Pochyliła się do mnie i szepnęła: - Zadzwoń w piątek rano i powiedz, że jesteś chora.

- Nie wydaje mi się, że to dobry pomysł. A jeśli Jake odkryje, że to nieprawda?

- Ciekawe jak? - prychnęła.

- Może zatelefonować do mnie do domu. Wzruszyła ramionami.

- Wtedy powiesz, że byłaś taka słaba, że nie mogłaś podejść do telefonu.

- Lepiej już go poproszę, żeby mnie zwolnił. Mam autobus o trzeciej po południu.

- Nie możesz pojechać późniejszym?

- Nie - pokręciłam głową. - Jadę całe dziewięć godzin.

- Wydawało mi się, że mieszkasz w stanie Nowy Jork!

- Bo mieszkam. Ale to duży stan.

- O, rany. Nie miałam pojęcia, że aż tak duży.

Nie po raz pierwszy spotykam się z podobną nieświadomością. Ludziom wydaje się, że stan Nowy Jork kończy się za rogatekami miasta.

- Tracey? Czy to ty?! - rozległo się wołanie Jake'a z drugiego końca holu.

- Wydaje mi się, że ktoś cię wzywa. - Brenda z oburzeniem przewróciła oczami. - Uwielbiam sposób, w jaki to robi. Wrzeszczy, nie wstając od biurka, zamiast przyjść po ciebie jak cywilizowany człowiek.

- Nie przejmuj się tak bardzo. - Machnęłam ręką i poszłam do pokoju Jake'a.

Brenda ma dużo racji. Nie zauważyłam, jakie to poniżające, dopóki mi tego nie uświadomiła.

Jake jak zwykle przyjął mnie z nogami na biurku.

- Chcę, żebyś coś dla mnie załatwiła - powiedział. - Dzisiaj są urodziny mojej matki. Zapomniałem poprosić Laurie, żeby kupiła jej jakiś prezent. Polec do sklepu z czekoladą na rogu Czterdziestej Trzeciej i kup kilogram belgijskich trufl. Tu są pieniądze.

Wyjął z kieszeni garść banknotów dziesięcio- i dwudziestodolarowych. Wyciągnęłam rękę i wzięłam pieniądze. Co innego mogłam zrobić? Odmówić załatwiania jego prywatnych spraw? Nie wiem, czy Brenda umiałaby się na to zdobyć.

Wiem, że Latisha i Yvonne na pewno by mu odmówiły. Nie od dzisiaj powtarzają mi obie, że nie powinnam słuchać chamskich poleceń Jake'a. Ale ja nie umiem powiedzieć „nie”.

Poza tym, co w tym złego, że prosi mnie o przysługę? A ja wyjdę sobie na chwilę z biura. Będę miała czas na papierosa. I poćwiczę trochę. Chociaż wyobrażam już sobie, jaką pokusą dla mojego pustego żołądka będzie sklep z czekoladą.

- Ile pieniędzy mogę wydać? - zapytałam.

- Sprawdź, czy uda ci się zmieścić w setce. A wracając, zajdź do sklepu po kartkę urodzinową, dobrze? - dodał. - Taką z napisem „Najlepsze życzenia od kochającego syna” czy inne pasujące gównu.

- Dobrze. - Chrząknęłam, żeby oczyścić gardło. Jake wyciągnął rękę do telefonu i podniósł słuchawkę. - Jake, posłuchaj. Przygotowałam propozycje nazwy dla twojego produktu.

Najwyraźniej nie miał pojęcia, o czym mówię.

- Co? - Podniósł głowę znad telefonu.

- Nazwy dezodorantu na cały tydzień - przypomniałam mu.

- Aha! Prawda. To świetnie. - I zaczął wybierać numer.

- Czy... Czy chcesz je omówić?

- Jasne. Daj mi tę listę.

- Teraz?

- Nie. Zostaw ją w poczcie, zajrzę do niej później.

- Dobrze. - Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do pokoju i dorzucić swój spis do sterty poczty dla Jake'a. Potem wyjęłam z torby papierosy i okulary przeciwsłoneczne i poszłam do windy.

- Dokąd idziesz? - zapytała Yvonne, kiedy mijałam ją na korytarzu.

- Załatwić coś Jake'owi.

- Naprawdę? Dokąd tym razem kazał ci iść?

Udałam, że nie słyszę, i szybko wsiadłam do windy. Dlaczego tak się przejmuję, kiedy moje przyjaciółki powtarzają, że Jake mnie wykorzystuje? To mój szef. W końcu mam robić to, o co mnie prosi, prawda?

Prawda!

Nawet załatwiać jego prywatne sprawy w godzinach pracy? Chyba tak.

W holu rozejrzałam się, czy przypadkiem nie ma tam Buckleya O'Hanlona. Ani śladu. Co za szczęście, pomyślałam. Spotkanie z nim jest ostatnią rzeczą, na którą mam teraz ochotę.

Dokładnie to samo powiedziałam Kate, kiedy po pracy poszłyśmy na drinka. Wolałabym wrócić prosto do domu, ale zadzwoniła do biura, błagając, żebyśmy się spotkały w kawiarni niedaleko mojego domu. Powiedziała, że potrzebuje rady.

Tymczasem siedzimy razem już ponad piętnaście minut, a ona nic, tylko mówi o mnie. Dlatego wspomniałam o Buckleyu. Skoro na jej pytanie, jak minął mi dzień, opowiedziałam o przyszłej pracy u Milosa, o czekoladkach dla matki Jake'a, to w żaden sposób nie mogłam pominąć spotkania z Buckleyem. No, może mogłam.

Ale chciałam o nim porozmawiać. O tym, z jaką niechęcią go zobaczyłam. I o tym, że mam nadzieję, że nigdy go już nie spotkam.

- Jesteś pewna, że tego nie chcesz? - zapytała Kate z przebiegłym uśmiechem.

- Oczywiście, że tak. A bo co?

- Całowałaś się z nim...

- To on mnie pocałował.

- Raphael mówi, że on jest bardzo seksowny.

- Raphael mówi tak o wszystkich. Buckley to nic szczególnego.

To prawda. Nic szczególnego według kryteriów Kate. Według większości kryteriów. Jest po prostu miłym, przyjaznym ludziom człowiekiem. Typem sąsiada z przeciwka. Zwyczajnym facetem z klasy średniej. Wszystko w nim jest zwyczajne. Może to jest w nim najbardziej pociągające. W Nowym Jorku nie ma wielu takich mężczyzn.

Ale ja pochodzę z miasteczka, w którym jest mnóstwo zwyczajnych ludzi. Nigdy nie chciałam być podobna do nich ani umawiać się z kimś podobnym do nich.

Ale przecież ja wcale nie chcę umawiać się z Buckleyem!

- Nie musisz zaraz wdawać się z nim w romanse. Nie możesz się z nim po prostu zaprzyjaźnić? - zapytała Kate.

- Zobacz. Okazało się, że pracuje w tym samym gmachu. To może być znak.

Kate bardzo wierzy w różne znaki. Twierdzi, że zerwała ze swoim chłopakiem, kiedy podczas ich kłótni w parku przelotny ptak narobił mu na rękaw.

- Mam wystarczająco dużo przyjaciół - odpowiedziałam, sięgając po kieliszek merlota. Wypiłam łyk, zanim ją zapytałam:

- O czym chciałaś ze mną pogadać?

- Mama telefonowała wieczorem, tuż po moim powrocie z Hampton. Tato stracił ostatnio mnóstwo forsy na giełdzie. Chcą, żebym wynajęła coś tańszego albo znalazła sobie lokatora.

- O rany!

Zaskoczyła mnie. Byłam pewna, że chce się ze mną spotkać, żeby spytać, co myślę o jej romansie z Billym. Nigdy też nie słyszałam, żeby tak otwarcie przyznała się do tego, że jest na utrzymaniu rodziców. To znaczy - nigdy nie robiła z tego sekretu, ale też nie mówiła o tym wprost.

- I co zamierzasz zrobić? - zapytałam.

- Nie wiem. Bardzo lubię swoje mieszkanie. Mam dwie sypialnie i pomyślałam sobie, że może...

Przerwała i przez chwilę obracała w palcach nóżkę kieliszka.

- Może co?

- Może ty zechciałabyś wprowadzić się do mnie? Nie od pierwszego lipca - dodała szybko. - Wiem, że musisz wymówić mieszkanie z miesięcznym wypowiedzeniem. Ale może od sierpnia?

Mój mózg pracował na pełnych obrotach. Zamieszkać z Kate? To brzmiało cudownie. Mieszkanie było piękne, miało kominek, sztukaterie pod sufitem i maleńki taras. Dzielnica też była śliczna.

Ale co z Willem? Jeśli zamieszkam w sierpniu z Kate, nie będę przecież mogła zaproponować mu we wrześniu, żebyśmy zamieszkali razem.

- Ile za nie płacisz?

- Nie mogę żądać od ciebie połowy. To byłoby nie fair, bo chciałabym zatrzymać swoją sypialnię, a ona jest większa.

Próbowała się wykręcić.

- Ile, Kate?

- Piętnaście tysięcy. Sprawa rozwiązała się sama.

- Nie stać mnie na tyle. - Pokręciłam głową. Szkoda.

- Czternaście - poprawiła się zaraz. - Wyskrobie tę setkę z tego, co zarobię w biurze.

- Kate, daj spokój. To byłoby niesprawiedliwe. I prawdę mówiąc, jestem pewna, że płacisz więcej niż piętnaście tysięcy. To piękne mieszkanie.

- Wiem, ale bardzo chciałabym, żebyś ze mną zamieszkała.

- Nie dam rady - powiedziałam, chociaż propozycja coraz bardziej mi się podobała.

- Sama mówiłaś, że przez całe lato będziesz pracować u Milosa. Zarobisz fortunę, Tracey. Na pewno uda ci się pokryć różnicę między tym, co płacisz teraz, a kosztami mojego mieszkania.

Może. Ale chodzi nie tylko o pieniądze. Chodzi o Willa.

Nie mogłam powiedzieć Kate, że liczę na to, że po jego powrocie zamieszkamy razem. Pomyśli, że jestem fantastką. Albo uzna to za niedobry pomysł.

- Nie chcę mieszkać z kimś obcym - Kate była niepokieszona. - Po tym, co przeszłaś z Mercedes.

- Nie było aż tak źle.

- Kochanie, przypominam ci, że ona była narkomanką i prostytutką. - Kate spojrzała na mnie, unosząc jedną brew.

- No dobrze. Było fatalnie. Ale dlaczego ciebie ma spotkać coś takiego?

- Obcy to obcy, nawet jeśli jest niepodobny do niej.

- Słuchaj! Dlaczego nie zapytasz Raphaela? Odkąd pracuje dla „She”, zarabia całkiem nieźle. Może zechce się do ciebie przeprowadzić?

- Nigdy nie zamieszkałabym z Raphaelem - obruszyła się Kate tonem wyrażającym najwyższe oburzenie, że wymyśliłam coś podobnego. - Jego styl

życia nigdy nie da się pogodzić z moim. Pomyśl sama. Jacyś dziwni faceci - marynarze - przychodzą i wychodzą, kiedy chcą.

Teraz ja się uśmiechnęłam.

- Masz rację. Chyba będziesz musiała przeprowadzić się do czegoś mniejszego.

- Ale ja kocham swoje mieszkanie - załkała - i co mam teraz zrobić?

Wzruszyłam ramionami.

- Tracey, pomyśl jeszcze nad tym, dobrze? Rozważ to dokładnie. Nie mów od razu: nie.

- Ale Kate...

- Poczekaj. Sprawdź, ile zarobisz na przyjęciach - nalegała. - Założę się, że to będzie spora forsa. Po co masz zostawać w swoim mieszkaniu, skoro możesz zamieszkać u mnie? Ale by było zabawnie.

Kiwnęłam głową. Na pewno byłoby zabawnie. I gdyby okazało się, że mój plan zamieszkania z Willem się nie spełni...

Nie żebym uważała, że mi się nie uda, ale gdyby mi się nie udało zamieszkać z Willem, nie miałabym nic przeciwko mieszkaniu z Kate. To bardzo dobry pomysł. Nie czułabym się samotna.

Ale przecież nie będę wcale samotna, bo kiedy Will wróci, zamieszkamy razem. Nie mogę wprowadzić się do Kate, bo to zagrozi naszej wspólnej przyszłości.

- Pomyślisz o tym, Tracey? - jeszcze raz poprosiła Kate. Odpowiedziałam, że tak, tylko po to, żeby nie psuć jej humoru.

W drodze do domu kupiłam chińskie jedzenie i zjadłam je przed telewizorem, oglądając powtórkę Ally McBeal.

A telefon - prawdziwa niespodzianka! - nie odezwał się nigdy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Jesteś Tracey, prawda?

Kiwnęłam głową w kierunku sympatycznego Murzyna, który czekał na mnie u wyjścia z windy. W ten sposób po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, jak wygląda penthouse * w okolicach Central Park South.

* Penthouse - luksusowy apartament urządzony na ostatnim piętrze lub nadbudowany na dachu budynku.

- Witaj. Jestem John Wilson z „Jedź, pij, wychodź za męż”. Milos prosił, żebym cię przeszkolił.

Ochroniarz, który przywiózł mnie tu windą - ale dopiero po sprawdzeniu, czy moje nazwisko figuruje na liście i po telefonie na górę - wycofał się bezszelestnie.

Musiałam się pilnować, żeby nie rozdziawić za szeroko szczęki, kiedy John prowadził mnie przez rozległy hol do pokoju, który nazwał atrium. Atrium miało trzy szklane ściany, przez które roztaczał się nieprawdopodobny widok na Central Park, dwadzieścia pięter niżej. Ale wystarczyło nie patrzeć w dół, żeby uwierzyć, że jest się na tarasie nad Morzem Śródziemnym. Podłoga z prawdziwej czerwonej terakoty, zatrząsienie tropikalnych roślin, kute żelazne meble, które wyglądały na stare, plusk fontanny... Przez podwójne drzwi łączące atrium z salonem kilku mężczyzn przepychało właśnie wielki fortepian.

Po całym domu krzatali się ludzie - wszyscy mieli na sobie szare żakiety ze stójką i czarne spodnie i wszyscy wyglądali dużo lepiej niż ja.

Moje nudne, wizytowe spodnie z gabardyny zostały kupione ponad rok temu z okazji pogrzebu ciotecznej babki Spadolini. Nigdy więcej już ich nie włożyłam. Na szczęście - pasowały, co jeszcze kilka miesięcy temu nie byłoby takie pewne. Czulałam, że są trochę za ciasne w pasie. Jak to dobrze, że zrzuciłam te dwa kilogramy z hakiem!

John oprowadził mnie szybko po całym apartamencie i opowiedział o przygotowywanej imprezie: koktajlu, wydawanym z okazji czterdziestych urodzin jakiegoś gościa przez jego żonę. Rzuciłam okiem na portret w bogatych ramach, wiszący nad kominkiem i przedstawiający przystojną parę w średnim wieku. To musieli być oni.

Byłam ciekawa, czym się zajmują, skoro stać ich na takie mieszkanie - wyglądało na to, że któryś z Trumpów ożenił się Vanderbiltną albo na odwrót. O mało nie zapytałam Johna, czy na przyjęciu będą jakieś znane

osobistości, członkowie królewskich rodów i temu podobne. Wstrzymałam się, bo byłoby to strasznie... w stylu Brookside. Starłam się więc nie wybałuszać oczu na nic, co mi pokazywał, i udawałam, że takie bogactwo to dla mnie pestka.

Bezcenne obrazy? Prywatna sala gimnastyczna obok sypialni? Garderoba dwa razy większa od całego mojego mieszkania?

Wielkie rzeczy.

John pokazał mi, w jaki sposób nosić tace i podawać gościom zakąski. Wydawało mi się to bajecznie ' łatwe, dopóki nie zaczęłam ćwiczyć z pustą, srebrną tacą, która okazała się dużo cięższa, niż myślałam.

Powiedziano mi, że mam być miła i uprzejma.

- Pamiętaj - powiedział John - że goście nie przychodzą tutaj, żeby rozmawiać z obsługą.

- Co za szkoda - zrobiłam ponurą minę. - Przygotowałam sobie kilka nowych zwalających z nóg dowcipów i...

Twarz Johna stężała ze zgrozy.

- Wyluzuj się, przecież żartuję - zaśmiałam się. Odetchnął z ulgą.

- Już myślałem, że...

- ...trafiłeś na świra?

- Coś w tym rodzaju. Uwierz mi, że to się zdarza. Niektórzy nie mają pojęcia, o co chodzi w tej pracy. U nas dorabia sobie wielu ludzi z branży rozrywkowej. Raz, na przyjęciu u właściciela firmy fonograficznej, nowa kelnerka, podając mu sorbet, zaczęła śpiewać.

- Mówisz serio?

- Jak najbardziej. Miała nadzieję, że ktoś odkryje w niej talent.

- Ja nie mam żadnych talentów. I naprawdę wiem, o co chodzi w tej pracy.

Will wszystko mi powiedział. Nie rzucasz się w oczy. Jesteś tam, gdzie trzeba.

- Jaki Will?

- Will McCraw. Mój chłopak. Często pracuje u Milosa.

- Znam Willa. Zawsze pracujemy razem. - I dodał ze zdziwioną miną: - To on ma dziewczynę?

- Co? A, już wiem. Pewnie myślałeś, że jest gejem.

- Nie, wcale nie...

Był zaskoczony nie dlatego, że uważał Willa za geja... Był zaskoczony, bo nie podejrzewał, że Will jest z jakąś dziewczyną.

- Dlaczego tak się zdziwiłeś?

- Bez powodu. Po prostu nie wiedziałem, że ma dziewczynę - odpowiedział, unikając mojego wzroku. - Chodź, wracamy do spiżarni. Trzeba im pomóc z jedzeniem.

Dlaczego unikał mojego wzroku? W głowie kłębiły mi się coraz bardziej paranoiczne myśli. Zawsze dotyczyły Willa, który mnie zdradza, i Johna, który o tym wie. Może wszyscy o tym wiedzą i szepczą do siebie za moimi plecami: „Zobaczcie, to jest dziewczyna Willa McCraw. Naiwna, myśli, że on jest jej wierny”.

Nakładałam na tace maleńkie grzanki z fetą i karczochami, koreczki z łososia i kruche babeczki z koperkiem i kwaśną śmietaną i coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że tak właśnie jest.

Dyskretnie obserwowałam inne, kelnerki, zastanawiając się, która z nich uwiodła Willa. Wszystkie wyglądały jak potencjalne femme fatale. Sheila z cudownymi rudymi włosami, Kelly o kościach policzkowych jak u modelek i Zoe, która miała biust jeszcze większy od mojego i filigranowe ciało.

Jedynie Sue była wyłączona z podejrzeń. Po pierwsze - też była nowa, nie tylko w firmie Milosa, ale w Nowym Jorku dopiero co przeniosła się tu z Pittsburgha. Po drugie - w przeciwieństwie do Sheili, Kelly i Zoe - była dla mnie supermiłą. Już po dwudziestu minutach znajomości stwierdziła, że musimy się gdzieś razem wypuścić. Albo jest bardzo samotna, albo poczuła do mnie sympatię. Może i to, i to?

Za każdym razem, kiedy John przedstawiał mi komuś nowemu, mówił - To jest Tracey. Dziewczyna Willa McCraw.

Wszyscy byli zaskoczeni.

Wszyscy robili mi typy „To Will ma dziewczynę?”, a niektórzy wręcz mówili to na głos.

Na szczęście skoro tylko pojawili się pierwsi goście, zabraliśmy się do roboty i wieczór przeleciał jak chwila.

Kiedy przed przyjęciem rozkładałam kanapki na tacach, żołądek ścisnął mi się z głodu. Teraz, gdy wszyscy już wyszli, a my zajęci byliśmy sprzątaniami, zupełnie odechciało mi się jeść. John powiedział, że teraz możemy częstować się wszystkim, ale nawet marynowane krewetki z rusztu obsypane świeżą bazylią nie były w stanie mnie skusić.

W końcu mogłam wrócić do domu. Jechałam taksówką, bogatsza o sto dolarów, i zastanawiałam się, jakim cudem mam za sześć godzin wstać do pracy, a w chwilach wolnych od myślenia masowałam obolałe stopy i ramiona.

Czerwone światelko na sekretarce sygnalizowało, że ktoś zostawił mi wiadomość. Nacisnęłam „przewijanie” i zaczęłam się rozbierać.

Nie chciało mi się rozpinać wszystkich guzików zakietu, po prostu ściągałam go przez głowę. Oczywiście, utknął gdzieś w okolicach moich uszu. Wtedy właśnie wydało mi się, że słyszę zduszony głos Willa.

- Tracey? Tracey?

Przez ułamek sekundy pomyślałam głupio, że jest tu, w moim pokoju.

Wiem. To chore. Co innego mogę powiedzieć? Ale było późno, a ja miałam obniżony poziom cukru we krwi.

Oczywiście, za chwilę zorientowałam się, że to taśma. Will prawdopodobnie myślał, że jestem w domu i nie odbieram telefonu. Nie wierzył, żebym mogła wyjść o tej porze.

- Już północ. Gdzie ty jesteś? Dobra. Spróbuję innym razem. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

Usłyszałam trzask odkładanej słuchawki. Zaraz potem mechaniczny głos obwieścił: „Nie ma więcej wiadomości”.

Wciąż mocowałam się z przeklętym zakietem. Nie mogłam nawet sprawdzić, czy nie jest za późno, żeby do niego oddzwonić. W tym momencie byłam nie tylko głucha, ale i ślepa. Zaczęłam naciągać zakiet na siebie i wtedy zorientowałam się, że nie mogę zatelefonować do Willa. Nie znam jego numeru.

Było mi ciężko.

Nawet bardzo.

Próbowałam pocieszać się, że przynajmniej on może dzwonić do mnie, ale nic nie pomogło.

Nie powiedział nawet, że za mną tęskni. Nie powiedział niczego, co uwolniłoby mnie od przykrości, jaką było odkrycie, że nikt w „Jedź, pij, wychodź za mąż” nie ma pojęcia o moim istnieniu.

Najwyraźniej Will nie rozmawia w pracy o swoim życiu uczuciowym.

Może dlatego, że jest po prostu typem małomównego faceta.

Moi bracia są tacy. Nigdy nie omawiają publicznie swoich sercowych spraw. Dawno temu, kiedy jeszcze wszyscy mieszkaliśmy z rodzicami, mama ciągle wyciągała ich na spytki - bo moja mama nie należy do osób powściągliwych i zawsze wpycha nos w nie swoje sprawy. Wtedy oni zamykali się w sobie i uciekali. Nikt z nas nie miał pojęcia, że mój średni brat Joey w ogóle ma dziewczynę, dopóki nie poprosił mojego najstarszego brata Danny'ego o pożyczkę na kupno zaręczynowego pierścionka.

Więc może Will nie wspomniał o mnie swoim kolegom dlatego, że faceci po prostu tego nie robią?

A może nie mówił im nic o mnie, żeby mieć wolne ręce i pieprzyć się, z kim popadnie, za moimi plecami?

Pewnie myślicie, że ponosi mnie wyobraźnia.

Być może tak właśnie jest.

Ale nie mogę jakoś powstrzymać się od myśli, że przez długi - zbyt długi czas, z własnego wyboru udawałam ślepa. Dopiero teraz, kiedy dzieli nas spora odległość, widzę wszystko wyraźniej.

Od zawsze wiedziałam, że w naszym związku są problemy. Przede wszystkim - ja od wieków pragnęłam zaangażować się na stałe, podczas gdy Will żył swoim życiem i wcale nie myślał o wspólnej przyszłości nas dwojga. Nagle zrozumiałam, że te problemy są sygnałem czegoś dużo poważniejszego.

Wciągnęłam już na siebie żakiet i rozpinając powoli guziki, zaczęłam myśleć o naszych relacjach w całkiem inny sposób.

A może Will nie jest tym, za kogo go biorę?

Może nigdy nie stanie się tym, kogo potrzebuję?

Zawsze różnił się od wszystkich, których znałam w Brookside - i to pociągało mnie w nim najbardziej. Ale może dlatego nie udaje mi się go zdobyć?

Oboje robiliśmy wszystko, żeby zrzucić z siebie ślady małego miasteczka i mieszczańskiego wychowania. Ale ja przekonałam się w zeszłym tygodniu, że czasem mi tego brak. Nie wyobrażam sobie, żeby Will odczuwał kiedykolwiek tęsknotę za przeszłością. Raczej odrzuca wszystko, co się kojarzy z tamtym stylem życia.

Z małżeństwem włącznie.

A ja... Ja chcę mieć męża. Kiedyś. Nie udaję nawet, że myślę inaczej. Chcę wiedzieć, że należę do kogoś, kto należy do mnie.

I kto mnie nigdy nie opuści.

Oczywiście, małżeństwo nie daje żadnej gwarancji, że tak będzie. Wystarczy spojrzeć na Mary Beth i Vinniego.

Ale ja nigdy nie wyszłabym za kogoś podobnego. Ja wyjdę za mąż za kogoś, kto pokocha mnie tak, jak ja jego, i komu będę ufać tak, jak on zaufa mnie.

Jak już powiedziałam - nie wiem, czy Will jest kimś takim.

- Ale nie pozwolę ci odejść, Will - szepnęłam. - Nie mogę. Jeszcze nie.

A może nigdy?

Chyba... Chyba że się mylę.

Takie myśli nie pomagają zasnąć. Minęła trzecia. Potem czwarta i piąta. Potem usłyszałam terkotanie budzika i miałam wielką ochotę zadzwonić do pracy, by powiedzieć, że jestem chora, i znowu zwinąć się w kłębek i spać. Ale przypomniałam sobie, że dzień wolny będzie mi potrzebny, kiedy pojedę odwiedzić Willa.

Jakimś cudem udało mi się wziąć w garść i zawlec do pracy.

Szłam właśnie do delikatesów na parterze mojego biurowca, kiedy ktoś mnie zawołał.

Oczywiście, Buckley. Odprasowany, wypucowany, uczesany, z dymiącym styropianowym kubkiem i brązową torbą z delikatesów. Dzisiaj byłam zbyt zmęczona, żeby się denerwować, nie mówiąc o tym, żeby uciekać.

- Co za zbieg okoliczności - powiedział na przywitanie. Udało mi się zaśmiać.

- Jak leci? - zapytał. Ziewnęłam zamiast odpowiedzieć.

- Chyba balowałaś do rana.

- Uhm - nie miałam siły rozwinąć tematu. Niech sobie myśli, co chce.

- Słuchaj, Tracey! Jedna rzecz nie daje mi od wczoraj spokoju.

- Naprawdę? Co mianowicie?

- Czy ty specjalnie podałaś mi nieprawdziwy numer telefonu?

- Dlaczego miałabym to robić?

- Bo nie chciałaś, żebym do ciebie dzwonił.

- Bzdury. Właściwie to bardzo chciałam, żebyś do mnie zadzwonił, bo miło byłoby znowu gdzieś się razem wypuścić - usłyszałam swój własny głos.

- Żartujesz!

Niebezpieczna sytuacja. Kiedy człowiek jest nieprzytomny ze zmęczenia, mogą się zdarzyć różne rzeczy.

- No to może byśmy się gdzieś razem wypuścili? Zaraz powiem coś głupiego. Na przykład...

- Jasne. Kiedy?

Czy ja to naprawdę powiedziałam? A może to sen?

Ale to nie był sen, bo Buckley wręczył mi swoją bardzo prawdziwą wizytówkę z bardzo prawdziwym numerem telefonu.

- Świetnie. Zadzwoni, kiedy będziesz chciała.

- Zadzwonię - skłamałam.

Wrzuciłam wizytówkę do torby, pomachałam mu z udawanym przyjaznym uśmiechem i wyszłam na ulicę.

Przecznice dalej była kawiarnia. Zamówiłam podwójne espresso. Muszę się rozbudzić, zanim zrobię coś naprawdę strasznego.

Czekając na kawę, wyciągnęłam wizytówkę Buckleya, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Była bardzo prosta - imię, nazwisko, adres, telefon i e-mail. Żadnych tytułów. Tylko elegancki, mały rysunek w jednym rogu. Na nim gęsie pióro i staroświecki kałamarz.

Przedemną pojawiło się espresso. Wypiłam je z mlekiem i słodzikiem. A kiedy wyrzucałam do kosza torebkę po słodziku, zauważyłam, że w drugiej ręce ciągle trzymam wizytówkę Buckleya.

Powinnam też ją wyrzucić, myślałam z ręką nad koszem. Przecież i tak do niego nie zadzwonię. Poza tym postanowiłam pozbyć się wszystkich niepotrzebnych gratów.

Zrobić porządki w życiu.

I z tego właśnie powodu, zaraz po powrocie do biura, zapisałam jego nazwisko i telefon w swoim elektronicznym notesie. Dopiero potem wyrzuciłam wizytówkę.

Przecież nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi będzie potrzebny dobry copywriter.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Trzy tygodnie oraz cztery kilogramy później, tuż przed północą, stałam na stopniach autobusu, który właśnie dojechał do Buffalo. Tym razem nie był to Hampton Jitney, cud techniki z rozkładanymi siedzeniami i zapachem świeżych ziół unoszącym się w powietrzu.

Zapachu, który unosił się w powietrzu w tym autobusie, nikt nie chciałby wspominać. Był to bowiem zapach mężczyzn, którzy w ogromnej większości zachowywali się, wyglądali i cuchnęli, jakby przed chwilą wyszli z więzienia. Nie do wiary, ilu byłych skazańców wybrało się do Buffalo, żeby spędzić tam dzień 4 lipca. Aż do dzisiaj nie miałam pojęcia o istnieniu takiej tradycji.

Kiedy szłam w stronę budynku dworca, trzech facetów, z których każdy nie miał co najmniej jednego zęba, zaproponowało, że poniesie mi torbę. Podziękowałam bardzo uprzejmie - „dziękuję, ale nie, dziękuję”. Dwóch z nich rozplynęło się w ciemnościach, trzeci nazwał mnie suką i szedł za mną cały czas.

Na szczęście mój brat Joey i jego żona Sara czekali na mnie tak, jak obiecali. Po powitaniach, uściskach i ustaleniu, że podróż była rzeczywiście taka okropna, jak Joey i Sara przewidywali, poszliśmy do samochodu.

- Dlaczego ciągle się oglądasz, Tracey? - zapytał Joey.

- Bez powodu - odpowiedziałam, ale tak naprawdę sprawdzałam, czy ten straszny typ od niesienia torby nie czai się gdzieś z tyłu. Mam nadzieję nie spotkać go w poniedziałek, kiedy będę wracać.

- Chyba schudłaś, Tracey - powiedziała Sara, przytrzymując drzwi ich małego samochodu, kiedy wciskałam się na tylne siedzenie.

- Zauważyłaś w takich ciemnościach?

- Jasne.

Jaka ona miła. Od razu przestałam mieć do niej pretensje o to, że może jeść absolutnie wszystko, co chce, w dowolnych ilościach, i wciąż wyglądać jak lizak o blond włosach. Moja mama i Mary Beth nieustannie powtarzają, że Sara jest za chuda. Ale co one wiedzą, skoro kiedyś, jeszcze w podstawówce wmówiły mi, że ładnie wyglądam w marszczonej w pasie, czerwonej sukience na szelkach?

Plotkowałyśmy z Sarą przez całą drogę do Brookside. Jak pamiętacie, Joey jest typem milczka, a teraz kiedy ma żonę, która mówi w swoim i jego imieniu, odzywa się jeszcze rzadziej. Dowiedziałam się wszystkiego o ich nowym

domu, wyprawie pod namiot z okazji Dnia Pamięci i o tym, że starają się zająć w ciąży.

Sara napomknęła też, że martwi się o Mary Beth.

- Dlaczego? - Zdziwiłam się, bo ostatnio rozmawiałam ze swoją siostrą kilka razy i zawsze wydawała się w dobrej formie.

- Nie powiedziała ci, że poszła z Vinniem na kolację?

- Co!?! - Nie mogłam w to uwierzyć.

- Nam też się nie przyznała, prawda, Joey?

- Uhm.

- Dowiedzieliśmy się od Ala, który jest bratem Franka, który jest przyjacielem Joeya. Spotkał ich z dziećmi w Applebee.

- Z dziećmi? - powtórzyłam. - No to może...

- Nic podobnego. Al mówił, że nadzieja malowała się na twarzy Mary Beth. A jego żona Amy twierdzi, że Vinnie flirtował z kelnerkami.

- Na oczach dzieci? - Ten palant śmiało mógł zrobić coś podobnego.

- Właśnie o tym mówię. On nie zmienił się ani trochę, prawda, Joey?

- Uhm.

Spojrzałam na swojego brata, który patrzył w skupieniu na drogę, na której o tej porze nocy prawie nie było ruchu. Zastanawiałam się, czy w ogóle słucha, o czym rozmawiamy.

- Ktoś powinien z nią porozmawiać - ciągnęła Sara. - Ciągłe powtarzam twojemu bratu, że powinien...

W tej chwili Joey prychnął z irytacją. A jednak słuchał, o czym rozmawiamy.

- To twoja siostra, Joe. Ja jestem tylko spowinowacona. Może tobie, Tracey, uda się dowiedzieć, co Mary Beth zamierza zrobić. Już się boję, że popełni to straszne głupstwo i do niego wróci.

- Ale on tego nie chce - powiedziałam.

- Nigdy nic nie wiadomo, Tracey. Kiedy z nią był, żyło mu się świetnie. Domowe obiady, wysprzątane mieszkanie, opieka nad dziećmi - wszystko zrobione. Kiedy ma się zaopiekować dziećmi, podrzuca je do swojej matki.

- Naprawdę? Skąd wiesz?

- Mały Vince mi powiedział.

- Mały Vince powiedział ci, że tatuś podrzuca jego i Nina do babci?

- Tak, chociaż innymi słowami - odpowiedziała Sara, do wtóru kolejnego prychnięcia Joeya. - Daruj sobie, Joey. Twój brat uważa, że zmyślam, ale nie

ma racji. Zresztą, sam słyszał, co Al i Amy mówili o Mary Beth i Vinniem w Applebee. Według Amy, Mary Beth promieniała, jakby była na randce.

Dobrze znałam ten wyraz twarzy Mary Beth. Zawsze w obecności Vinniego miała ten błysk w oku. Nawet kilka lat po ślubie. Nawet kiedy wiedziała, że ją zdradza.

W tym momencie w mojej wyobraźni pojawił się obraz Willa.

Ale między mną a Willem jest inaczej.

Całkiem inaczej.

Kilka tygodni temu wmówiłam sobie, że Will mnie zdradzał. Ale od tamtej chwili pracowałam dla Milosa kilka razy i jestem przekonana, że wtedy puściłam wodze fantazji. Wszyscy są dla mnie mili. Nawet Zoe. Nikt nie zachowuje się podejrzanie, jakby coś przede mną ukrywał. A tak by było, gdyby Will szalał z dziewczynami z „Jedź, pij, wychodź za męża”.

Will dzwoni co tydzień, a nawet zaplanowaliśmy moją wizytę u niego. Pod koniec lipca. Podobno chodzą plotki, że ma dostać główną rolę w musicalu Niedziela w parku z George'em. Powinnam być na premierze, jeśli to prawda.

Podczas każdej naszej rozmowy wokół Willa zawsze jest straszny rozgardiasz. Już się do tego przyzwyczaiłam. W takich miejscach zawsze ktoś kręci się obok, wszyscy mówią naraz i co chwilę ktoś inny chce skorzystać z telefonu. Nie ma szansy na intymne rozmowy. Zwykle opowiadamy sobie, co robiliśmy.

Will pracuje w teatrze od rana do nocy. Dostał już dwie mniejsze role - w Jesus Christ, Superstar był jednym z siepaczy Heroda, a w Skrzypku na dachu grał Lazę Wolfa, bogacza, za którego nie chce wyjść Cejtel, która kocha biednego krawca. Byłam zdziwiona, bo uważam, że Will jest materiałem na romantycznego bohatera. Ale może to tylko moja opinia.

- Jak się czują rodzice? - Musiałam oderwać się od myśli o Willu i rozmów o skomplikowanych relacjach między moją siostrą a jej byłym mężem.

- Nieźle - padła lakoniczna odpowiedź. Oczywiście Joeya.

- Twoja mama dostała receptę na mocniejsze okulary, a w zeszłym tygodniu twój tata był pewien, że dostanie wymówienie z fabryki, ale nic takiego się nie stało - zdała relację Sara. - Aha. Zamówili nową kanapę do salonu.

- Najwyższy czas! - Stała mi przed oczami zużyta kanapa z pomarańczowo-brązowym obiciem, która stała w salonie od niepamiętnych czasów. Pamiętam, że kiedy wróciłam raz chora z przedszkola, solidnie ją obrzygałam.

- Twój tata był przeciwny temu zakupowi, bo jak twierdzi, mogą go zwolnić w każdej chwili, ale mały Danny zabazgrał całą kanapę kolorowymi mazakami, które nie dają się sprać, więc nie mieli wyboru.

Mały Danny to mój bratanek - syn Danny'ego i Michaeli. Ma dopiero osiemnaście miesięcy i nie mogę się doczekać, żeby sprawdzić, jak bardzo zmienił się od Wielkanocy.

- Twoi rodzice będą szczęśliwi, kiedy zobaczą cię jutro na przyjęciu. Cieszę się, że postanowiłaś zrobić im niespodziankę.

- No. To dopiero będzie - potwierdziłam nieuważnie. Myślałam właśnie o swojej przyjaciółce Andrei. Szkoda, że akurat musiała wyjechać na ślub kuzyna do Rochester. Ustaliśmy przez telefon, że Andrea musi odwiedzić mnie w Nowym Jorku. Jakoś nie wierzę, że to się stanie. Ludzie z Brookside mają ten sam stosunek do Nowego Jorku, co nowojorczyki do całej reszty stanu. Wiecie: wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Byliśmy już w Brookside. Wszystko wyglądało jak zwykle - te same bary i niesławna restauracja Applebee, supermarket K-Mart, i na tym kończyła się nasza handlowa dzielnica.

- Szkoda, że nie możesz zatrzymać się u nas - powiedziała Sara, kiedy jechaliśmy w stronę domu Mary Beth, u której miałam nocować, żeby dopiero jutro pokazać się rodzicom.

Oni z Joeyem mieszkali od trzech lat nad warsztatem samochodowym ojca Sary.

- Kiedy wprowadzimy się do nowego domu, pokój gościnny będzie zawsze do twojej dyspozycji, Tracey - obiecała Sara solennie.

- Cudownie. - Próbowałam sobie wyobrazić, co czuje szczęśliwe małżeństwo, które ma dom z prawdziwym pokojem gościnnym. Chyba nigdy się tego nie dowiem. - Kiedy zamierzacie się przeprowadzić?

- Kończymy budowę w sierpniu, ale zostanie jeszcze mnóstwo pracy.

- Będzie dobrze, jeśli zdążymy przed Bożym Narodzeniem - mruknął Joey.

- Joey, nie kracz! - Sara pacnęła go w ramię.

- Mówię serio, Saro.

- Nie możemy czekać do Bożego Narodzenia.

Zaczęli się kłócić, więc się wyłączyłam. Patrzyłam przez okno na ciche uliczki mojego rodzinnego miasta. Minęliśmy kamienny gmach biblioteki i szkołę podstawową z czerwonej cegły. Krzywe chodniki nie zmieniły się od czasów, kiedy jako dziecko tutaj spadłam z roweru i trzeba było zszywać mi kolano. Ciekawe, czy naprawili już drogę? W Święto Dziękczynienia byłam tu

na spacerze i zauważyłam straszne wyboje - jeszcze po zimie. W Brookside śnieg leży od końca października do marca, ale służby miejskie nie zadają sobie wiele trudu, żeby cokolwiek zrobić.

Tak to jest w małym robotniczym mieście, które przeżyło likwidację wielu - zbyt wielu fabryk. Tato i Danny pracują w jednej z kilku czynnych, ale ciągle mówi się, że i ona będzie zamknięta, kiedy połknie ją któraś z wielkich korporacji, a cała produkcja przeniesie się do Meksyku albo do Azji. Mama twierdzi, że w najbardziej krytycznej sytuacji wyżywi ośmioosobowa rodzinę przez kilka tygodni dzięki zapasom w swojej spiżarni. Albo - jeśli krytyczna sytuacja nastąpi w dobrym momencie - dzięki produktom z jej warzywnego ogródka.

Pomyślałam o przyjęciach organizowanych przez Milosa - przyjęciach w najpiękniejszych domach, jakie zdarzyło mi się widzieć, z jedzeniem, które na pewno kosztuje więcej niż roczne wydatki mojej mamy w lokalnym sklepie spożywczym.

Do niedawna nie miałam pojęcia, jak smakuje szampan Dom Perignon ani kawior z białym. Spróbowałam już jednego i drugiego, i nie mogę powiedzieć, że rozumiem, dlaczego ludzie tak się nimi zachwycają.

Nie dotyczy to ludzi z Brookside. Cała moja rodzina żywi się makaronem i białym chlebem i pije najtańsze gazowane napoje z supermarketu. Nawet sobie nie wyobrażam, co moi rodzice zrobiliby z pieniędzmi, które klienci Milosa wydają na kwiaty na jedno przyjęcie.

Ale najśmieszniejsze jest to, że niektóre dawne potrawy, które moja mama robi w kilka minut, uchodzą teraz za haute cuisine*, włoski raj dla smakoszy.

* Haute cuisine (fr. dosłownie: wysoka kuchnia) - wytworne jedzenie dla smakoszy i znawców kuchni, przygotowywane w wyszukany sposób.

Sałatka z zielonego mlecza, zapiekane brokuły z czosnkiem, a nawet makaron z fasolą. Chłopska kuchnia, mówiła zawsze mama.

Podjechaliśmy pod niewielki segment, w którym mieszkała moja siostra. W domu świeciły się światła, a na podjeździe stał zielony samochód Vinniego.

- On tu jest! - powiedziałam z niedowierzaniem.

- Nie. Mary Beth używa jego auta, bo jej jest w warsztacie. Tłumik nawalił - pospieszyła z wyjaśnieniami Sara. - Miał być gotowy na dzisiaj, ale się nie wyrobili. Podobno skończą jutro rano.

- Co za ulga! - Nie miałam ochoty spotykać mojego eks-szwagra. - Nie do wiary, że pożyczył jej swoją ukochaną zabawkę.

- To dlatego, żeby nie wozić dzieci. Wiesz - mały Vince jeździ na treningi, obaj mają lekcje pływania i masę innych zajęć. Mary Beth bez przerwy gdzieś ich dowozi. Nie martw się o niego - jeździ teraz samochodem swojej matki.

We frontowym oknie mignęła twarz mojej siostry. Szybko ucisnęłam Sarę i wygramoliłam się z tylnego fotela. Joey uparł się, że zanieś mi torbę do domu.

- Próbowałam dzwonić do ciebie do pracy, ale miałaś włączoną pocztę głosową - powiedziała Mary Beth, prowadząc mnie do zarzuconego zabawkami pokoju.

- Firma, zamknęła się w południe z powodu długiego weekendu.

- To świetnie.

Jasne. Nie musiałam udawać, że jestem chora ani prosić Jake'a o pół dnia wolnego.

- Dlaczego dzwoniłaś? - zapytałam.

- Nie byłam pewna, czy ci powiedziałam, że na jutrzejszym przyjęciu obowiązują stroje wizytowe. Ale nie martw się, zawsze możesz włożyć coś mojego. - Zerknęła na mnie i wytrzeszczyła oczy. - Chyba nie możesz. Tracey! Schudłaś z tonę.

- No, nie przesadzaj. Niecałą tonę. Trochę mniej. Przynajmniej na razie.

- Ile?

- Prawie siedem kilogramów.

- Tylko nie przesadz - ostrzegła tonem naszej mamy. Spojrzałam na nią i zrobiło mi się jej żal. Miała na sobie luźny dres, który nie był w stanie zamaskować jej wystającego brzucha ani tęgich bioder.

- Na pewno nie przesadzę - zapewniłam ją. - Muszę zbić jeszcze co najmniej dziesięć kilo.

- Dziesięć? To za dużo.

- Mary Beth... - zaczęłam, ale nie dała sobie przerwać.

- Pięć wystarczy. Napijesz się czegoś? Mam napój brzoskwinowy.

Uuu. Czegoś takiego nie uświadczysz już w Nowym Jorku.

- Masz coś dietetycznego?

- Coś znajdę. Zjesz coś?

- Nie, dziękuję. Jadłam w autobusie - skłamałam. Nie chciałam, żeby zaczęła wpychać we mnie jedzenie. Ona i moja mama dostawały palpacji, kiedy opuszczało się jakiś posiłek.

Wyszła z pokoju, a mnie zrobiło się wstyd, bo zastanawiałam się, czy miałam kiedyś tak tłusty zadek jak ona teraz. Ale i tak ją kocham. Najbardziej ze wszystkich na świecie.

Ale jesteśmy całkiem inne. Przynajmniej ja zawsze tak uważałam.

Rozejrzałam się po banalnie umeblowanym pokoju. Uśmiechnęłam się na widok ostatnich zdjęć chłopców. Potem zobaczyłam, że ślubne zdjęcie Mary Beth i Vinniego stoi tam, gdzie zawsze, i przestałam się uśmiechać.

- Dlaczego jeszcze tego nie schowałaś? - Wskazałam palcem fotografię, kiedy Mary Beth pojawiła się w pokoju z dwoma dietetycznymi colami i miską ziemniaczanych czipsów.

- Czego? Ślubnego zdjęcia? A co by sobie pomyśleli chłopcy? Przecież to ja i ich tatuś.

- Chłopcy wiedzą, że się rozwiedliście.

Od jesieni. Byłam przy tym, kiedy im powiedziała. Mały Vince chyba zrozumiał, o czym mowa, ale niezbyt się przejął. Nino był za mały, żeby pojąć, w czym rzecz.

- Wiedzą, że się rozwiedliśmy, ale nie chcę, żeby myśleli, że nienawidzę ich taty.

- To chore. Po pierwsze - nienawidzisz go. Sama mówiłaś - dodałam, widząc dziwny wyraz jej twarzy.

- Zdradzał mnie, kiedy byłam w ciąży. Dowiedziałam się, że był z inną kobietą, kiedy rodziłam Nina. Jak mam go nie nienawidzić?

- W takim razie pozbądź się tej fotografii - nalegałam, zdejmując ją z półki.

- Teraz?

- Natychmiast. - Wręczyłam jej ramkę. - Wyrzuć to.

- Ale tę ramkę dałaś nam w prezencie ślubnym.

To prawda. Ramka była z czystego srebra. Kazałam wygrawerować na niej datę ich ślubu. W tamtych czasach był to raczej ekstrawagancki prezent. Kiedy moja mama zobaczyła, że jest ze srebra, powiedziała, że powinnam kupić mosiężną, bo srebro czernieje.

Ale ta nie szerniała. Pewnie Mary Beth regularnie ją czyści. Zrobiło mi się niedobrze na samą myśl o tym.

- Wyrzuć ją.

- Ale to takie...

- W takim razie ja to zrobię. - Pomaszerowałam do kuchni i nacisnęłam pedał plastikowego pojemnika na śmieci. Pokrywa odskoczyła, a ja cisnęłam

ramkę wraz ze zdjęciem do wiadra. Wylądowała na niedojedzonej porcji czyjegoś spaghetti przemieszanego z fusami po kawie.

- Gotowe. Czujesz się choć trochę lepiej? - zapytałam, kiedy wróciłyśmy do pokoju.

- Tak mi się wydaje.

Ale to nie było prawdą. Mary Beth nie mogła sobie darować tego, co się stało. Chciała, żeby ramka wróciła na stare miejsce. Chciała, żeby Vinnie wrócił na swoje stare miejsce.

- Czy to są beztłuszczowe chipsy? - Porwałam jeden i wrzuciłam go sobie do ust.

- Nie. Normalne.

- O! - Trudno. Zjadłam jednego tłustego chipsa. Wzięłam puszkę z colą i usiadłam po przeciwnej stronie kanapy. - Jak chłopcy?

- Jutro o świcie zobaczysz sama. Naprawdę o świcie. Wiem, co mówię. Byli strasznie przejęci, że u nas nocujesz.

Natychmiast zapytali, czy zostaniesz na cały weekend, ale powiedziałam, że pewnie jutro pojedziesz spać do babci i dziadzia.

- Pewnie tak - westchnęłam. Byliby urażeni, gdybym tego nie zrobiła.

Tylko... Dobrze wiem, że mama w krótkim czasie potrafi doprowadzić mnie do szału. Stale wzbudza we mnie poczucie winy z powodu wyjazdu. I cały czas udaje, że ja wrócę. Zawsze jest tak samo.

- Słyszałam, że rodzice pozbyli się starej kanapy i kupili nową.

- Straszna.

- Wiem. Pamiętasz, jak ją kiedyś zarzygałam? Nie ja jedna zresztą.

- Czekaj. Ja mówię o nowej. Obicie z tkaniny boucle. Brązowej w beżowy wzorek. Do tego sztywne poduchy. Koszmar. Byłam z mamą, kiedy ją wybrała.

- Naprawdę? - zaczęłam się śmiać. - Kolory ziemi - to jakaś nowa moda.

Mary Beth też się śmiała. Chichocząc, robiłyśmy sobie żarty z innych mebli naszych rodziców. Potem przyszła kolej na nich samych. Wiem, że brzmi to strasznie, ale przecież nie wyśmiewałyśmy się z nich złośliwie, tylko z miłości.

Poczułam wtedy, jak bardzo tęsknię za Mary Beth.

A kiedy zaproponowała, żebym spała z nią, zamiast na kanapie w salonie, od razu skorzystałam z zaproszenia. Potem leżałam obok, słuchałam jej równego oddechu. Było mi dobrze, bo wiedziałam, że moja siostra kocha mnie i akceptuje bez zastrzeżeń.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Podobnie jak moi rodzice.

Oni też kochają mnie bez zastrzeżeń.

Bo kiedy następnego dnia pojawiłam się na ich przyjęciu, pierwszą rzeczą, jaką powiedziała moja mama - pierwszą po serii okrzyków, uścisków i znowu okrzyków oraz po tym, jak wyszła z szoku spowodowanego moim widokiem - było:

- Skąd masz tę sukienkę? Powinnaś częściej tak się ubierać. Wyglądasz prześlicznie.

Sukienka pochodziła z najdalszego kąta szafy Mary Beth - miała z dziesięć lat i była o co najmniej cztery numery mniejsza od jej teraźniejszej garderoby. Chyba bym umarła, gdybym miała pokazać się w czymś takim na wschód od rzeki Hudson. Nie dość, że kiecka była niemodna, to jeszcze do tego różowa! I bez rękawów. Wystarczyło jednak popatrzeć na moją mamę w źle dopasowanej turkusowej kreacji ze złotym łańcuchem w pasie... Cóż, królową elegancji to ona nie jest. Nawet w Brookside.

Tato z kolei powtarzał raz po raz, że oto w końcu pojawiłam się w domu. Mówił to w kolejce do bufetu, mówił to mamie podczas toastu oraz mnie, kiedy tańczyliśmy do starej piosenki Franka Sinatry.

Powtórzył to tyle razy i tylu krewnym, przyjaciołom i sąsiadom, że z pewnością wszyscy uznali, że nie byłam w domu, odkąd rok temu wyjechałam do Nowego Jorku. I tak z powodu wyjazdu ludzie wciąż o mnie gadają. Teraz będę na ustach wszystkich nie tylko dlatego, że opuściłam rodzinne miasto, ale dlatego, że okazałam się marnotrawną córką.

Przyjęcie odbywało się w sali parafialnej naszego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Przychodziłam tutaj na religię, kiedy byłam małą. Tu odbywały się potańcówki Klubu Młodych Katolików. Tu zorganizowaliśmy weselne przyjęcie dla Mary Beth i Vinniego. To zabawne - bywałam tu setki albo i tysiące razy, a teraz, zupełnie niespodziewanie, poczułam się tu całkowicie obco.

Nie wiem, jakim cudem nigdy dotąd nie zauważyłam, że w sali śmierdzi dymem papierosowym, pozostałym po bywalcach sobotniego bingo, ani że linoleum na podłodze jest porysowane, a szare metalowe krzesła i długie stoły pokryte papierowymi obrusami w weselny deseń są takie... tandetne.

Podobnie zresztą jak bufet, gdzie na aluminiowych tackach wystawiono zapiekany makaron, kielbasę duszoną z papryką i miski bladawej sałaty lodowej z żółtawymi pomidorami polanej gotowym sosem Siedem Mórz.

O dekoracjach wolałabym nie wspominać - belki pod sufitem udrapowane były kolorową krepiną, a na koszach do koszykówki dyndały weselne, ażurowe dzwonki. Nie wiedziałam nawet, że są tutaj kosze do koszykówki! Na stołach ustawiono kubeczki z karbowanego papieru napełnione pseudomigdałkami w kolorowym cukrze, których nikt rozsądny nie zdołałby przełknąć.

Jednak szczytem szczytów był tutejszy didżej - Chez, młodszy brat naszego proboszcza, w rudawym poliestrowym garniturku, traktowanym bynajmniej nie jako przebranie w stylu retro, ale poważny strój wyjściowy. Chez zdażył już trzy razy puścić „Celebration”, za każdym razem do wtóru owacji zebranych, którzy natychmiast tłumnie stawiali się na parkiecie.

Porównałam tę imprezę z nowojorskimi przyjęciami Milosa i zrobiło mi się żal moich rodziców i rodzeństwa. Nikt z nich nie miał pojęcia, jak bardzo żalosne jest to wszystko. Odwrotnie - świetnie się bawili, tańczyli, jedli i konwersowali.

Nie zrozumcie mnie źle - ja też się bawiłam. Ale miałam poczucie, że to już nie jest mój świat. Nie, nie tak... Że nie chcę, żeby to był mój świat.

Wyobraziłam sobie, co by było, gdybyśmy zaręczyli się z Willem i moja rodzina zaczęłaby planować nasz ślub. Byliby wstrząśnięci, słysząc, że zamierzamy pobrać się w Nowym Jorku. Bo przecież ślub musi odbyć się w rodzinnym mieście panny młodej! Nie dadzą grosza na wesele, o ile nie urządzimy go w Brookside.

Oto następny powód, dla którego wkładam pieniądze do puszek po herbatnikach. W tej chwili zresztą mogłabym już zanieść je do banku - prawie pięćset dolarów zarobionych u Milosa to całkiem przyzwoita suma.

Will i ja musimy zacząć oszczędzać, o ile chcemy wziąć ślub w Nowym Jorku. Bo jeśli nie - znajdziemy się tu, w salce parafialnej kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, tańcząc kaczuszki, które dzisiaj Chez zaserwował gościom nie jeden, a dwa razy.

Siedząc na składanym krześle, z białym winem w styropianowym kubeczku, obserwowałam, jak moi siostrzeńcy - mały Vince i Nino - machają łokciami na środku parkietu. Udawali kaczki z takim zapałem, że aż upadli na podłogę, chichocząc bez opamiętania. Przyszło mi do głowy, że może kaczuszki nie są takie najgorsze, co? Ale w żaden sposób nie umiałam wyobrazić sobie Willa, który tańczyłby coś takiego.

Will nie pasował do tego miejsca.

I trudno...

Dałabym się teraz zabić za papierosa. W tym tłumie palących bez kłopotu wycygałabym dla siebie jednego lub więcej. Rzecz w tym, że nigdy nie palę przy rodzicach. Podejrzewam, że kiedy będę miała pięćdziesiąt lat, a oni dojdą do osiemdziesiątki, wciąż będę pociągać w tajemnicy przed nimi.

Z głośników leciała teraz tarantela - ulubiony przebój tego towarzystwa. Ten stary, włoski taniec ludowy wymaga ciągłego klaskania, podskoków i podawania sobie rąk.

- Cześć, Tracey - ktoś przysiadł się do mnie.

Uniosłam głowę i zobaczyłam Bruce'a Cardolina. Nasi rodzice byli przyjaciółmi od wieków. Właściwie to ojciec Bruce'a był przyjacielem mojego taty, a jego mama przyjaźniła się z moją. To oni umówili kiedyś moich rodziców na randkę w ciemno i tak to się zaczęło.

Bruce miał na sobie szare biodrowki - nie normalne spodnie, ale obcisłe biodrowki - czarną, jedwabną koszulę rozpiętą pod szyją i złoty krzyżyk na odsłoniętej, owłosionej piersi. Słowem - wyglądał, jakby urwał się z jakiegoś telewizyjnego sitcomu o Włochach w Ameryce.

- Cześć, Bruce. Jak leci?

Zawsze bardzo lubiłam Bruce'a. Kilka razy zaprosiłam go nawet do Klubu Młodych Katoików na tańce. Mieliśmy wtedy po kilkanaście lat, a ja nie miałam prawdziwego chłopaka. Nigdy się nie całowaliśmy ani nic w tym guście - byliśmy tylko kolegami. Uważałam zawsze, że jest przystojny, i gdyby nie to, że zawsze miał jakąś dziewczynę oraz nigdy nie wyrażał ochoty na randki ze mną, zakochałabym się w nim bez pamięci.

Nadal był przystojny, w specyficznym włoskim stylu. Czarne włosy szesane gładko do tyłu, wysoki, dobrze zbudowany. Nie widziałam go przez kilka lat - wyjechał do college'u w Rochester, ale słyszałam, że niedawno wrócił i podjął pracę w przedsiębiorstwie ojca.

Pan Cardolino zajmuje się hydrauliką i centralnym ogrzewaniem. Według mojego ojca zrobił fortunę, i sędzę, że tak jest - według standardów Brookside, oczywiście. Zawsze jeździł czarnym buickiem, jego żona miała futro, a cała rodzina była obwieszona złotem. Łącznie z roczną siostrzenicą Bruce'a, która w tej chwili podrygiwała w rytm kaczuszek razem z moimi siostrzeńcami.

- Ciągłe mieszkasz w Nowym Jorku? - zapytał. I widząc, że kiwam głową, dodał. - I jak tam jest?

- Świetnie. - Nie miałam zamiaru się rozwodzić. W Brookside już tak jest, że wcześniej czy później o wszystkim, co powiem, dowiadują się moi rodzice. Cały czas muszę być bardzo czujna.

- Widziałaś kiedyś Donalda Trumpa?

- Nie, nigdy.

- A ludzi z Today Show? Widziałaś ich?

- Nie, nigdy.

- Nigdy nie poszłaś do studia, w którym nagrywają ten program, żeby pomachać do kamery?

- Nie.

- Hm. Moja dziewczyna ciągle powtarza, że chciałyby się tam znaleźć. Wymyśliła sobie, że jeśli się pobierzemy, mam zabrać ją na miesiąc miodowy do Nowego Jorku, a wtedy ona weźmie do telewizji transparent z informacją, że właśnie się pobraliśmy.

Prychnął w stylu „wyobrażasz to sobie!”.

- Kto jest twoją dziewczyną, Bruce? Znam ją?

- Angie Nardone. Znasz ją.

- Angie Nardone! Tak, była ode mnie kilka lat młodsza, ale należałyśmy do jednego klubu.

- Tak. Ma dopiero dziewiętnaście lat. Wydaje mi się, że jest za młoda, żeby tak ciągle gadać o małżeństwie.

- Tak. Dziewiętnastka to jeszcze szczaw.

- Wciąż jej powtarzam, że jeśli wytrzymamy ze sobą rok, pogadamy. Będzie wtedy starsza.

- Tak - odpowiedziałam z kamienną twarzą. - Będzie wtedy miała całe dwadzieścia lat.

- No. Zawsze to więcej niż dziewiętnaście. Wiesz, moi rodzice mieli po dziewiętnaście lat, kiedy się pobierali, ale myślę, że wtedy były inne czasy.

- To prawda, ale twoja siostra też wyszła z mężem zaraz po maturze, i wszystko wskazuje na to, że są z Joeyem bardzo szczęśliwi. - Oczywiście nie mówiłam o swoim bracie Joeyu, w Brookside jest mnóstwo Joeyów, z których większość była w tej chwili na przyjęciu z okazji rocznicy ślubu moich rodziców.

Tanya, siostra Bruce'a, i Joey mają już chyba piątkę dzieci, ale ona jest znowu w ciąży, co zauważyłam, kiedy przytuleni tańczyli z Joeyem wszystkie wolne kawałki puszczane przez Cheza.

- No tak. - Bruce nachylił się do mnie. - Ale z nią to co innego. Przecież ona musiała wyjść za męża, pamiętasz?

Kompletnie o tym zapomniałam. W Brookside tak już jest. Samotna katoliczka w ciąży nie ma innej możliwości tylko wyjść za męż.

- A co tam robisz? - zapytał Bruce. - W Nowym Jorku?

- Pracuję dla agencji reklamowej.

- I co tam robisz?

Za nic nie przyznam się do swojego zajęcia, które rozpoczyna się na Jiterę S. Nie przed Bruce'em, który wydaje się olśniony faktem, że mieszkam na Manhattanie.

- Różne rzeczy - zaczęłam ostrożnie. - Teraz wymyślam nazwę dla nowego produktu.

- Nie opowiadaj! Jakiego?

- Nowego dezodorantu, który działa przez cały tydzień.

- To super. I co wymyśliłaś?

- Najbardziej podoba mi się „Konsekwencja”, ale nie wiem, czy to przejdzie. Wciąż nad tym pracuję.

- Wiesz co? Też nad tym pomyślę i dam ci znać, co mi wyszło, dobra? Podoba mi się to. Może ci pomogę?

- Dzięki... - Chciałam powiedzieć, żeby dał sobie spokój, ale nie wiedziałam, jak to zrobić, żeby było grzecznie. W końcu wybałam tylko: - Miło z twojej strony.

Bruce skwapliwie zapisał sobie mój adres na kawałku serwetki, którą wsadził do kieszonki na piersi. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, ale już tylko o hydraulice i centralnym ogrzewaniu oraz o dawnych znajomych.

Kiedy Chez puścił znowu „Celebration”, Bruce skoczył na równe nogi, ryknął: uuu! i zapytał, czy z nim zatańczę. Odmówiłam.

- No chodź. Angie nic nie powie. Jest dzisiaj w pracy. Mówiłem ci już, że pracuje w stacji krwiodawstwa w naszym szpitalu?

- Nie, nie sędzę, żebyś o tym wspomniał.

- Chodź. Zatańczymy.

- Dziękuję, ale nie. Muszę znaleźć moich siostrzeńców i sprawdzić, czy już zjedli ciasto. - Wstałam i udałam się na poszukiwanie Vince'a i Nina, a Bruce dołączył do tłumu rozentuzjasmowanych wielbicieli „Celebration”.

Znalazłam chłopców pod stołem. Usypywali kopczyki z lukrowanych migdałów, które ściągali ze stołów.

- Co robicie, chłopaki? - Zerknęłam na dół.

- Budujemy kamieniołom - odpowiedział mały Vince z pełną powagą.

Nino pokiwał głową i zademonstrował mi mały spychacz, który miał w kieszeni spodenek.

- Budujemy kamieniołom.

- Super. Mogę się z wami pobawić?

Pisnęli ze szczęścia. Budowaliśmy kamieniołom przez chwilę, potem próbowałam dać im po kawałku tortu. Po zlizaniu ostatniego śladu cukrowej polewy oddali mi ciasto z informacją, że już skończyli.

Skutecznie zwalczyłam w sobie chęć dokończenia obu kawałków tortu, ale ponieważ nie wydawały mi się niskokaloryczne, wyrzuciłam je do kosza. Wycierałam chłopakom buzie, kiedy Nino wyrwał mi się, krzycząc:

- Jobacz! Tam jest mój tatuś!

I rzeczywiście. Vinnie z Mary Beth w objęciach kołysał się w rytm „Always and Forever”.

- Co tu robi tatuś? - zapytał mały Vince.

- Sama się nad tym zastanawiam - mruknęłam do siebie. Chłopcy pobiegli, by przywitać się ze swoim tatusiem, a ja pomaszerowałam do Sary i Joeya.

- Widzieliście, kto przyszedł?

- Nikt go nie zaprosił, uwierz nam - powiedziała Sara. - Oznajmił, że przywiózł tylko samochód Mary Beth i chce odebrać swój.

- Właśnie to robi - syknęłam, patrząc, jak Vinnie stawia sobie chichoczącego Nina na ramionach i odwraca się z nim w stronę Vince'a. Mary Beth obserwowała ich rozpromienionym wzrokiem.

- Chyba podszedł z życzeniami do rodziców i ktoś go zaprosił - powiedział Joey.

Mam nadzieję, że tym kimś nie była Mary Beth. Przykro jest widzieć własną siostrę, która nie może zdobyć się na kategoriyczny gest wobec jakiegoś faceta. Tak. Wiem. To ojciec jej dzieci. Ale czy ona nie widzi, że Vinnie ją wykorzystuje?

- Nie rozumiem - zaczęła Sara - dlaczego on to robi? Podobno ma jakąś kobietę - może nawet niejedną. Powiedział Mary Beth, że już jej nie kocha. No to dlaczego trzyma ją przy sobie?

- Bo karmi swoje ego jej bezgranicznym podziwem. Nakreca się, widząc, że ona patrzy w niego jak w obrazek. I wie, że bez względu na to, co zrobi, ona będzie przy nim. - Wzruszyłam ramionami. - Jeśli stanie mi na drodze, wyrzucę go stąd. Zrobię mu awanturę.

Ale Vinnie nie stanął mi na drodze. Wyszedł.

Po jego wyjściu z Mary Beth uszło całe powietrze.

Bardzo chciałam przemówić jej do rozsądku, ale nie było okazji. Musieliśmy pozować do tyłu rodzinnych fotografii, że chyba nie starczy albumów, żeby je wszystkie pomieścić, pakować ciasta do pudełek z inicjałami rodziców i datą ich ślubu, a potem rozdawać je wszystkim wychodzącym gościom.

Kiedy zostaliśmy już sami, okazało się, że Nino, któremu chyba zjedzone góry lukru zaczęły roztopiać się właśnie w brzuchu, leży na ziemi i z wrzaskiem kopie podłogę. Mój brat Frankie musiał pomóc Mary Beth zanieść jego i małego Vince'a do samochodu.

Ja wróciłam do domu z rodzicami, którzy wpadli w histerię, że łóżko dla mnie jest nieprzygotowane, bo nikt nie powiedział im, że przyjeżdżam.

- Mamuś, nie ma się czym przejmować - uspokajałam ją, kiedy szalała po pokoju, zaciągając rolety i wpychając rzeczy do szafy.

Okazało się, że pod moją nieobecność pokój zamienił się w przechowalnię przedmiotów, na które nie ma miejsca gdzie indziej. Były tam stare swetry, wycinki czasopism, stosy poczty, zabawki, którymi wnuki bawiły się podczas wizyt u dziadków.

Wmawiałam sobie, że to normalne - przecież dom należy do nich, a ja już tu nie mieszkam - a jednak czułam się urażona.

Czyżbym wyobrażała sobie, że zamienią mój pokój w nietykalne sanktuarium?

Niestety, chyba to właśnie sobie wyobrażałam.

- Na jak długo przyjechałaś? - Mama wyjęła spłowiała i wytartą pościel w kwiaty z górnej szuflady mojej komody, w której ja przechowywałam kiedyś białe, bawełniane majtki, swoje pancerne staniki, drobne oszczędności oraz, głęboko z tyłu, papierosy i zaczytany egzemplarz powieści zatytułowanej Gorąca kobieta.

- Zostaję do poniedziałku.

- Do poniedziałku! - Przerwała wygładzanie antycznego prześcieradła i zamarła w dramatycznej pozie. - Ale to już pojutrze.

- Wiem. We wtorek idę do pracy.

- Mogłaś przecież wziąć kilka dni urlopu. Pokręciłam głową i zaczęłam rozkładać prześcieradło.

- Jeszcze nie zarobiłam na wakacje. Zrobiła przerażoną minę.

- A co trzeba robić, żeby zarobić na wakacje? - zapytała.

- Nic, mamu. Trzeba przepracować sześć miesięcy. A ja pracuję tam krócej.

Założyłam gumkę prześcieradła za róg materaca. Przeciwnie guma zsunęła się z trzaskiem.

- Czy oni tam wiedzą, że twoja rodzina oddalona jest od ciebie o osiemset kilometrów? - Jeszcze raz zahaczyła gumkę za róg.

Teraz puścił narożnik po mojej stronie.

- Mamo, taka jest polityka firmy.

- Powiedz mi, co to za firma?

- Przecież wiesz, że to agencja...

- Nie. Pytam, co to za firma więzi młode kobiety z dala od rodzin?

Miałam dosyć. Jej i tego cholernego prześcieradła. Ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, zaczęła nowy wątek.

- I co to za mężczyzna, który porzuca kobietę na kilka miesięcy tylko po to, żeby śpiewać i tańczyć gdzieś na scenie?

No to się zaczęło.

Mama nigdy nie lubiła Willa. Nikt w mojej rodzinie go nie lubił. Wszystko przemawiało przeciw niemu:

1. Nie pochodził z Brookside.
2. Nie został w Brookside, kiedy już tu przyjechał.
3. Wyglądał, zachowywał się i mówił inaczej niż wszyscy w Brookside.
4. Zabrał mnie z Brookside. Przynajmniej tak sądziła moja rodzina. Według nich, sama nigdy bym tego nie zrobiła.

- Mamo, Will jest aktorem. Aktorzy wyjeżdżają na letnie występy. Jego wyjazd nie zmieni niczego w naszych stosunkach.

Zamilkła. Porzuciła próby naciągnięcia prześcieradła, ale nie przerywała ścielenia. Obserwowałam jej zaciśnięte w uporze szczęki - to nie wróżyło dobrze.

Poza szczękami wszystko wokół niej było zaokrąglone. Natapirowana fryzura. Duże czarne oczy z tej specjalnej okazji zbyt mocno podkreślone ołówkiem oraz tuszem do rzęs. Policzki z kolistymi plackami różu. Ramiona, pupa, całe ciało - wszystko dałoby się zamknąć w elipsach. Przypomniałam sobie zdjęcia z jej młodości - zawsze była pulchna, ale ładna. Czy ja też będę kiedyś tak wyglądać?

Jak będę wyglądać w średnim wieku? W wyobraźni zobaczyłam siebie - podobną do niej żonę Willa. Nie, tak nie będzie.

Przecież Will jako mężczyzna w średnim wieku będzie kimś pomiędzy Harrisonem Fordem i Michaelem Douglasem. Mężczyzna, który tak wygląda, nie może mieć żony, która tak wygląda.

O nie, lepiej nie wyobrażać sobie niczego podobnego. Potrząsnęłam głową i wróciłam do przerwane go wątku.

- Mamo, skąd wiesz, że Will wyjechał? Nie mówiłam ci o tym. Oczywiście, że nie. Wiedziałam, że tak zareaguje.
- Mary Beth mi powiedziała. Martwi się o ciebie.
- Niech lepiej Mary Beth martwi się o siebie. Ma dość kłopotów z Yinniem, który nie chce się od niej odczepić.
- Oni mają dwoje dzieci, Tracey. Wzięli ślub kościelny.
- Ale to wcale nie oznacza, że Mary Beth ma przyjąć go z powrotem! Mama nie odpowiedziała. Wyciągnęła z półki gruby, wełniany koc i zaczęła rozkładać go na łóżku.
- Mamo! Jest lipiec - powstrzymałam ją. - Ugotuję się pod tym.
- Noce są chłodne.
- Ale nie ma mrozu. - Zaczęłam składać koc. Wzruszyła ramionami, jakby chciała pokazać mi, że jeśli zamarznię na śmierć, będzie to tylko moja wina.
- To nie jest odpowiedni mężczyzna dla ciebie, Tracey.
- Masz na myśli Willa? - Westchnęłam. - Skąd to wiesz, mamo? Prawie go nie znasz.
- Wiem dość. To niedobry człowiek. Nie będziesz z nim szczęśliwa.
- Mary Beth nie jest szczęśliwa z Vinniem. Dlaczego ma z nim zostać?
- Bo wzięła ślub i ma dzieci. - Oto wystarczający powód dla mojej mamy, zagorzałej katoliczki. - Tracey, nie rób błędu, który zrobiła twoja siostra. Wyjdź za mężczyznę, który cię kocha.
- Taki mam plan, mamo.
- Zbliżyła się do mnie i powiedziała niemal szeptem.
- Wyjdź za mężczyznę, który kocha cię bardziej, niż ty sama chcesz. Który kocha cię bardziej niż ty jego. Taki ktoś będzie cię zawsze traktować jak królową. A ty też nauczysz się go kochać.
- A cóż to za dziwna rada? No, no, no. Kiedy na nią spojrzałam, zrozumiałam, że opowiada o własnych doświadczeniach.
- To znaczy... To znaczy, że nie kochałaś taty, kiedy za niego wychodziłaś?
- Kochałam go. Oczywiście, że go kochałam. Ale nie szalałam za nim, tak jak marzyłam kiedyś w młodości. To on szalał za mną. Myślę, że małżeństwo ze mną to najlepsza rzecz, jaka spotkała go w życiu. Nie mogłam zrobić mu krzywdy.
- Dalej nie możesz.
- Teraz rozumiesz - uśmiechnęła się i dotknęła mnie palcem.
- Nie rozumiałam. Ale niech myśli, że zastanowię się nad tym, co mi powiedziała.

Reszta wizyty przeleciała tak szybko, że ani się spostrzegłam. W niedzielę rano poszliśmy do kościoła, w południe byliśmy zaproszeni na spaghetti do dziadków, mimo że było prawie czterdzieści stopni i taka wilgotność, że wszystkim włosy kleiły się do głowy i pot lał po twarzach. Niezbyt miły widok. Sytuacja miała jedną zaletę - było za gorąco, żeby jeść. Tym samym wbrew wcześniejszym obawom udało mi się przestrzegać diety, co mogłoby podczas tego weekendu nie być takie proste.

Wieczorem pojechaliśmy obejrzeć nowy dom Joeya i Sary, a potem wstąpiliśmy na kawę i domowe ciasteczka do mojej ciotki Mary. Całą rodziną. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że w Brookside wszyscy podróżują stadami.

Do momentu, kiedy w poniedziałek późnym popołudniem znalazłam się w autobusie, nie miałam ani chwili dla siebie. Był wilgotny, szary dzień - od lat nie pamiętam tak ohydneho Dnia Niepodległości. Z tego powodu perspektywa spędzenia wielu godzin w podróży powinna być łatwiejsza do zniesienia, ale jakoś nie była. Zwłaszcza kiedy okazało się, że jadę zatłoczonym, lokalnym autobusem, który zatrzymuje się w każdym, zapomnianym przez Boga i ludzi, przemysłowym miasteczku naszego stanu. Droga powrotna miała mi zająć pełne dwanaście godzin.

Utica, Rome... wszystkie te dziury wyglądały jednakowo. Nie było nawet na co patrzeć. Nie warto było wysiadać - chyba że na papierosa. No to wysiadałam, aż do chwili, kiedy postanowiłam oszczędzać resztkę pozostałych zapasów. Podczas dłuższego postoju w Albany zorientowałam się, że jestem nie więcej niż godzinę drogi od Willa. Gdybym teraz się przesiadła, dotarłabym do North Mannfield wcześniej niż reszta pasażerów jadących do Nowego Jorku.

Tylko że nie mogłam tego zrobić.

Nie mogłam tak po prostu stanąć na progu - o ile aktorskie bursy mają progi? - i zażądać spotkania. A więc zamiast tego wypaliłam przed-przedostatniego papierosa, a potem przedostatniego i kiedy kierowca ogłosił, że odjeżdżamy, wróciłam na miejsce.

Gdzieś w okolicach Poughkeepsie skończyłam czytać Toma Jonesa Fieldinga, którego zaczęłam dopiero dwa tygodnie temu i który nieoczekiwanie okazał się bardzo zabawny. Przerzuciłam się na Moby Dicka - żadnych innych lektur nie miałam. Kupując Moby Dicka jakiś czas temu, przyrzekłam sobie, że jeśli go zmożę, wolno mi będzie zajrzeć do nowej Danielle Steel. Trzeba, żeby mózg trochę odpoczął, prawda?

Ale byłam wdzięczna, kiedy niedługo potem okazało się, że jest za ciemno na czytanie, a lampki w autobusie i tak nie działają. Odłożyłam książkę i bardzo zadowolona wyglądałam przez okno.

Tym razem w autobusie nie było wielu meneli. Studenci, starsze panie, kilka matek z dziećmi, ja - wszyscy wracaliśmy do miasta.

Im bliżej Manhattanu, tym ruch robił się coraz większy. Tuż przed mostem George'a Washingtona utknęliśmy w regularnym korku. Na samym moście prawie w ogóle przestaliśmy się posuwać.

Poczułam się jak w pułapce.

W autobusie robi się coraz goręcej. Kierowca ogłasza, że są kłopoty z klimatyzacją i prawie ją wyłącza, żeby nie zatrzcć silnika. Pot spływa mi po głowie. Starszy człowiek obok mnie chrapie. Jakieś dziecko za mną rytmicznie kopie oparcie mojego fotela. Gdzieś na tylnych siedzeniach grupa nastolatków puszcza na cały głos rap. Serce zaczyna mi bić coraz szybciej. Boże, gdybym tylko mogła zapalić! Ale w autobusie nie wolno palić.

Natychmiast muszę zacząć myśleć o czymś innym. O czym?

O Willu!

Wyobrażam sobie, że prawdopodobnie miał fantastyczny Dzień Niepodległości - na plaży nad jeziorem, pod gwiazdami, z nowymi przyjaciółmi.

Autobus jedzie mostem po najbardziej zewnętrznym pasie. Słyszę jakiś wybuch. Wydaję z siebie histeryczny wrzask. Mężczyzna obok budzi się i coś bełkocze. Dziecko z tyłu zaczyna piszczeć.

- To tylko sztuczne ognie - uspokaja je matka.

Wyglądam przez okno. Ma rację. Nad całym Manhattanem strzelają w górę fajerwerki.

A ja kulę się w sobie przy każdym wybuchu. Nie wiem, czy to tylko moja wyobraźnia, czy most naprawdę trzęsie się, kiedy na niebie rozbłyскуje nowy snop iskier.

W pierwszym momencie myślałam, że gdzieś wybuchła bomba. Teraz, kiedy już wiem, że to tylko fajerwerki, zaczynam zastanawiać się, co by się stało, gdyby to naprawdę była bomba. Dziennikarze nie od dzisiaj mówią, że wcześniej czy później bliskowschodni terroryści zaatakują Nowy Jork. Trudno o lepszy cel niż most Washingtona. Trudno o lepszą datę niż Dzień Niepodległości.

Autobus stoi tuż przy barierze mostu. Stoi! Gdyby teraz wybuchła bomba, przelecielibyśmy przez barierę prosto do rzeki. Utonęlibyśmy. Umarlibyśmy.

Na plecach czuję strugi zimnego potu. Mam kłopot z przełykaniem. Im więcej o tym myślę, tym jest gorzej. Zapomniałam, jak się oddycha.

O, Boże! Mam zaciśnięte gardło, nie mogę złapać oddechu i jestem w pułapce. I zaraz umrę.

Pilnuję się, żeby nie patrzeć w okno. Bo jeśli znowu zobaczę barierki i rzekę, nie ręcę za siebie.

Autobus przesuwa się o kilka metrów do przodu. Czuję, jak huśta się na krawędzi mostu.

Rozglądam się po autobusie. Czy ktoś z pasażerów widzi, że jesteśmy w szalenie ryzykownym położeniu? Ale nikt nie wydaje się tym poruszony.

Ale na oko ja też nie jestem specjalnie przejęta. Trudno oczekiwać, że rzucę się na podłogę między siedzeniami jak mój siostrzeniec Nino.

Autobus ruszył. Metr do przodu. Mija godzina za godziną.

Tuż nad moją głową błysk, dym i hałas - pokaz ogni sztucznych osiąga swe apogeum.

Trzymam ręce na kolanach. Są splecione tak ciasno, że paznokcie wbijają się w skórę do krwi.

W końcu, szczęśliwie, przekraczamy most. Autobus powoli toruje sobie drogę przez zatłoczone ulice, a ja próbuję się uspokoić. Na dworcu serce bije mi już w niemal normalnym rytmie.

Miałam zamiar wrócić do domu metrem, ale wpadam w popłoch na samą myśl o tym, że znajdę się pod ziemią. Potrzebuję powietrza. Muszę zapalić.

Odważnie wychodzę z zapuszczonego, ale klimatyzowanego dworca w śmierzdzącą i parną nowojorską noc. Drżącymi rękami wyciągam z paczki ostatniego papierosa, zapalam i zaciągam się głęboko.

Co za ulga! Nareszcie czuję się dużo lepiej.

W kiosku kupuję nową paczkę papierosów i ignorując ciężką torbę, ruszam przed siebie. Nie mam pojęcia, co działo się ze mną w autobusie.

Im dłużej o tym myślałam, tym mniej to rozumiałam. Było to tak, jakby cały zdrowy rozsądek wyparował mi wtedy z głowy. Jakbym straciła umiejętność logicznego myślenia. Rozglądając się za taksówką, szłam powoli w stronę East Village. Za nic nie wsiadłabym teraz do autobusu. Ani do metra.

Taksówkę udało mi się złapać dopiero na rogu Dwudziestej Dziewiątej i Park Avenue. Pięć minut później uboższa o pięć dolarów dotarłam do domu.

Na sekretarce migało czerwone światełko. Może to Will? Włączyłam przycisk. Nie, to nie Will To Buckley.

- „Cześć, Tracey Ponieważ nie zadzwoniłaś do mnie, uznałem, że ja zadzwonię do ciebie. Joseph dał mi numer Raphaela, a on dał mi twój. Mam nadzieję, że nie jesteś o to zła Skończyłem już robotę w twoim biurówcu i dlatego ostatnio nie wpadamy już nieoczekiwanie na siebie Pomyślałem sobie, że miło byłoby pójść razem na drinka albo coś w tym rodzaju Platomcznie"

Naturalnie, że platonicznie. A czegoż innego się spodziewał. Chciałam się rozzłościć, ale jakoś mi nie wyszło.

- Zadzwoń - Brzmiało ostatnie słowo Buckleya... Na sekretarce nie było innych wiadomości. Will nie dzwonił.

Ja wiem, że z okazji 4 lipca ludzie nie składają sobie życzeń. To nie Boże Narodzenie ani Nowy Rok, ani Dzień Matki czy walentynki. Ale zawsze.

Mógłby zatelefonować.

To znaczy.

Tak jak Buckley.

Możę powinnam oddzwonić? W końcu dlaczego by nie? Jest miłym facetem. Na pewno dobrze byśmy się bawili. Szczególnie teraz, kiedy Kate jest zajęta Billym - od tamtego weekendu na Long Island są nierozłączni. Chyba dlatego nie zaprosiła mnie do Hampton drugi raz.

Raphael z kolei oszalał na punkcie pewnego czeskiego tancerza, którego poznał w jakimś barze dla homoseksualistów w Jersey. Brenda jest zajęta przygotowaniami do wesela, Latisha chodzi jak chmura gradowa, bo Yankees znowu przegrali mecz, a Yvonne w każdej wolnej chwili oprowadza Ihora po mieście.

A ja?

Spędziłam weekend w Brookside i mam obsesję, że terroryści chcą wysadzić most, na którym akurat jestem.

Niewiele myśląc, wyjęłam notes i odszukałam telefon Buckleya. Wystukałam numer, zanim zdążyłam dobrze się zastanowić. Pierwszy dzwonek, potem drugi. Powinnam odłożyć słuchawkę. Prawdopodobnie nie ma go w domu, a jeśli go nie ma, nie zostawię mu wiadomości, bo to nie byłby dobry pomysł .W ogóle ten telefon to nie najlepszy.

- Halo?

- Buckley?

- Tracey!

Wydaje się zachwycony.

Teraz i ja jestem zachwycona. Miło jest wiedzieć, że ktoś się cieszy ze spotkania z tobą, nawet jeśli „spotykacie się" tylko przez telefon.

- Zadzwońska! Nie wierzyłem, że to zrobisz.
- Dlaczego miałabym nie zadzwonić? Powiedziałeś, żebym zadzwoniła.
- A gdybym ci powiedział, żebyś skoczyła z mostu, też byś skoczyła? - odpowiedział, naśladowując do złudzenia moją mamę, której rzecz jasna nigdy nie widział.

Zaśmiałam się w odpowiedzi - trochę z przymusem, bo nie miałam ochoty opowiadać mu o mamie. Zapytał, jak spędziłam długi weekend, i opowiedział mi o swoim. Pojechał do domu na Long Island na rodzinne przyjęcie z grillem; spędził dzień na plaży... Okazało się, że w tej części stanu była wspaniała pogoda.

- Ale masz szczęście. Leżałeś sobie na plaży, a ja ponad pół dnia przesiedziałam w autobusie.

- Na plaży było pełno wybryków natury.
- Wybryków natury? Jak w cyrku?
- Nigdy w życiu nie widziałeś jeszcze tylu kuriozalnych typów naraz. - I wdał się w nieprawdopodobnie zabawny opis współplażowiczów z uwzględnieniem ich wyglądu, akcentu i prowadzonych przez nich dialogów. Rozśmieszył mnie do bólu brzucha, a raczej - świeżo wykształconych mięśni brzucha.

- Już nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się śmiałam. Powinieneś pisać skecze na estradę, a nie ulotki dla firm i notki o książkach - powiedziałam, kiedy w końcu udało mi się złapać dech.

- Nie mów nic, dopóki nie przeczytasz moich ulotek. Można boki zrywać, zaręczam ci.

Znowu parsknęłam śmiechem.

- No to co? Wybierzesz się kiedyś ze mną do baru albo gdzieś? - zapytał kompletnie nie a propos. I zanim zdążyłam otworzyć usta, dodał: - Zupełnie platonicznie.

- Cholera! A ja chciałam zaproponować ci randkę, Buckley.
- Wprawdzie łatwo się napalam, ale przy tobie, flirciaro, odpadam w przedbiegach.
- Wiem. I obiecuję, że będę trzymać ręce przy sobie.
- Oboje jesteśmy nieźli.

Potem ustaliliśmy, że w środę po pracy pójdziemy na mrożony koktajl z rumem do restauracji w jego sąsiedztwie Całe szczęście, że nie było to miejsce, w którym bywamy z Willem.

Cudowne, że przestało mnie prześladować wspomnienie jego pocałunku - lody pomiędzy nami zostały przełamane. A właściwie nie lody, ale mój lód, bo Buckley, jak zdążyłam zauważyć, zawsze zachowywał się swobodnie i bez przymusu. Wydaje się, że on niczym się nie przejmował.

W każdym razie - sprawy posuwały się do przodu. Na wielu frontach.

Na przykład, kiedy stanęłam na wadze, zanim włożyłam piżamę, zobaczyłam, że od poprzedniego ważenia ubyło mi dwa kilogramy.

Naprawdę mi się udało - robię wszystko, co zamierzałam. Chudnę. Czytam klasykę. Oszczędzam. W zeszłym tygodniu zdobyłam się nawet na uporządkowanie swojego pokoju. Wyrzuciłam dwie czarne torby na śmieci pełne niepotrzebnych szpargałów.

A teraz rzuciłam okiem w lustro i przyjrzałam się nowej Tracey. Nieźle. Mimo wygniecionych czarnych szortów i nieświeżego czarnego podkoszulka, w których odbyłam całą podróż.

Żeby jakieś tam nędzne dziesięć kilogramów robiło aż taką różnicę. Ale jeśli wyobrazić sobie te dziesięć kilogramów w postaci czterech ciężkich toreb, które dźwigasz na biodrach, brzuchu, udach i pupie, to aż dziw, że różnica nie jest większa. Ale nie myślcie, że narzekam. Nie. Podobam się sobie w swoim nowym wcieleniu.

Które jest zdecydowanie szczuplejsze od mojego starego wcielenia.

Ale wciąż do niego podobne.

Westchnęłam ciężko na myśli, że bez względu na to, ile już zrobiłam, czeka mnie jeszcze dużo ciężkiej pracy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W środowy wieczór zmierzałam już w stronę wind, żeby się spotkać z Buckleyem, kiedy zatrzymał mnie Jake. Cały dzień spędził na spotkaniach z klientami i w związku z tym prawie się nie widzieliśmy. Miałam nadzieję, że nie każe mi zostać, bo pięć minut temu zadzwoniłam do Buckleya i powiedziałam mu, że już wychodzę.

- Mógłbym z tobą o czymś porozmawiać, Tracey? - zapytał Jake.

- Pewnie.

Czekałam, aż rozwinie temat, i zastanawiałam się, o co mu może chodzić.

- Dobrze, chodź do mojego gabinetu.

Ruszył w stronę drzwi. Zaskoczona poszłam za nim. Dlaczego nie mógł rozmawiać tutaj?

Zauważyłam, że nie nawiązał rozmowy, gdy się z nim zrównałam. Ja też nie miałam żadnego pomysłu. Byłam ciekawa, czy mam jakieś kłopoty, ale nie przychodziło mi do głowy nic, co zrobiłam nie tak.

A potem sobie uświadomiłam, że skoro chce ze mną rozmawiać na osobności, to zapewne o nazwach produktów, jakie mu dopiero co podsunęłam. Nigdy nie skontaktował się ze mną w sprawie listy. Może przekazał ją klientowi. Może wybrano jeden z moich pomysłów.

- Zamknij drzwi - powiedział Jake, wchodząc do swojego gabinetu i siadając za biurkiem. - Usiądź.

Zamknęłam drzwi. Usiadłam.

- Pamiętasz dzień kilka tygodni temu, kiedy kupowałaś czekoladki na urodziny mojej mamy?

Serce mi zamarło. Wiedziałam już, że nie chodzi o nazwę dezodorantu.

- Tak...

- Pamiętasz, że kazałem ci zapakować prezent i zanieść go do wysłania do kancelarii?

- Tak...

- Właśnie się dowiedziałem, że mama nie dostała przesyłki.

- Nie dostała?

- Nie. I jest wkurzona, bo myśli, że zapomniałem o jej urodzinach.

Wpatrywałam się w niego niepewna, co chce powiedzieć.

- Ale przecież... to znaczy... nie wiem, dlaczego jej nie dostała.

- Ja też nie wiem. Belgijskie czekoladki za sto dolarów w tajemniczy sposób zniknęły.

Czy oskarża mnie o kradzież? Nie potrafię powiedzieć. Ale jeśli tak...

- Nie chcę powiedzieć, że ty je zabrałaś, Tracey... Nie chce...

- Tylko się zastanawiam, czy przypadkiem nie zapomniałaś zanieść ich do kancelarii.

Tamten dzień stanął mi przed oczami. Pamiętam doskonale, jak niosłam jego czekoladki do kancelarii. Był tam Myron i wziął ode mnie paczkę. Udawał, że mu się wymknęła i złapał ją w ostatniej chwili. Zawsze mi dokucza, bo pracuję u Jake'a.

Rzecz w tym, że nikt w kancelarii nie lubi Jake'a. Prawdopodobnie dlatego, że on wszystkich tam traktuje jak powietrze. A może dlatego, że Jake opowiada rasistowskie dowcipy - i skoro ja to wiem, chłopcy też mogli to usłyszeć.

Przyszło mi do głowy, gdy odtwarzałam wydarzenia tamtego dnia, że Myron mógł zauważyć nazwisko na paczce - takie samo, jak Jake'a.

Co znaczy, że Myron mógł wydedukować, że Jake wysyła służbową pocztą prywatne przesyłki do rodziny.

To całkiem możliwe. Myron zarabia ułamek tego, co Jake, i skądinąd wiem, że płaci swojej eks-dziewczynie alimenty na dziecko.

Ale nie zamierzam mówić Jake'owi, że Myron mógł zastosować w stosunku do paczki sabotaż. Po pierwsze, nie mam żadnego dowodu. A po drugie, nie mogę go tak naprawdę winić... nawet jeśli zamiast niego winę zrzuca się na mnie.

- Pamiętam, jak zniosłam ją do kancelarii - powiedziałam Jake'owi, bo czekał na jakąś odpowiedź.

- Dałaś ją komuś czy po prostu zostawiłaś?

- Dałam ją komuś.

I oto nadchodzi nieuknione.

- Komu?

- Nie mam pojęcia - skłamałam. - To było tak dawno temu.

- Więc jak możesz być pewna, że ją zniosłaś? Czy to możliwe, że paczka leży gdzieś na twoim biurku albo w boksie?

- Wątpię.

- Mogłabyś sprawdzić?

- Oczywiście. - Wzruszyłam ramionami, spoglądając na zegarek. - Sprawdzę jutro z samego rana...

- Sprawdź teraz - powiedział szorstko Jake, po czym dodał nieco łagodniej: - Dobrze?

Co na to odpowiedzieć?

- Dobrze.

Następny kwadrans spędziłam na przekopywaniu się przez sterty rzeczy w moim boksie, przeszukiwaniu biurka, a nawet szafki na akta. Zrobiłam to, bo nie miałam wyboru. Jake wciąż wtykał głowę i pytał:

- Znalazłaś?

W końcu poszłam do jego gabinetu i powiedziałam mu, że po przesyłce ani śladu. Wściekł się.

Może nie na mnie - ale tak to niestety wyglądało. Kusiło mnie, żeby mu powiedzieć, iż powinien porozmawiać o czekoladkach z Myronem, ale się powstrzymałam.

Wreszcie udało mi się wyjść na spotkanie z Buckleyem. Szłam przez miasto. Była kolejna parna noc, asfalt promieniował ciepłem zgromadzonym w ciągu dnia, oddawał je mnie, gdy wlokłam się chodnikiem. Szłam ramię w ramię z innymi obcymi ciałami. Włosy kleiły mi się do karku i czoła. Zwykle się nie pocę, poza głową. To krępujące. Najłżejszy ślad wilgoci, a ja od razu wyglądam jak ktoś, kogo zlano wężem od szyi w górę.

Gdy dotarłam do restauracji, położonej na tej samej ulicy, co nasza, moja i Willa, ulubiona knajpka sushi, okazało się, że jest to typowe teksańsko-meksykańskie miejsce. Mrożone drinki, chipsy i salsa gratis, białe świece wotywno, kolorowe, bożonarodzeniowe światełka rozwieszane nad barem i szafa grająca, która teraz gra jakiś przebój.

Miejsce kipi gwarem. Połowa ludzi stłoczonych w części barowej wygląda, jakby właśnie wyszła z biur, a druga połowa - jakby zmierzała do teatrów. Buckley siedział na odległym krańcu, mniej zatłoczonym, i z kieliszka na wysokiej nozce pił biały, pianisty koktajl z kawałkami ananasa i wisienkami maraschino na plastikowych szpikulcach. Obok niego siedziała wyjątkowo atrakcyjna kobieta w czerwonym kostiumie i sączyła podobnego drinka. Miała długie, kręcone, suche włosy.

Właściwie myślałam nawet, że są razem do chwili, gdy Buckley musiał poprosić ją o powtórzenie imienia, kiedy mnie przedstawiał.

- Sonja, ależ tak - powiedział - A to moja przyjaciółka, Tracey. Która się spóźniła.

- Przepraszam. Utknęłam w pracy.

Otarłam strużkę potu ze skroni i położyłam swoją dużą, czarną torbę między ich stołkami. Miałam nadzieję, że Sonja zrozumie aluzję i się wyniesie.

A ona tak bardzo nie zrozumiała aluzji, że zdjęła żakiet, spod którego wyłonił się nieprzyzwoicie mały, czarny top.

Nienawidziłam jej.

- Czego się napijesz, Tracey? - zapytał Buckley, odrywając wzrok do Sonji, która przechyliła się do tyłu, żeby zarzucić żakiet na oparcie krzesła.

- A co ty pijesz?

Odrzucam do tyłu swoje wilgotne włosy. Marzę o tym, żeby włączyli klimatyzację jest tu całkiem chłodno, ale potrzebny mi arktyczny podmuch. Albo suszarka do włosów.

- Zamówiliśmy coś, na co namówił nas barman - wyjaśnił Buckley, podsuwając mi słomkę, żebym mogła spróbować.

- Nie wiemy, jak to się nazywa - dodała z chichotem Sonja. - Ale jest piekielnie mocne.

- Piekielnie mocne - zgodził się z nią Buckley, odwrócił do niej i zapytał. - Skąd jesteś? Z Bostonu?

- Skąd wiedziałeś?

- Mam piekielnie dobrą percepcję - odparł, a ona parsknęła śmiechem, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała.

- Lepiej zwolnijmy trochę z tymi drinkami - powiedziała do Buckleya. - Zaczyna mi się kręcić w głowie.

I to po kilku łykach rumowego, smakującego owocami tropikalnymi drinka Buckleya. Nie mogłam pozbyć się myśli o tym, że Sonja dość gorliwie określa siebie i Buckleya, którego dopiero co poznała, jako „my” I mimo że ja jestem częścią innego „my” - Willa i Tracey - zaczynam kipieć z zazdrości

- A więc dopiero się poznaliście, tutaj, w barze? - zapytałam, przede wszystkim po to, żeby o tym przypomnieć.

- Tak. Sonja też na kogoś czeka - wyjaśnił mi Buckley i wezwał barmana podniesieniem ręki.

- Naprawdę?

Przypuszczalnie na narzeczonego. Albo przynajmniej na kogoś, z kim jest umówiona na randkę.

Skinęła głową i, żeby Buckley nie doszedł do tych samych wniosków, co ja, powiedziała szybko.

- To moja koleżanka z pokoju. Jest tu od niedawna. Cały czas mnie męczyła, żeby gdzieś się razem wybrać i w końcu się poddałam. Wygląda na to, że teraz to ona się spóźnia. Wiedziałam, że mogłam spokojnie pojsć najpierw na gimnastykę.

Oczywiście - chodzi na gimnastykę.

Wyobraziłam ją sobie, chudą i spoconą, jak trenuje w kusym trykocie. Rzuciłam okiem na twarz Buckleya. Zdaje się, że miał przed oczami ten sam obraz.

Przechwycił moje spojrzenie i zeskoczył ze stołka, jakby właśnie coś sobie uświadomił.

- Proszę, Tracey, usiądź – zaproponował.

- Nie, nie trzeba - powiedziałam, mając nadzieję, że mi nie uwierzy. Czułam się jak piąte koło u wozu.

Nie uwierzył mi. Jest dżentelmenem. Nalegał, żebym zajęła jego miejsce.

Czemu, zastanawiałam się, siadając, czemu. Sonja nie czuje się jak piąte koło u wozu?

- Od jak dawna się przyjaźnicie? - zapytała Och, oto czemu.

Bo Buckley dołożył starań, żeby przedstawić mnie jako swoją przyjaciółkę. Najwyraźniej zrobił to po to, żeby dać jej do zrozumienia, że nie jestem jej rywalką.

Bo nie jestem.

Właściwie gdybym myślała, że on myśli, że istnieje choćby najlżejsza szansa romantycznego rozwoju wydarzeń między nim a mną, w ogóle by mnie tu nie było.

I dlatego nie powinny mnie denerwować szerokie, błyskające białym uśmiechem uśmiechy, które Sonja rzucała Buckleyowi. Ani to, że dotykała jego ramienia za każdym razem, gdy mówił dowcip - co robił często.

Bo, spójrzmy prawdzie w oczy, facet jest zabawny. Ma wyjątkowo ironiczne poczucie humoru, potrafi formułować drwiące, celne uwagi o życiu i ludzkiej naturze w nieco komiczny sposób.

Zaśmiewanie się z dowcipów Buckleya wprawia mnie w tak dobry nastrój, że z biegiem czasu i ilości wlanych w siebie trunków zaczynam nieco lepiej znosić obecność Sonji. Przecież zasadniczo ma prawo interesować się Buckleyem. To odpowiednia zwierzyna łowna. A ja mam Willa.

Poza tym przyszło mi do głowy, że ona nie może wiedzieć, że ja i Buckley się całowaliśmy - nie żeby to miało jakieś znaczenie. Ale zaczyna to nabierać wagi, gdy dają o sobie znać efekty działania tego owocowego, mrożonego czegoś-tam.

Osuszyłam mojego pierwszego drinka. Buckley i Sonja byli w połowie drugiego, gdy pojawiła się w końcu koleżanka Sonji, Mae. Okazało się, że jest to olśniewająca, azjatycka specjalistka od inwestycji w wielkim banku. O nią

również byłabym zazdrosna, gdyby nie ogłosiła, praktycznie na samym wstępie, że ma narzeczonego na Zachodnim Wybrzeżu.

- Czemu jesteś tutaj, skoro on jest tam? - zapytał ją Buckley, gdy zamówił kolejne dwa drinki: jednego dla Mae, a drugiego dla mnie.

- Bo pierwsza dostałam tutaj pracę - wyjaśniła Mae. - Planujemy przenieść się na stałe do Nowego Jorku'. On kończy doktorat i też zaraz tu przyjeżdża.

- Ale nie przed Bożym Narodzeniem - poinformowała nas Sonja. - Wciąż jej powtarzam, że musiała upaść na głowę. Tyle miesięcy będzie z dala od niego. Związki na dystans nigdy się nie udają.

Czy to moja bujna wyobraźnia, czy też Buckley rzeczywiście spojrzął na mnie znacząco?

- Oczywiście, że się udają - powiedziałam, zdaje się, że dość ostro, bo Sonja zamrugła, a Buckley zaczął mnie przedrzeźniać, powtarzając moje słowa z dzikim warczeniem i udając przecinanie powietrza pazurami.

- Buckley! - Jednak nie potrafiłam powstrzymać się od uśmiechu.

- Nie zważajcie na Tracey - wyjaśnił pozostałym. - Jej chłopak wyjechał na kilka miesięcy. Gościnne występy - dodał szeptem i współczująco pokiwał głową, jakby właśnie informował je, że Will jest ofiarą jakiejś straszliwej klęski żywiołowej.

- Przepraszam - powiedziała Sonja, udając zmieszanie.

Twierdzą, że udawała, bo mam wrażenie, że w niej nie ma ani jednej rzeczy, która nie byłaby sztuczna, poczynając od idealnych, długich paznokci po pełne, jędrne cycki.

Popatrzcie, znowu jej nienawidzę.

- Nie chciałam przywoływać bolesnego tematu, Tracey - powiedziała, prawie klepiąc mnie po ramieniu.

- To nie jest bolesny temat.

- Chciałam tylko powiedzieć, że ja nie miałam nigdy szczęścia do związków na dystans i nie znam nikogo, komu by się to powiodło. Co przecież wcale nie oznacza, że to jest niemożliwe.

- Oczywiście, że to nie jest niemożliwe - wtrąciła się Mae. Ją lubię.

- Mam pełne zaufanie do Jaya - ciągnęła dalej. - A on do mnie. Fakt, że przez pewien czas musimy być z dala od siebie, nie oznacza jeszcze, że nasz związek jest w niebezpieczeństwie.

- Ale wy jesteście zaręczeni - zwróciła uwagę Sonja. - A on nie jest na szczęście aktorem... och, Tracey, przepraszam, znowu mi się wymknęło. Chciałam tylko powiedzieć, że z tego, co słyszę dookoła, niełatwo jest

utrzymać stabilny związek z kimś, kto pracuje w show-biznesie. W końcu aktorzy muszą się całować z innymi i na ogół sporo podróżują, prawda?

- Niektórzy tak.

Nie wierzę w przypadkowość tych gaf. Robi to specjalnie, żebym wyszła w oczach Buckleya na głupią.

Dobrze, dobrze, może nie jest aż taka zła.

Może moja nienawiść do niej ma swoje źródło w rumie.

Gdy sączyłam drugiego drinka, co szło mi łatwo, przypomniałam sobie z opóźnieniem, że byłam tak zajęta po południu, że nie zjadłam lunchu. Tego dnia miałam w ustach tylko płatki śniadaniowe z chudym mlekiem i bananem, które wrzuciłam w siebie przed wyjściem rano z domu.

Ktoś zamówił kolejną kolejkę. Już po pierwszym łyku zauważyłam, że język mi się płacze.

Ale tylko trochę.

I chyba nikt tego nie zauważył.

Sonja, która pracuje jako redaktor działu w jakimś mało znanym wydawnictwie, mówi właśnie Buckleyowi, że być może będzie mogła załatwić mu jakieś zadanie copywriterskie. A Mae rozmawia przez telefon komórkowy ze swoim oddalonym narzeczonym, który najwyraźniej dzwoni do niej co wieczór o tej porze.

Pomyślałam sobie, że ostatni raz rozmawiałam z Willem jeszcze przed moim wyjazdem do domu na ostatni weekend. Wróciłam w poniedziałek rano. Spodziewałam się, że dzwonił, ale nie. Wczoraj wieczorem kelnerowałam u Milosa podczas imprezy otwierającej nową galerię. Na sekretarce również nie było żadnych wiadomości.

Dlaczego, do licha, nie zadzwonił?

Dlaczego nie mam takiej pewności, jak Mae, że związki na dystans mają szansę przetrwania?

W głowie wiruje mi od delirycznych myśli o Willu. Sprawdzam zegarek. Jest prawie dziesiąta. Ciekawa jestem, czy już wrócił do bursy po wieczornym przedstawieniu. Co by było, gdybym teraz do niego zadzwoniła?

Jest to, oczywiście, pytanie czysto retoryczne, bo nie mam numeru, pod którym mogłabym go znaleźć.

Ale powiedzmy, że zadzwonię do informacji i zdobędę numer centrali teatru. Ktokolwiek odbierze, poda mi numer automatu w bursie.

Załóżmy, że tamten numer nie będzie zajęty - Will mówił, że tam jest zawsze zajęte, więc nie ma sensu podawać mi numeru - i ktoś odbierze, a ja poproszę go do telefonu.

Co powie, kiedy się zorientuje, że to ja? Czy będzie zaskoczony? Do licha, tak. Mile zaskoczony? Na pewno. Albo i nie. Trudno powiedzieć.

Gdy Mae cmoka do słuchawki, a Buckley zapisuje na serwetce numer telefonu Sonji, ja przygotowuję plan.

Muszę zadzwonić do Willa. Muszę.

Wypijam jeszcze trochę. Ten drink jest mocniejszy. Mniej owocowy.

Muszę dzisiaj porozmawiać z Willem. Natychmiast. Serce mi wali jak młotem.

Uświadamiam sobie, że zaczyna się ze mną dzieć to samo, co wtedy w autobusie i jeszcze wcześniej, w moim mieszkaniu.

Tym razem to wrażenie nie jest tak intensywne. Ale się boję. Co się ze mną dzieje?

Szafa grająca ryczy na cały regulator starą piosenkę Eagles. Spoglądam na Buckleya. Jest skupiony na Sonji i na tym, co ona mówi. Mae śmieje się w słuchawkę telefonu Barman nalewa rum do shakera. Czy dodał coś do mojego drinka? Ostrożnie piję kolejny łyk. Nie ma smaku trucizny. Jest tylko mocny.

Drinki reszty przygotowywał równocześnie, a nikt nie wygląda, jakby został otruty. Więc to moje subiektywne odczucie. Po prostu znowu przydarzyła mi się ta przedziwna rzecz.

Muszę zadzwonić do Willa

- Zaraz wracam - powiedziałam swoim towarzyszom, łapiąc torbę.

Zaczynam przepychać się na oślep w stronę odległego kąta na tyłach restauracji, instynktownie szukając toalet Błagam. Niech tam będzie automat telefoniczny. Jest.

Błagam, niech mam ćwierćdolarówkę w portfelu. Kilka ćwierć-dolarówek. Mnóstwo ćwierćdolarówek. Proszę.

Na szczęście nie wszystkich gratów się pozbyłam. Na dnie mojej torby grzechocze mnóstwo monet. Nic dziwnego, że boli mnie ramię. Grzebiąc w srebrnych i miedzianych krążkach, wrzucam ćwierćdolarówkę do otworu i wybieram numer.

Z głębin mojej torby wyławiam długopis oraz zabłąkane opakowanie po gumie do żucia i zapisuję na nim numer do teatru Valley.

A potem, po wrzuceniu kolejnej monety, wybraniu numeru i dodaniu kolejnych ćwierćdolarówek, wsłuchuję się w sygnały.

Oparłam się o ścianę, wdzięczna za to, że mały korytarzyk koło toalet jest w tym momencie pusty. Drzwi wahadłowe oddzielają tę przestrzeń od ryczącej szafy grającej i zapitych głosów w barze.

Jestem wrakiem.

Dłoń, która nie przyciska słuchawki do ucha, drży jak oszalała, a serce łomocze. Mam wrażenie, że nie mogę złapać oddechu.

To nie tylko alkohol ani brak jedzenia - chociaż też.

To coś innego. Jestem przerażona.

Może atak serca?

Czuję ucisk w klatce piersiowej.

O, Boże.

Czy czułam go wcześniej, zanim pomyślałam o ataku serca? Nie jestem pewna.

Jestem tak skupiona na analizowaniu symptomów fizycznych oraz pulsu - coraz szybszego, że zapominam, co tutaj robię, aż słyszę kliknięcie i męski głos:

- Teatr Valley. Mówi Edward. Zaczynam się jąkać.

- Ja... hm, zastanawiałam się... czy to... hm... czy to teatr Valley? - wyrzuciłam w końcu z siebie bezradnie.

Jestem kompletną idiotką, ale nic na to nie potrafię poradzić.

- Tak, owszem - odpowiedział cierpliwie Edward. Zachęcona zdobywam się na zapytanie o numer telefonu do bursy.

Zamiast niedbale podyktować mi numer, Edward powiedział:

- Rozumiem. A pani próbuje się zapewne skontaktować z kimś z obsady?

No i kto zachowuje się jak idiota? Po co innego potrzebny mi numer?

- Owszem. - Poinformowałam go, o kogo chodzi.

Jak to możliwe, że mój głos brzmi tak spokojnie, podczas gdy w środku jestem taka rozgorączkowana?

- Czy to coś pilnego?

Tak, to pilne. Will jest mi potrzebny. Desperacko. Mam atak serca i muszę z nim porozmawiać przed śmiercią.

- Owszem.

Byłam na krawędzi hysterii. Miałam nadzieję, że Edward rozumie, że nie udaję.

- Proszę poczekać - powiedział natychmiast.

I ja próbuję to zrobić. Naprawdę. Próbuję poczekać. Ale się rozklejam. Papieros mi pomoże. Otwórz torbę. Znajdź paczkę. Dobrze.

Znajdź zapalniczkę. Nie ma zapalniczki. Cholera. Znajdź zapałki. Zapal papierosa. Zaciągnij się. Nie pomaga.

Serce wali mi jak oszalałe. Oblewa mnie zimny pot. Co mogę zrobić, żeby nie upuścić słuchawki i nie uciec gdzie pieprz rośnie?

Powinam uciec z tego korytarza przy toaletach, zatłoczonego baru, dzielnicy Willa, nieznanego miasta, samotnego życia.

Ale nie.

Nie mogę uciekać.

Edward zaraz da mi numer telefonu do Willa. Jeśli tylko będę mogła porozmawiać z Willem, wszystko będzie dobrze. Zaciągam się jeszcze raz. A co, jeśli palenie tylko pogorszy sprawę? Nie, nie wydaje mi się, żeby tak było.

Mam te same objawy, co zwykle. Ale teraz łapią mnie nudności. To przez drinki. Alkohol zaczyna robić swoje. O to chodzi? Może po prostu się upiłam. Nie. Co z moim sercem? A jeśli to zawał? A jeśli nie?

To co? Co się ze mną dzieje?

Dwie kobiety mijają mnie w drodze do toalety. Jedna rzuca mi gniewne spojrzenie i zaczyna szeptać coś drugiej na ucho. W pierwszej chwili nie uświadamiam sobie dlaczego.

A potem orientuję się, że stoję dokładnie pod znakiem „Nie palić”.

Och. No i co z tego?

Unoszę papierosa do ust i zaciągam się głęboko.

Pijacki bunt.

Nie mogą mi zabronić.

A potem słyszę jakieś szcęknięcie w słuchawce, a zaraz potem zdyszany głos Willa:

- Halo? Halo? Mamo? To ty? Ekstaza.

To Will.

Zakłopotanie.

Mamo?

- Will? To ja.

Po drugiej stronie zapada cisza, a potem następuje pełne niedowierzania:

- Tracey?

- Tak!

- Myślałem, że to moja... Co się stało?

- Chciałam tylko dostać numer telefonu. Do bursy. To znaczy... o to poprosiłam Edwarda... nie musiał wołać cię do telefonu.

- Tracey, co do...? Co ty wyprawiasz? Kolejna pauza.

To chyba moja pauza. Bo teraz moja kolej, żeby coś powiedzieć.

- Edward powiedział, że to jakaś nagła sprawa - stwierdził oschle Will. - Byłem za kulisami, w przerwie między piosenkami. Za dwie minuty muszę być z powrotem na scenie, żeby zaśpiewać „We Go Together”.

- „We Go Together” - powtórzyłam, a moja głowa pracowała na najwyższych obrotach.

W jednej chwili stałam się uczestnikiem „Milionerów”. Znam tę piosenkę. „We Go Together”. Mam!

- Will, pracujecie nad Grease!

- Tak, nad Grease. Tracey, mówisz, jakbyś była pijana. Jesteś?

- Nie!

- Powiedz mi, Tracey... Czy to jakaś pilna sprawa?

- Tak!

- Co się stało?

To. To się stało. On ma niewłaściwe podejście. Jest niecierpliwy, jakby mi nie wierzył.

Dlaczego, do licha, miałby mi nie wierzyć? Edward mi uwierzył. Edward, zupełnie obcy człowiek, uwierzył mi, a Will, mój chłopak, nie.

- Tracey, na miłość boską, muszę wracać na scenę. Co się dzieje? Dlaczego do mnie dzwonisz?

Chce, żebym powiedziała mu, co takiego pilnego się wydarzyło. Czy mówi to poważnie?

- Tracey, mów!

- Dlaczego mówisz do mnie takim tonem?! - zawyłam.

- Bo... czy to jakaś pilna sprawa czy po prostu się upiłaś?

- Nie upiłam się! - krzyknęłam właśnie w tym momencie, gdy z toalety wyszły dwie kobiety.

Cholera.

Niezły bajzel.

Jestem wrakiem.

Lecz nie jestem pijana.

Nie dlatego do niego dzwonię.

Nie dlatego mam objawy ataku serca.

- To co się stało? - powtórzył Will.

Wciąż jest zniecierpliwiony. Nadal nieuprzejmy i bezduszny.

Wciąż nie jest tą osobą, której potrzebuję.

- Chodzi o moje serce - powiedziałam, biorąc głęboki oddech.

Zadrzałam, bo to bolesne. Nie mogę odetchnąć tak głęboko, jak chcę. Coś złego się dzieje, do cholery, a Will nie rozumie...

- Co z twoim sercem, Tracey?

Co z moim sercem? Staram się skupić. Żeby odpowiedzieć na pytanie. Co z moim sercem?

Boli.

Krwawi. Bo Will łamie mi serce. Opieram się o ścianę, głowa opada mi do tyłu. Zamykam oczy. Czuję bezwład. On nie rozumie.

Jest przy telefonie, tak jak chciałam. Lecz to nie pomaga. To...

Jest pełne wrogości.

Will jest wrogo nastawiony.

- Tracey, muszę iść - powiedział krótko. - Muszę wracać na scenę.

- Ale Will... ja cię potrzebuję.

- Zadzwońska tu i powiedziałaś Edwardowi, że to coś pilnego? To jest niby ta nagła sprawa? Że mnie potrzebujesz?

- Dlaczego jesteś na mnie taki zły? - Teraz już płaczę. _ Will, przestań tak do mnie mówić. Dlaczego nie chcesz zrozumieć?

- Czego nie chcę zrozumieć? Mnie.

Ale nie... Nie mów tego.

- Tracey...

- Will, nie rozumiesz, że mnie boli? Mam na myśli prawdziwy, fizyczny ból. Mam kłopoty. Nie mogę oddychać, kręci mi się w głowie, a serce bije mi za szybko...

- To dlatego, że piłaś.

- Nie! Przestań to powtarzać!

- Jesteś pijana, Tracey. Słyszę to. Język ci się płacze. To żałosne. Muszę kończyć.

- Nie, Will, nie...

- Dobranoc.

- Proszę cię, Will, nie... Trzask.

Sygnał. Panika.

Odłożył słuchawkę!

Gdzie to opakowanie po gumie?

Przeszukaj kieszenie.

Sprawdź torbę.

Proszę. Nie ma go. Gdzie się podziało? Jest mi potrzebne. Potrzebny mi numer do teatru Valley. Muszę do niego jeszcze raz zadzwonić.

Ale on teraz śpiewa „We Go Together”.

La la la.

Więc poczekam, aż skończy.

- Przepraszam... Podnoszę wzrok.

Przedemną stoi jakiś obcy mężczyzna. Wejście do sali restauracyjnej tworzy ramę dookoła jego twarzy. Dziwny człowiek. Mówi do mnie dziwny, zamazany człowiek. Czemu?

Chyba jest na mnie zły.

O, Boże. On też?

Czemu?

Dlaczego wszyscy są na mnie źli? Po moich policzkach płyną łzy.

- Muszę znaleźć papierka od gumy do żucia - wyjaśniłam mężczyźnie. - Proszę... może mi pan pomóc?

- Tu nie wolno palić - powiedział, wskazując na znak.

- Wiem, ale mój chłopak właśnie odłożył słuchawkę. Nie mogę znaleźć papierka od gumy i moje serce...

- Proszę to zgasić - powiedział stanowczo, wskazując na niedopałek, który trzymam w ręce.

- Ale ja próbuję wyjaśnić dlaczego...

- Proszę. Tu nie wolno palić.

Kim jest ten dziwny, zamazany mężczyzna, który wychynął z futryny i krzyczy na mnie?

- Powiedziały panu, że ja tutaj palę? - zapytałam, bo dotarło do mnie, że to te dwie wredne baby musiały na mnie donieść.

Nienawidzę ich. I tego człowieka też. Chyba powinnam mu to powiedzieć.

- Chyba powinna pani stąd sobie pójść - powiedział.

- Ale... dlaczego? Dlaczego mam sobie iść?! - zawołałam głośniej.

- Jestem tu kierownikiem i wydaje mi się, że za dużo pani wypija. Czy jest tu pani sama?

Nie pamiętam.

Staram się przypomnieć sobie, co było przed telefonem, ale moja pamięć jest równie niewyraźna, co twarz tego mężczyzny. Teraz wszystko zaczyna wirować.

- Zawołałam pani taksówkę - powiedział. I teraz wcale nie jest niemiły.

Teraz wcale go nie nienawidzę. Szlocham głośniej.

- Dziękuję panu. Dziękuję.

- Nie ma sprawy. Tylko... Och.

Muszę się wyrzygać. Natychmiast.

Nudności łapią mnie z taką siłą, że rzucam się w stronę damskiej toalety. Wpadam do kabiny i wymiotuję. O, Boże.

- O, Boże.

Zastanawiam się, gdzie podziewa się Bóg, kiedy się go potrzebuje.

Powinnam pójść do kościoła, jak powiedziała mi matka.

Nigdy w życiu nie czułam się tak kiepsko.

Cierpię.

Myślę, że umieram. Powinnam pójść do kościoła. Teraz już za późno. Bo może już nie żyję.

Bo mogłabym przysiąc, że jestem w piekle.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Tracey?
- Tracey...
- Tracey!
- Mmmm?
- Tracey, dobrze się czujesz?

Budziłam się najwolniej, jak umiałam. Odzyskiwanie przytomności jest bolesne. Pękała mi głowa. Paliło mnie w gardle.

Otworzyłam oczy i oślepił mnie ostry blask.

Uuu! Co za morderczy ból!

I...

I w moim mieszkaniu słońce nigdy nie świeci prosto w okno. Zamknęłam szybko oczy, ale ból nie ustawał. Gdzie ja jestem?

- Tracey?

Kto to jest? Zmusiłam się, żeby jeszcze raz otworzyć oczy.

Obróciłam się na plecy.

I dosłownie straciłam oddech.

- Cześć - powiedział Buckley, patrząc na mnie z góry. - Dobrze się czujesz?

Buckley?! Co on tutaj robi?

Zaraz, zaraz...

To nie jest moje mieszkanie.

Słońce.

To musi być mieszkanie Buckleya. Co ja tutaj robię?

- Przyprowadziłem cię wczoraj wieczorem do siebie - usłyszałam. Chyba czytał w moich myślach.

O, Boże. Wczorajszy wieczór.

Ostatnie, co pamiętam, to...

Mrożone drinki.

Dużo mrożonych drinków.

Dużo mocnych, mrożonych drinków.

Czy poszłam z Buckleyem do łóżka?

Ale wstyd!

Zamknęłam oczy i odwróciłam głowę. I natychmiast zrobiło mi się niedobrze. Nie powinnam wcale się ruszać.

Staram się opanować, ale fala mdłości podchodzi mi do gardła. Siadam, wstrząsana torsjami.

Wtedy Buckley podsuwa mi wiadro.

Nie mam czym wymiotować.

Widzę, że wiadro nie jest puste.

Ktoś już do niego zwracał.

Dlaczego Buckley...

Och!

Tym kimś byłam prawdopodobnie ja.

To straszne. Opadłam na poduszki, zawstydzona i wyczerpana.

- Zdaje się, że nie masz już czym puścić pawia. Nareszcie. - I Buckley odstawił wiadro na podłogę.

O dziwo, w tym stwierdzeniu nie było niczego przykrego. Powiedział to ironicznie, ale łagodnie. Zebrałam się w sobie i spojrzałam na niego. W jego oczach była życzliwość.

- Co się stało? - wychrypiałam.

- Wczoraj? Nic nie pamiętasz?

Bałam się pokręcić głową, bo przy najmniejszym ruchu czułam oślepiający ból.

Wzięłam głęboki oddech. Fuj, coś śmierdzi. To ja.

To ja byłam źródłem tego smrodu.

Miałam ochotę umrzeć.

- Za dużo wypijaś. Rozchorowałaś się w toalecie. Sonja tam weszła, zobaczyła, że kierownik próbuje ci pomóc, i wróciła po mnie.

- Sonja? Kto to, do licha...? Och.

Sonja.

- Przywiozłem cię tutaj, bo uznałem, że nie powinnaś być sama.

Nie.

Nie, nigdy nie powinnam być sama. Nigdy.

Poczułam, że gula rośnie mi w gardle. Tym razem to nie był tylko odruch wymiotny.

- Dziękuję. - Zdobyłam się na powiedzenie tego Buckley owi. - Jesteś dla mnie taki miły.

- Nie ma sprawy.

Miał potargane włosy. Był w podkoszulku i bokserkach. Takich, które są bardziej częścią piżamy niż bielizną, ale jednak...

Ja leżałam na łóżku, a właściwie na materacu. Jedynym łóżku w tym bez wątpienia jednopokojowym mieszkaniu. Nigdzie nie było widać kanapy. Nie było miejsca do spania dla drugiej osoby.

Co oznaczało...

- Przepraszam, że wykopałam cię z łóżka - wyjąkałam.

- Nie wykopałaś. Zmieszałam się.

A zaraz potem nie byłam już zmieszana. Byłam przerażona.

Buckley wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nikomu nie powiem, jeśli ty też nie powiesz - rzekł przebiegłym szeptem, nachylając się w moją stronę.

- O mój Boże - mówię. - Czy my...? Pokiwał głową.

- Pierwsze kilka razy nie było specjalnie rewelacyjne, ale w końcu znaleźliśmy właściwy rytm.

- Och...

Czułam, że w oczach zbierają mi się łzy. Było mi potwornie wstyd.

- Tracey, rozluźnij się. - Przestał się uśmiechać i usiadł obok mnie. Teraz jego twarz była naprawdę blisko. - Żartowałem. Czy naprawdę myślisz, że mógłbym cię wykorzystać? W takim stanie, w jakim byłaś zeszłej nocy?

- Nic się nie wydarzyło? Dzięki ci, Boże.

- Nic się nie wydarzyło. Spaliśmy w jednym łóżku, bo miałem do dyspozycji jedynie podłogę, a ostatnio mam kłopoty z karaluchami... Ale właśnie spryskiwali - dodał szybko. - Nie myśl, że jestem aż takim flejtuchem. We wszystkich nowojorskich mieszkaniach są karaluchy.

- Wiem...

- A poza tym obiecałem, że nic się nie wydarzy, kiedy ostatnio rozmawialiśmy przez telefon, prawda? Łączy nas czysto platoniczne uczucie, pamiętasz?

- Pamiętam.

Tak. I właśnie przypomniałam sobie jeszcze coś. Telefon.

- Buckley... nie wiesz przypadkiem, czy dzwoniłam do kogoś wczoraj wieczorem? Zanim się rozchorowałam w barze?

Wzruszył ramionami.

- Och, nie. - Powoli wracała mi pamięć. - Zdaje się, że popełniłam wielki błąd.

- Niech zgadnę. Pijany, zapłakany telefon do ukochanego? Kiwnęłam głową.

- Skąd...?

- Też to przerabiałem. Odbierałem pijane, zapłakane telefony. Sam też kilka wykonałem - przyznał, a w jego głosie nie było ani krztyny humoru. - To bolesne.

- Wykonywanie czy odbieranie takiego telefonu?

- Jedno i drugie. - Poklepał mnie w ramię. - Poradzisz sobie z tym, Tracey. On też.

- Łatwo powiedzieć. Ale on jest daleko stąd. Dzisiaj niczego sobie nie wyjaśnimy. Zobaczymy się dopiero... Bóg wie kiedy. Więc jak mamy sobie z tym poradzić i dalej żyć?

- To tylko telefon, Tracey. Nie dręcz się tym.

- Spróbuję - powiedziałam, ponieważ tego ode mnie oczekiwał.

Ale nie chodziło tylko o telefon do Willa.

To ze mną było coś nie tak.

Poza poziomem alkoholu we krwi.

Przeżyłam coś w rodzaju... no, jeśli nie ataku serca, to w każdym razie jakiegoś ataku.

Nie pierwszy raz. Wpadłam w panikę. Co będzie, jeśli to się powtórzy? Tu i teraz. Na pewno się powtórzy. Starłam się zmusić serce do bicia, ale nic z tego - chyba stanęło.

- Dobrze się czujesz? - usłyszałam głos Buckleya.

- Tak. - Zamknęłam oczy i odwróciłam się tyłem. - Po prostu nie mogę uwierzyć, że zrobiłam z siebie taką idiotkę. Nie tylko przed Willem. Przed ludźmi w barze... Przed Sonją i Mae... Dobrze, że już nigdy ich nie spotkam.

- Nie martw się nimi. Wszystko zrozumiały. Właściwie pomogły mi tu cię przyprowadzić. To tylko dwie przecznice, nie warto brać taksówki, więc przyszliśmy piechotą.

- Nic nie pamiętam.

- Pewnie, że nie. - Przerwał. - Właściwie to cię tu przynieśliśmy.

Boże, każdy nowy szczegół znacząco pogarszał sprawę. Schowałam głowę w poduszkę.

- To takie upokarzające.

- Daj sobie spokój. Sonja i Mae naprawdę umiały się znaleźć. Sonja spięła ci nawet włosy swoją spinką, żebyś ich sobie... no, wiesz.

Pewnie, że wiem. Żeby ich nie zarzy gała.

Dotknęłam ręką głowy. Dokładnie nad czołem miałam wielką spinkę. Co oznacza, że Sonja spięła mi wszystkie włosy, w tym grzywkę.

Jak mogła?

Każda kobieta wie, że jest to najgorsze, najbardziej nietwarzowe uczesanie w całych dziejach fryzjerstwa. Chyba że jest się małym dzieckiem. Albo supermodelką.

- To uroczo z jej strony - syknęłam, a Buckley zgodził się z tym całym sercem, całkowicie nieświadom faktu, że Sonja dokonała aktu sabotażu na moim wyglądzie.

Oznajmił też, że odda jej spinkę w niedzielę. Zdaje się, że mają randkę. Wybierają się na rolki do Central Parku.

Było to niepokojące, bo:

A) nie umiem jeździć na rolkach. I nigdy się nie nauczę z powodu chronicznie słabych kostek, które odziedziczyłam po rodzinie Spadolinich.

B) wszystko wskazuje na to, że Buckley knuł randkę z Sonją, gdy ja leżałam w kałuży wymiocin.

Nie zrozumcie mnie źle. Buckley może się umawiać z Sonją, jeśli ma na to ochotę. Może się umawiać ze wszystkimi, z którymi chce... Poza, oczywiście, mną, bo ze mną pozostaje w związku platonicznym. Mnie nie interesują randki z Buck-leyem. Interesuje mnie tylko naprawienie mojego związku z Willem.

Co nie znaczy, że jest mi obojętne, że Buckley widział mnie w stanie największego upadku - włosy spięte nad czołem, oddech smoka, pawie i tak dalej.

Nie można wyobrazić sobie nic bardziej żenującego.

Och, nie. Można.

Bo właśnie uświadomiłam sobie, że muszę iść do łazienki. Natychmiast.

Co znaczy, że muszę wstać z łóżka. Co znaczy, że muszę wyjść spod granatowego, bawełnianego koca, którym Buckley przykrył mnie wczoraj wieczorem.

A co, jeśli pod spodem jestem goła?

Musiał chyba zdjąć ze mnie te wszystkie obrzydliwe rzeczy. Tak to zawsze wygląda na filmach - facet mówi dziewczynie umęczonej przez kaca, że pomógł jej się rozebrać. Musiał, bo była nieprzytomna. A ona uświadamia sobie, że widział ją naga.

Na filmach to zawsze jest bardzo podniecające.

Na filmach pijana kobieta nie ma sflaczałej skóry i cellulitisu ani nie nosi szpetnej, bawełnianej bielizny z porozciąganyymi gumkami.

Na filmach nie pokazują wymiotów.

Na filmach pijana kobieta jest głupiutka, pełna uroku i delikatna. Wystarczy przypomnieć sobie Julię Roberts w *Mój chłopak się żeni*.

Dobrze, dobrze. Może i nie ma wielu filmów z podobnymi scenami, ale kilka jest.

Przynajmniej dwa.

Ja widziałam jeden z nich.

W każdym razie, moi drodzy, rzeczywistość bardzo różni się od filmu. A jeśli się okaże, że pod kocem jestem goła, dostanę hysterii.

Uniosłam koc i zajrzałam pod spód. Co za ulga. Jestem ubrana.

Niestety, ubrana w rzeczy oblepione przyschniętymi wymiocinami. Urocze.

- Łazienka? - Spojrzałam pytająco. Buckley wstał, żeby pokazać mi drogę.

Przechodząc przez pokój, zdołałam przyuważyć różne szczegóły jego mieszkania. Półkę, z której wylewają się książki. Otwartą torebkę z chipsami Lays. Wczorajsze ubrania złożone w stertę na reżyserskim krześle z drewna i płótna - można kupić takie za psie pieniądze w „Ikei”.

Żadnych roślin. Żadnej szpanerskiej wieży. Żadnego sprzętu do ćwiczeń.

Mieszkanie Buckleya w ogóle nie przypomina mieszkania Willa.

Buckley w ogóle nie przypomina Willa.

Nie próbuję sobie nawet wyobrazić, jak by Will zajmował się mną pijaną w sztok, bo kulę się ze wstydu, wiedząc, co by o mnie myślał.

Buckley nie wydaje się bardzo oburzony.

- Poczekaj chwilę. - Otworzył przede mną łazienkę. Oparłam się niepewnie o drzwi. Znowu było mi niedobrze.

Chwilę później wręczył mi ręcznik, złożony byle jak podkoszulek i parę cienkich spodni od dresu.

- Weź prysznic, a potem włóż te ciuchy - poradził. - Od razu się lepiej poczujesz. Ja skoczę na dół do delikatesów, kupię rogaliki i kawę.

- Kawę - powtórzyłam za nim jak echo.

Nie mogłam się zdecydować, czy na myśl o kawie nabrałam na nią ochoty, czy zrobiło mi się niedobrze. Chyba jedno i drugie.

- I rogaliki. Musisz coś zjeść.

- Tak... Dla mnie z odtłuszczonym serkiem śmietankowym.

- Odtłuszczony serek. - Buckley wznosił oczy do nieba. - Zawracanie głowy. Przecież to smakuje jak roztarta kreda z wodą.

- Zamknij się. Jestem na diecie.

Buckley obciął mnie wzrokiem od stóp do głów, w całej zarzyganej okazałości.

- Tak mi się wydawało, że schudłaś. Miałem ci to wczoraj powiedzieć.

- Naprawdę? Widać różnicę?

Pierwszy promyczek słońca w ten ponury poranek.

- Zdecydowaną. Weź prysznic. Nie wiem, jak długo mi zejdzie. O tej porze w dzień powszedni delikatesy są zwykle zatłoczone.

Dzień powszedni? Co?

- Która godzina, Buckley?

- Prawie wpół do dziewiątej.

- Boże! Za pół godziny muszę być w pracy. - Oparłam obolałą głowę o futrynę drzwi. - Jak mam to zrobić?

- Zadzwoń i powiedz, że jesteś chora - wzruszył ramionami.

- Nie mogę - odpowiedziałam automatycznie.

- Dlaczego?

- Bo...

A właściwie dlaczego nie? Po wczorajszej aferze z paczką dla matki Jake'a nie mam ochoty iść dzisiaj do biura.

- Zadzwoń, a potem możesz zostać u mnie, dopóki nie wydobrzejesz - mówi Buckley. - Pooglądamy sobie telewizję śniadaniową.

Kusząca propozycja.

- A ty nie masz nic do roboty, Buckley?

- Muszę przeczytać nowy prawniczy thriller i napisać notkę, ale dopiero na jutro rano. Mogę to zrobić później.

Super.

- Nawet nie wiesz, jaki z ciebie szczęściarz! Dlaczego nie musisz chodzić do jakiegoś straszliwego i nudnego biura pięć razy w tygodniu?

- Bo tego nie chcę - odpowiedział, jakby to było oczywiste i proste. - Dlaczego ty to robisz?

- Bo muszę z czegoś żyć.

- I nie ma na to innego sposobu niż chodzenie do straszliwego i nudnego biura pięć dni w tygodniu? Daj spokój, Tracey. To Nowy Jork. Miasto możliwości. Tu zawsze znajdziesz jakąś robotę... A co z facetem od przyjęć, dla którego pracowałaś?

- Milosem? Kilka razy kelnerowałam u niego. Świetnie płaci. Zapamiętać: Założyć rachunek oszczędnościowy jeszcze w tym tygodniu. Słoik po herbatnikach już prawie pęka.

- Dlaczego nie robisz tego w pełnym wymiarze?

- Mam być kelnerką, Buckley?

- A to, co robisz w agencji reklamowej, jest dużo ciekawsze?

- Zdecydowanie.

Potakuję tak energicznie, że moją biedną, skacowaną głowę przeszywa dojmujący ból.

- Ciekawsze, a mimo to okropne - pokiwał głową. - Gdzie w tym sens?

Walnęłam go w ramię.

- Buckley, daj mi spokój! Człowiek w stanie upojenia alkoholowego nie nadaje się do poważnych rozważań. Przynies mi tylko kawę, a potem porozmawiamy, jeśli dam radę...

- Proszę, proszę, już się rządzi - pokręcił głową. - Dobrze, idę. Tylko się przebiorę...

Zaczął ściągać koszulę, więc szybko zamknęłam drzwi.

Teraz przyglądam się sobie w lustrze i przez cały czas porównuję łazienkę Buckleya do nieskazitelnej, pachnącej środkami czystości, łazienki Willa. Do umywalki Buckleya przywarła piana z mydła i szczeciny od golenia, deska sedesowa jest podniesiona, a na haczyku na drzwiach wiszą ręczniki z całego tygodnia.

Za sedesem leży sterta kolorowych pism. „Sports Illustrated”, „The New Yorker”, „People”... Uwielbiam to. Mężczyzna, który czyta w łazience, i nie próbuje tego ukrywać.

Osobiście zawsze czytam w łazience. Will powiedział kiedyś, że jego zdaniem to odrażający zwyczaj, i dlatego właśnie nigdy nie robię tego przy nim.

Częstuję się ostatnim numerem „Maxima” z osobistej biblioteki Buckleya. Czytam fascynująco nieprzyzwoity artykuł o tym, jak uwieść kobietę na ślubie lub pogrzebie. Myję zęby pastą wyciśniętą na palec. Biorę prysznic. Wycieram się i wkładam ubranie, które przyniósł mi Buckley.

Miał rację. Od razu jest mi lepiej.

Gdy wciągam znoszony T-shirt z wyblakłym logo Aberc-rombie and Fitch, czuję wyraźny zapach: płyn do zmiękczenia tkanin i jakiś męski aromat, który nie jest wodą kolońską.

Wszystkie ubrania Willa pachną lekko jego wodą kolońską. Buckley chyba w ogóle nie używa takich rzeczy. Na moje oko to facet z gatunku „bez dodatków”.

Powtarzam sobie, że Buckley jest facetem, z którym mogłabym być.

Powtarzam sobie, że bez trudu mogłabym przestać kochać Willa i zacząć kochać Buckleya.

Jednak w głębi ducha wiem, że to nie byłoby łatwe.

Nie mogę zmusić się do pokochania Buckleya tak samo, jak nie mogę odkochać się w Willu.

Nagle ogarnia mnie fala tęsknoty tak silnej, że czuję fizyczny ból - gorszy niż kac; gorszy niż łomotanie serca i ucisk w piersi, który pamiętam z wczoraj.

Najbardziej na świecie chciałabym mieć teraz na sobie ubrania Willa, być w łazience Willa, w mieszkaniu Willa.

Chciałabym, żeby wszystko było takie... Takie, jakie nigdy nie będzie.

I nagle z olśniewającą jasnością dociera do mnie fakt, że nigdy, od samego początku, nie zdołaliśmy ustalić warunków, na jakich jesteśmy ze sobą. Will był zawsze gotowy do odejścia.

Odszedł na długo przedtem, zanim spakował walizki i wyjechał na letnie występy. W gruncie rzeczy zawsze odchodził. Willa zawsze coś odciąga, tymczasem ja wiecznie próbuję go łapać, wiem się na każdym co bardziej konkretnym dowodzie jego istnienia. Niby byliśmy razem, ale nigdy do końca razem. Zawsze byliśmy... nie całkiem do pary.

Tak było od samego początku. Gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, wymówką - dla niego i dla mnie - była Helen. Narzeczona w rodzinnym mieście.

Potem były zajęcia, nauka i egzaminy. Przesłuchania, próby i występy. Podróże do domu, do Iowa; wyprawy do Nowego Jorku w poszukiwaniu pracy, mieszkania.

Te ostatnie podróże mogliśmy odbywać razem; ja też się tutaj przenosiłam. Ale on przyjechał sam. Sam znalazł sobie pracę i mieszkanie, sam w nim zamieszkał.

Tak naprawdę nigdy nie oczekiwałam, że zamieszkamy razem natychmiast po studiach.

Ale rzecz w tym...

Rzecz w tym, że nie wiem, czy Will w ogóle zakłada, że zamieszkamy kiedyś razem.

A może znowu daję się ponieść emocjom?

W końcu Will jest ze mną. Jest ze mną od trzech lat. Gdyby nie chciał mojej obecności w swoim życiu - gdyby mnie nie kochał - dawno by ze mną zerwał.

Dlaczego miałby ciągnąć mnie za sobą, gdyby uważał, że nie mamy przyszłości?

To pytanie...

To było pytanie Sary: „Tylko dlaczego on jej nie rzuci?” Odpowiedziałam na nie: „Bo karmi swoje ego jej bezgranicznym podziwem. Nakreca się, widząc, że ona patrzy w niego jak w obrazek I wie, że bez względu na to, co zrobi, ona będzie przy rum”

Ale to nie dotyczy mnie i Willa. To dotyczy Mary Beth i Vinciego. My nie jesteśmy tacy jak oni. Ja nie jestem taka jak ona.

Nie wyszłam zbyt wcześnie za mąż i nie obarczyłam się dwójką dzieci ani kredytem hipotecznym. Nie wiodę swojego życia w Brookside, zrezygnowałam z pracy nauczycielki, nie jestem żałośnie, wiecznie zakochana w mężczyźnie, który już mnie nie kocha.

Mary Beth jest obarczona sporym bagażem.

Ja nie.

Mary Beth zbyt się boi, żeby wydostać się z pułapki. Ja nie.

Miałam dość odwagi, żeby przenieść się do Nowego Jorku i urządzić sobie życie.

A jeśli jest zupełnie inaczej?

Jeśli moja przeprowadzka do Nowego Jorku i jej decyzja pozostania w Brookside to jedno i to samo? Tchórzostwo Mary Beth została w Brookside, żeby być z Vmniem. Ja przyjechałam do Nowego Jorku, żeby być z Willem. Nie. To nie był jedyny powód. Chciałam wydostać się z Brookside na długo, zanim Will pojawił się w moim życiu. Trzasnęły drzwi. Usłyszałam wołanie Buckleya.

- Jestem tutaj - odpowiedziałam, odpychając od siebie myśli o Willu.

Wrócę do nich później, dużo później - w drodze do domu w słoneczne popołudnie, po ranku spędzonym z Buckleyem na oglądaniu głupich programów w telewizji.

Obrzydliwe ciuchy z poprzedniego wieczoru, zwinięte w ciasną kulę, upchnięte w białą, plastikową torbę od D'Agostri, mam na dnie dużej, skórzanej torby. Wyrzuciłabym je, gdyby nie to, że tamtego dnia włożyłam nowo odkrytą parę spodni, w które nie wchodziłam od ponad roku. Jakoś nie mogę wyrzucić ich do kosza, bo zbyt miło jest je wkładać i czuć, jak zamek zapina się bez wysiłku, a dwa czy trzy centymetry luźnej tkaniny wiszą w pasie.

Tak, idę do domu. Mimo że głowa wciąż mnie boli, mimo że nadal mam lekki rozstrój żołądka i niezbyt pewnie stawiam nogi.

Mogłam pojechać metrem albo nawet taksówką, a już na pewno mogłam dotrzeć do domu w mniej niż godzinę - nawet piechotą. Ale rozkoszuję się wolnością - w środku tygodnia trafiło mi się popołudnie nie przesiedziane przy biurku w biurowym boksie.

Owszem, miasto jest brudne i zatłoczone. W takim wilgotnym upale wszystko i wszyscy mają ohydny zapach. Mimo to jest wspaniale. Jestem wyzwoloną kobietą. Powoli idę w dół miasta. Kupuję „The Post” i czytam go na schodkach imponującego gmachu Biblioteki Publicznej na Czterdziestej

Drugiej Ulicy. Funduję sobie włoskiego loda z wózka w Union Scjuare Park i liżę go, idąc dalej, aż zaczyna tak kapać, że muszę go wyrzucić do przesypującego się, drucianego śmietnika. Kupuję dwie butelki wody mineralnej - jedną do mycia rąk, a drugą do wypicia. Zaglądam do sklepów, żeby przyjrzeć się kusym, seksownym ubrankom na lato, na które nigdy nie będzie mnie stać i w które nigdy się nie wbiję.

A może jednak?

Jeśli będę dalej chudnąć...

Jeśli będę dalej oszczędzać...

Cóż, nigdy nie wiadomo.

Pełna euforia. Obiecuję sobie, że pierwszą rzeczą, jaką zrobię po powrocie do domu, będzie włączenie kacyty z treningiem Jane Fondy. Ćwiczę uczciwie, prawie każdego dnia, i wydaje mi się - oby nie były to tylko pobożne życzenia ani wybujała wyobraźnia - że na granicy bioder i ud widzę coraz mniejsze wybrzuszenie - jakbym miała tam mniej ciała. I jestem pewna, że kiedy idę, moje uda nie trzęsą się już jak galareta ani nie ocierają się o siebie przy każdym kroku.

Ale już w mieszkaniu kasetka z Jane Fondą musi ustąpić przed automatyczną sekretarką.

Bo migoce czerwona lampka sygnalizująca wiadomość. Bardzo chciałabym, żeby to był Will.

Ale to na pewno jest Jake. Domyślił się, że nie jestem chora. Wiadomość, jaką mu zostawiłam na poczcie głosowej, nie brzmiała szczerze. A może ktoś zobaczył mnie na ulicy i doniósł do kadr?

To Jake.

Wiem, że to Jake. Ale to Will.

- „Tracey. Przepraszam, że odłożyłem wtedy słuchawkę. Czy wszystko w porządku? - Pauza. - Jesteś tam? - Pauza. - Odbierz, jeśli jesteś w domu. - Pauza. Westchnienie. - Dobrze. Nie ma cię. Gdzie ty chodzisz? Jest północ. Zadzwoń później”.

Po takiej wiadomości zaczynam mieć nadzieję.

To niewiele.

Nie powiedział „kocham cię” ani tym bardziej „wybaczam ci”. Ale przynajmniej zadzwonił. I jeszcze zadzwoni.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Will nie dzwoni w czwartek wieczorem. Nie dzwoni w piątek wieczorem.

Dzwoni w sobotę rano, kiedy w amoku przygotowuję się do wyjścia.

- Halo? - Bez tchu łapię słuchawkę.

- Tracey? To ja. Serce mi zamiera.

- Will.

- Spieszysz się?

- Nie...

- Aha. Bo kiedy odebrałaś, miałem wrażenie, że gdzieś się śpieszysz.

- Ja tylko... Za kilka minut wychodzę na wesele Brendy. Cisza.

Wyobrażam go sobie. Pustka na twarzy. Próbuje sobie przypomnieć, kto to jest Brenda.

- To moja koleżanka z pracy.

- Ach, prawda. To jest to wesele, na które idziesz z Raphaelem.

- Wesele, na które miałam iść z Raphaelem - mówię zaskoczona, że po tym, co się stało, prowadzimy tak idealnie konwencjonalną konwersację. - Raphael dał plamę. Czeski tancerz to już historia...

- Słucham?

- Nie mówiłam ci o nim? Miał skłonności do sadomasochizmu, a Raphael nie gra w takie gry. Teraz spotyka się z nowym facetem, Wade'em, który zaprosił go na weekend do swojego domu na plaży w Cjuogue. Znasz Raphaela. Kompletnie zapomniał o weselu. Zadzwoiłam do niego wczoraj rano, żeby mu przypomnieć. Bardzo się kajał.

- Co nie zmienia faktu, że cię wystawił - mówi Will.

- Zresztą zostawmy Raphaela. Idziesz na wesele sama?

- Właściwie to nie.

- Aha! Pauza.

To mi się podoba.

Wbrew wszystkiemu przyjemnie jest wyobrażać sobie, jak Will wysila teraz pamięć. Próbuje wymyślić jakiegoś innego zaprzyjaźnionego geja, którego mogłabym wziąć ze sobą. Może nawet jest zazdrosny i zastanawia się, czy przypadkiem nie idę na prawdziwą randkę.

- Nie idziesz sama? A z kim? - pyta.

- Z Buckleyem. To taki mój kumpel. Poznałam go na przyjęciu u Raphaela. Opowiadałam ci o nim, pamiętasz?

- Nie, ale... - Nie wydaje się zmartwiony. Ani zazdrosny.

- Cóż, skoro musisz lecieć...

Sprawdzam zegarek. Muszę lecieć. Ślub zaczyna się za półtorej godziny, a ja mam jeszcze spotkać się z Buckleyem i dojechać do Jersey.

Ale Will w końcu zadzwonił. Tym razem nie pozwolę mu uciec od telefonu.

- Mogę jeszcze chwilę porozmawiać - mówię, biorę telefon i podchodzę do szafy, żeby wygrzebać buty, które mam włożyć.

- Posłuchaj, Tracę, przepraszam, że odłożyłem słuchawkę tamtego wieczoru. Musiałem wracać na scenę.

- Rozumiem...

- Myślałem, że jesteś pijana. Jeśli tak nie było, to przepraszam.

- Nie ma sprawy.

- Więc nie piłaś?

Bardzo chciałabym powiedzieć, że nie. Ale coś mi mówi, że kłamstwo ani trochę nie poprawi sytuacji. Bo tu nie chodzi tylko o tamten wieczór. To poważniejsza sprawa. Dużo poważniejsza.

- Owszem, trochę wypiałam - przyznaję ostrożnie, zapalając papierosa i rozglądając się za popielniczką. - Ale zadzwoniłam do ciebie, bo miałam kłopot i potrzebowałam pomocy. Byłeś jedyną znaną mi osobą, do której mogłam się zwrócić.

- Jakiego rodzaju kłopot?

- Nie wiem... Coś w rodzaju ataku. Miałam kłopoty z oddychaniem.

Trawi moje słowa.

- A teraz czujesz się już dobrze?

- Tak.

W końcu od tamtej pory nie przydarzyło mi się nic podobnego. Ale boję się, że się jeszcze przydarzy. Nie wiem, co wywołuje te stany, więc nie wiem, jak się zabezpieczyć.

- Czy to był atak paniki? - pyta Will.

- Atak paniki? - powtarzam wolno. Zaciągam się papierosem. Wypuszczam dym. - Nie wiem. Może.

- Helen miewała ataki paniki. Serce biło jej szybko i czuła się tak, jakby miała umrzeć. Miała zaburzenia lękowe.

- To co innego - mówię szybko. I to jest coś innego.

Bo ja nie mam zaburzeń lękowych. Gdybym miała zaburzenia lękowe, byłabym... Cóż, nie wiem, czym bym była. Ale nie mam zaburzeń lękowych.

- To było coś somatycznego, a nie psychicznego - mówię Willowi, wsuwając stopy w płaskie, czarne pantofle bez pięt na niskich obcasach. - Miałam bóle. W klatce piersiowej. Wydawało mi się, że nie mogę oddychać.

- To samo odczuwała Helen.

Helen, jego pomyłona eks-dziewczyna z nadwagą.

- To nie był atak paniki - upieram się. - W każdym razie musiałam z tobą porozmawiać, a w żaden sposób nie mogłam się z tobą skontaktować. Zależało mi tylko na jednym. Chciałam zadzwonić do bursy, żebyśmy mogli porozmawiać.

Podchodzę do lustra. Zabieram z sobą papierosa i popielniczkę. Studiuję odbicie, gdy Will mówi:

- Wtedy, wieczorem, Edward powiedział mi, że coś się stało u mnie w domu. Wyobraziłem sobie, że to moja matka. Ze stało się coś koszmarnego.

- Mogę cię tylko przeprosić.

- Nie ma sprawy. - Chrząka. - Rzecz tylko w tym... że wszyscy mnie wypytywali, co się zdarzyło. Widzieli, jak Edward mnie wyciąga, i pomyśleli, że to jakaś poważna sprawa.

Jest mi wstyd, że wywołałam takie zamieszanie.

Ale równocześnie patrzę w lustro i - nic na to nie poradzę - z zadowoleniem widzę, że wyglądam cholernie dobrze.

Mam na sobie krótką, czarną koktajlową sukienkę z roz-kloszowaną spódniczką. Kupiłam ją dwa lata temu na ślub mojej kuzynki. Włożyłam ją tylko raz i już wtedy była zbyt obcisła. Teraz leży jak ulał. A może nawet na biodrach i na brzuchu jest trochę za luźna?

Bo - uwaga, uwaga! Straciłam jedenaście kilogramów. Ostatnie kilka zawdzięczam, bez wątpienia, nocy wielkich pawi.

Zaczynając dietę, zakładałam, że powinnam zrzucić piętnaście, dwadzieścia kilo. To znaczy, że do osiągnięcia dolnego poziomu mojej idealnej wagi zostało mi mniej niż pięć kilogramów.

Szkoda, że Will mnie nie widzi.

- Will, chcę przyjechać - mówię obcesowo, gasząc w popielniczce wypalonego do połowy papierosa.

- Wiem, ja też tego chcę.

Nie jestem pewna, czy mu wierzę, ale serce i tak mi podskakuje. Pytam:

- Kiedy?

- Nie wiem...

- Mogę przyjechać w następny weekend - proponuję. Will, proszę cię, nie mów „nie”. Bo jeśli powiesz „nie”...

- To miałyby sens - mówi wolno. - Wystawiamy Niedzielę w parku z George'em. Premiera w piątek. Gram George'a.

- Will! Dostałeś główną rolę!

Jestem oszołomiona, że do tej pory nic mi nie powiedział. Musiał wiedzieć o tym przynajmniej od tygodnia

- Dostałem główną rolę - potwierdza - Właśnie dlatego nie dzwoniłem. Byłem szalenie zajęty, wieczorami grałem w Grease, a w ciągu dnia miałem próby do George'a

- Nie ma sprawy. Ja też byłam zajęta - mówię, sięgając po lakier do włosów.

Włosy mam zaczesane wysoko - przede wszystkim z powodu upału - na dworze jest niemal czterdzieści stopni - i wilgoć. To jedyny sposób, żeby na ślubie nie wyglądać jak zmoczony szczur.

- Uhm. Słyszałam, że pracowałaś trochę dla Milosa. Zastygam z lakierem Aussie Scrunch wycelowanym w głowę.

- Naprawdę? Jak się o tym dowiedziałeś?

- Rozmawiałem z jednym z nowojorskich przyjaciół.

- Aha.

Ach, więc kontaktował się z kimś z „Jedź, pij, wychodź za męż”.

To mnie wkurza i to z kilku powodów. Jednym z istotniejszych jest fakt, że najwyraźniej nie dzwonił do mnie na tyle często, jak by mógł. Skoro miał czas na pogawędki z kimś innym.

Dobrze, dobrze, może zachowuję się irracjonalnie. Może znowu coś sobie wyobrażam. Ale nie mogę się powstrzymać przed zadaniem pytania.

- Z kim?

- Co z kim?

- Z kim rozmawiałeś? O mnie – dodaję. Mam nadzieję, że nie słyhać, jak bardzo jestem spięta.

To musiał być John albo któryś z facetów. Ale nie był.

- Z Zoe - odpowiada z ociąganiem. Słyszę je wyraźnie. - Mówi, że się spotkałyście.

Zoe.

Zoe z ciałem Pameli Anderson i twarzą Catherine Zety-Jones.

Zgadza się.

- Tak, spotkałyśmy się kilka razy - mówię Willowi. - Nie miałam świadomości, że się przyjaźnicie.

- Pewnie. Mam tam mnóstwo przyjaciół.

Aha. Will i Zoe się przyjaźnią. Tak samo jak Bill i Monica.

- Chyba zarobiłaś coś niecoś, prawda?

- Tak, całkiem przyzwoite pieniądze - odpowiadam odruchowo.

Will spał z Zoe. Wiem to.

Z jakiego innego powodu dzwoniłby do niej z North Mannfield?

Z jakiego innego powodu nie dzwoniłby do mnie częściej?

- Will...

- Musisz iść, prawda? - mówi. - Nie ma sprawy. Mam przymiarzkę kostiumu.

Umówmy się na następny weekend. Dobrze?

- Dobrze.

- Znajdę ci jakiś pokój. W pobliżu teatru jest kilka pensjonatów. Rodzice Esme zatrzymali się w jednym z nich i byli zachwyceni. Wypytam ją.

Znowu Esme.

Esme.

Zoe.

Nie cierpię, kiedy z zazdrości kurczą mi się kiszki, ale nic nie potrafię na to poradzić. Może gdyby Will był tutaj, że mną.. Albo gdybym mu ufała. Ale nie potrafię.

Dlaczego nie potrafię? Przecież nigdy nie przyłapałam go na zdradzie. Nigdy nawet nie znalazłam przekonujących dowodów, że mnie zdradza.

Mam tylko przeczucie, którego nie umiem zignorować.

- Zadzwoń do ciebie we wtorek albo w środę, to się umówimy - mówi Will.

- Dobrze. Zorientuję się, czy dam radę przyjechać w piątek.

- Nie. Lepiej przyjedź w sobotę.

- Ale... to tylko jedna noc.

- Wiem, ale w piątek jest premiera. To będzie szaleństwo. Zawsze tak jest w dniu premiery, a teraz w dodatku gram główną rolę. Przyjedź w sobotę. Z samego rana.

No i co mam zrobić? Kłócić się z nim? Nie.

Nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić. I odłożyć słuchawkę.

Jeszcze raz spoglądam w lustro, spodziewając się zobaczyć w nim dawną, grubą, zaniedbaną, niepewną siebie Tracey.

Rzecz w tym, że nadal wyglądam dobrze. Właściwie lepiej niż kiedykolwiek.

Tylko że mój wygląd już mnie tak nie cieszy, jak kilka minut temu. Przez Willa. Niech go licha.

Zamierzałam iść na wesele i dobrze się bawić z Buckleyem, którego poprosiłam, żeby mi towarzyszył. Zgodził się bez problemu. Zrobiłam to tylko dlatego, że nie mogłam pojawić się na przyjęciu sama, skoro odpowiadając na zaproszenie Brendy, poinformowałam, że przyjdę z osobą towarzyszącą. Dość długo już pracowałam z Milosem, żeby wiedzieć, że Brenda i Paulie będą musieli zapłacić za nie zjedzoną kolację Raphaela.

Zresztą Buckley, gdy go zaprosiłam, powiedział:

- Jasne. Zapowiada się niezła zabawa. Czekałam na to wesele.

Aż do tej chwili.

Teraz chciałam tylko zostać w domu i rozczulać się nad sobą.

Lecz Brenda idzie do ołtarza za mniej niż półtorej godziny. Muszę wziąć tyłek w troki i ruszać, bo inaczej ona nigdy mi tego nie wybaczy.

Pognałam do Port Authority, gdzie czekał Buckley. W pierwszej chwili go nie poznałam. Z powodu garnituru. Nie wiem czemu, ten garnitur tak mnie zaskoczył - przecież idziemy na ślub. Chyba zapomniałam o wszystkim, zdołowana po rozmowie z Willem.

Teraz jednak stanowczo odsuwam od siebie myśli o Willu oraz Zoe i Esme.

- Wyglądasz olśniewająco - mówi Buckley.

- Ty też.

- Naprawdę? Bo spościłem się jak mysz, idąc tutaj. Nie mogłem złapać taksówki.

- Mnie się udało, ale nie miała klimatyzacji. Kierowca był spocony jak mysz.

- Fuj. - Pochyliła się w moją stronę i pociąga nosem. - Ale nic się nie martw. Opary do ciebie nie przywarły. Pachniesz kapryfolium.

- Naprawdę? - Rzeczywiście użyłam perfum o tej nucie. - W głowie mi się nie mieści, że rozpoznałeś ten zapach.

Wzrusza ramionami.

- Moja mama używa odświeżacza powietrza o zapachu kapryfolium.

Och.

Jedziemy autobusem na drugą stronę rzeki. Wjeżdżamy w tunel. Staram się skupić na rozmowie z Buckleyem. Ale zaczynam myśleć o tym, co się wydarzyło w autobusie z Brook-side i serce zaczyna mi łomotać.

Buckley chyba nic nie zauważa. Opowiada mi o weselu siostry - coś o zatruciu lidera zespołu i o tym, że musiał go zastąpić kuzyn jego szwagra, który znał tylko trzy piosenki.

Mam wrażenie, że autobus wlecze się przez tunel bardzo wolno, mimo że nie ma dużego ruchu. Przyglądam się ścianom wyłożonym kafelkami i liczę światła mijających nas samochodów.

- Dobrze się czujesz?

Próbuję wziąć głęboki wdech, ale mi się nie udaje. Znowu ciśnie mnie w piersiach.

- Tracey?

Spoglądam na Buckleya. On patrzy na mnie.

- Dobrze się czujesz? - pyta jeszcze raz.

- Nie wiem.

Przetykam, ale mam wrażenie, że ślina nie przechodzi mi przez gardło. Dlaczego nie mogę przetykać? Próbuję jeszcze raz. Nic z tego.

Muszę przestać o tym myśleć! Muszę myśleć o czymś innym! Tylko że nie mogę.

- Co się dzieje?

- Nie wiem - mówię i słyszę nutę paniki w swoim głosie. Panika.

- Chyba mam atak paniki - mówię Buckleyowi. Bierze mnie za rękę i ścisną ją.

- Wszystko w porządku. Nic się nie dzieje.

- Nie wiem...

Spoglądam na niego, a potem za okno, na kafelki i światła aut.

- Wszystko dobrze, Tracey. Powiedz mi, o czym myślisz.

- Mam przeczucie, że zdarzy się coś złego.

- Na przykład co?

- Nie wiem. Myślę, że mogę...

Znowu na niego spoglądam. Ma taką miłą twarz. Chcę mu powiedzieć, ale pomyśli, że zwariowałam. Nie jestem szalona. Zapamiętać: Przestać to robić.

- Myślisz, że mogę... co? - Szturcha mnie łagodnie Buckley.

- Umrzeć - mówię cichym, zduszonym głosem. - Myślę, że mogę umrzeć. Czuję, że umrę. Albo coś takiego.

- Nie umrzesz.

- Wiem. - Wypuszczam z płuc drżący oddech. - Ale jakoś nie mogę zmusić głowy, żeby w to uwierzyła. Wymyka mi się spod kontroli.

- Czy to się już kiedyś zdarzyło?

- Wtedy. Tamtego wieczoru, kiedy dzwoniłam z baru do Willa. - Próbuję skupić się na naszej rozmowie, żeby nie wpaść w histerię. Gdybyśmy tylko wyjechali już z tego tunelu... - I przedtem też. Kilka razy.

Nie mogę uwierzyć, że ta kłopotliwa i ponizająca sytuacja jak z Przerwanej lekcji muzyki wydarzyła się znowu. I to w obecności Buckleya. Chociaż nie odnoszę wrażenia, że ma coś przeciwko temu.

- Co wywołuje ten stan? - pyta poważnie.

- Nie wiem - odpowiadam, chociaż tak naprawdę nie słyszę jego pytania.

Nie myśl o tym, że jesteś w tunelu. Nie myśl, że tunel może się zawalić, a do środka wlać woda. Nie myśl o utonięciu. Autobusem lekko zarzuca. Wciągamy ze świstem powietrze do płuc. Buckley ściska moją dłoń.

- Wszystko w porządku, Tracey - mówi. - Jestem z tobą. I po chwili się uspokajam.

Autobus wyjeżdża z tunelu.

Panika ustępuje.

A Buckley jest ze mną.

RS

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Tracey! Dobry Boże! Wyglądasz jak Cindy Crawford! - krzyknął Raphael, gdy spotkaliśmy się w środę po południu na rogu Madison i Czterdziestej Ósmej.

Byliśmy umówieni na lunch.

- Zamknij się, Raphael - powiedziałam przez zaciśnięte zęby, gdy poczułam na sobie spojrzenia kilku pracowników budowlanych jedzących lunch na pobliskich schodkach. Oni najwyraźniej doszli do wniosku, że w ogóle nie przypominam Cindy Crawford.

- Nie, no, naprawdę! Podobają mi się włosy ściągnięte na gładko do tyłu. Co z nimi zrobiłaś?

- Spociłam się straszliwie po drodze, więc spięłam je spinką, którą miałam w kieszeni.

Tak się składa, że spinka jest własnością Sonji. Zapomniałam oddać ją Buckleyowi, żeby jej przekazał. No cóż, jej strata. To ładna spinka.

- Och, Tracey, przestań. - Raphael otoczył mnie ramieniem.

- Wyglądasz tres chic. Jesteś wspaniale ubrana.

Mam na sobie prostą sukienkę tubę z ciemnego lnu, w której rzeczywiście wyglądam tego lata dobrze. W zeszłym roku była zbyt dopasowana w biodrach i ciągle podjeżdżała mi do góry.

- Ty też wyglądasz tres chic - zrewanżowałam się Raphaelowi.

- Tak uważasz? Nudy - powiedział, przyglądając się swojemu strojowi. Włożył okulary przeciwsłoneczne z różowymi szklami, przykrótkie spodnie khaki i kamizelkę założył na gołe ciało. Ubranie do biura. Styl Raphaela. - Już jestem gotów na jesień, Tracey. Ostatnim krzykiem mody są teraz kolorowe swetry.

- Naprawdę? Dla mnie ostatnim krzykiem mody zawsze jest czerń.

- Zapamiętaj moje słowa, Tracey. Przyjdzie dzień, kiedy będziesz się ubierać na kolorowo - powiedział Raphael.

- Wątpię.

Wyjęłam papierosa i włożyłam jednego do ust.

- No więc pospiesz się i opowiadaj - ponaglił mnie Raphael, podkradając mi papierosa z paczki i wyjmując z dłoni zapalniczkę. - Jak się udał ślub i wesele, Tracey?

- Było wspaniale - powiedziałam, gdy zapalił mi papierosa, a potem ja jemu. Oboje zaciągnęliśmy się głęboko. - Spóźniliśmy się trochę. Zjawiliśmy się w połowie ceremonii, ale najlepsza część nas nie ominęła.

- Przysięga! Płakałaś, Tracey? - dopytuje się Raphael, a ja omijam kałużę - pozostałość po porannej burzy.

Teraz już wyszło słońce i zrobił się typowy duszny, letni dzień w mieście.

- Płakałam - przyznałam. - Ale tylko troszeczkę.

- Ja tam zawsze płaczę na ślubach. Gdy będę miał składać kiedyś przysięgę, Tracey, to na pewno się rozsypię. Prawdopodobnie zemdleję z tych wszystkich emocji.

- Jeśli ty będziesz składać kiedyś przysięgę na wierność, to ja zemdleję z szoku.

- Tracey!

- Raphael. Daj spokój. Przecież nie jesteś typem monogamicznym.

- To dlatego, że jeszcze nie spotkałem mojego jednego jedyne. - Zatrzymaliśmy się na rogu Piątej i czekamy, aż pomarańczowe światło zmieni się na zielone. - Idziemy na sushi do tej knajpy na Czterdziestej Szóstej, Tracey?

- Zdecydowanie.

Sushi jest dobre na odchudzanie.

- A jakie było jedzenie na przyjęciu weselnym?

- Przepyszne. Zrobili stacje tematyczne. Przystanek fondue. Przystanek świeżych warzyw. Przystanek ziemniaczany. Och, a tak przy okazji, Buckley prosił, żeby ci podziękować za porzucenie mnie, bo świetnie się bawił.

- Tracey! Wcale cię nie porzuciłem! - Raphael wyglądał na przerażonego. - Nigdy bym cię nie porzucił.

- Pewnie, że nie - udałam, że jestem wściekła.

- Tracey, proszę cię, nie bądź na mnie zła! Zapomniałem o ślubie i obiecałem już Wade'owi, że pojedę z nim do Cjuogue i...

- Nie ma sprawy. Wybaczam ci. Jak było w Cjuogue?

- Fantastycznie, Tracey. Kate i Billy przyszli do nas na kolację. Wade gotował. Zrobił wspaniale risotto z owocami morza. Na moje oko dodał trochę za dużo oregano, ale Kate naprawdę smakowało.

- A Billy'emu? Pokręcił głową.

- Poznałaś go, prawda? Potaknęłam.

- I co o nim myślisz? - zapytał złowieszczo.

- Że tego właśnie spodziewałabym się po Kate. Nie znam go dobrze, ale z tego co widziałam, jest piekielnie inteligentny, powalająca przystojny. I bogaty jak...

- Tracey, przykro mi to mówić, ale Wade uważa go za dupka.

- Naprawdę?

Nie znam Wade'a, więc trudno mi powiedzieć, czy jego wiedza ma jakieś podstawy, czy nie. Może Wade każdego uważa za dupka.

Dotarliśmy do restauracji. Wszystkie stoliki są zajęte, ale jakoś udaje nam się znaleźć dwa miejsca przy barze sushi.

- A co ty myślisz o Billym? - zapytałam Raphaela, gdy wycieraliśmy dłonie w gorące, parujące od wilgoci ręczniki, które przyniosła nam na tacy kelnerka.

- Szczerze mówiąc, Tracey, pomyślałem, że z niego jest gorący towar.

- Litości. Dla ciebie każdy jest gorącym towarem.

- Ten nie - powiedział Raphael teatralnym szeptem, przysłaniając usta dłonią i wskazując w stronę siedzącego po prawej korpulentnego, nieogolonego biznesmena, który mlaskając jadł zupę miso.

- To pierwszy taki przypadek.

Odłożyłam gorący ręcznik na tacę i wzięłam do ręki menu.

- A skoro o tym mówimy, to czy Buckley zdradził ci w sobotę, że jest gejem?

- Nie!

- Och.

Raphael wyglądał na rozczarowanego. Przeglądał kartę.

- Raphael, Buckley nie mógł mi czegoś takiego powiedzieć, bo to nieprawda.

Raphael wzruszył ramionami.

- Uwierz mi. On jest hetero.

- A skąd wiesz? Spałaś z nim?

- Oczywiście. Raphael upuścił menu. Korpulentny siorbacz obok podał mu je.

Raphael podziękował mu z uśmiechem kociaka, a potem powiedział mi na ucho:

- Wiesz, w nim jednak jest coś ponętneho. Na szczególny, szorstki, męski sposób.

- Raphael, upadłeś na głowę?

Wrócił do tematu, wyraźnie oszołomiony.

- Spałaś z Buckleyem?

- Tak - potaknęłam energicznie. - W jednym łóżku. Dwa razy.

- Tracey! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo to nic takiego. Inaczej niż ty, mogę dzielić łóżko z atrakcyjnym mężczyzną bez podtekstu seksualnego.

- Tracey! Ja też to potrafię.

- Tylko wtedy, gdy ten atrakcyjny mężczyzna jest z tobą spokrewniony.

Kiwnął głową, nie zbity z tropu.

- Tracey, nie mogę spędzić całego dnia. - Co jest bzdurą, bo Raphael jest znany w „She” z trzygodzinnych lunchów - więc się pośpiesz i opowiadaj, kiedy z nim spałaś?

- Pierwszy raz w zeszłym tygodniu, po wspólnym wieczorze. Za dużo wypiałam i zostałam u mego na noc. - Ten obraz jest grzeczniejszy niż naga, śmierdząca, zapluta i zapłakana rzeczywistość. - Drugi raz w sobotę, po weselu. Kiedy wróciliśmy do miasta, było gorąco i późno a ja nie mam u siebie klimatyzacji. Więc powiedział, żebym przenocowała u niego, a ja skorzystałam z zaproszenia.

- I do niczego między wami nie doszło?

- Absolutnie nie.

- Tracey, skończmy na tym - powiedział Raphael z pełnym samozadowolenia uśmiechem w typie Camryna Mannheima. - On na pewno jest.

- Ja mam chłopaka. To dlatego nic nie zaszło między mną a Buckleyem. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. To platoniczne uczucie. I taka była ta noc.

To cała prawda i tylko prawda. Poza jednym.

W pewnym momencie wieczoru tańczyliśmy razem. Wywijaliśmy do Electric Sidle. A zaraz potem didżej puścił wolny kawałek.

Była to stara piosenka „I Could Not Ask For More” Edwina McCaina. Powiedziałam Buckleyowi, że ją uwielbiam, a on złapał mnie za rękę, przyciągnął do siebie, wziął w ramiona i powiedział.

- Zatańczmy.

Tańczyli wszyscy pan młody i panna młoda, Yvonne i Thor, Latisha i Anton.

Buckley i ja przetańczyliśmy już razem kilka wolnych tańców ale tamto to była inna muzyka. Bardziej jazzowa, jak „The Way You Look Tonight” czy „Summer Breeze”. Tańczyłam je tak, jak tańczyłabym z ojcem czy wujkiem. Cosmem na przyjęciu urodzinowym - energiczne kroki, obroty, kontakt cielesny ograniczony do jednej ręki w talu partnera, z drugą ugiętą w łokciu, dłońmi złączonymi.

Teraz było inaczej. Romantycznie.

Buckley wziął mnie w ramiona i trzymał tak blisko, że kołysaliśmy się przytulem całym ciałem. Tak, jak się robi w szkole średniej.

A raczej tak, jak robili wszyscy inni w szkole średniej. W tamtych czasach bardzo rzadko proszono mnie do tańca.

Sprawa z przytulanką z Buckleyem - poza tym, że stało się, powiedzmy, oczywiste, że go przynajmniej trochę pociągam - polegała na tym, że przez kilka minut niemal zapomniałam, że to nie mój chłopak. A kiedy piosenka się skończyła i sobie to przypomniałam, zaczęłam się zastanawiać, jak by to było, gdyby nim był.

Bo Buckley jest dla mnie zawsze taki miły.

A Will.

Coż, czasami nie jest.

Lecz to dlatego, że Buckley i ja prawie się nie znamy. Z Willem jesteśmy razem i nękają nas wszelkie problemy, jakie się z tym wiążą.

Tak czy owak po tym wolnym tańcu didżej zagrał tarantelle Brenda i Paulie zatroszczyli się naturalnie, żeby każdy wyszedł na parkiet. Wtedy Buckley i ja wróciliśmy na poziom uczucia platonicznego i ten nastrój utrzymał się do końca wieczoru.

Szczególnie platoniczne uczucie łączyło nas następnego ranka, gdy ja poszłam do domu, a Buckley na rolkową randkę z Sonją.

Wzięłam jeden z małych ołówków z kubka stojącego na szklanym kontuarze i zaczęłam zaznaczać kratki koło rzeczy, które wybrałam. Zdecydowałam się na sashimi, czyli plasterki surowej ryby bez ryżu. Straciłam kolejny kilogram i zdecydowanie chcę stracić jeszcze więcej przed sobotnim spotkaniem z Willem.

- Czy mówiłam ci już, że jestem umówiona na sobotę z Willem? - zapytałam Raphaela po złożeniu zamówienia.

- Nie. To wspaniale, Tracey.

- Mam nadzieję.

- Oho. Coś nie tak?

- Nie, nic - powiedziałam szybko. - Chodzi tylko o to, że od wyjazdu Will zachowuje się z pewną rezerwą... i boję się, że nie będzie już tak samo, gdy się zobaczymy.

Właściwie to boję się, że będzie tak samo.

Lecz nie chcę się do tego przyznać przed Raphaelem.

Ani nawet przed samą sobą.

Muszę zrobić coś, żeby się między nami ułożyło.

Nie jestem jeszcze gotowa sobie odpuścić.

Nigdy nie będę na to gotowa. Kocham go.

Po lunchu wróciłam do pracy. Jake zostawił mi notatkę na żółtej karteczce przyklepionej do ekranu mojego komputera. Jest na niej napisane „Wpadnij do mnie”.

Poszłam do jego gabinetu.

- Wróciłaś - powiedział, nie podnosząc głowy znad żółtego formularza, który właśnie wypisywał.

- Wróciłam.

- Musisz zadbać o to, żeby twoje lunchy nie trwały dłużej niż godzinę, Tracey.

Sprawdziłam zegarek. Wyszłam godzinę i dziesięć minut temu.

- Przepraszam - powiedziałam. Kiwnął głową.

Zachowuje się tak w stosunku do mnie od afery z czekoladkami w zeszłym tygodniu. Mój telefon z informacją, że jestem chora, też nie poprawił sytuacji. Właściwie, kiedy pojawiłam się w pracy w piątek, cały ranek prawie się do mnie nie odzywał.

Chyba nie uwierzył w opowieść o zatruciu pokarmowym nieświeżymi małżami. Mnie się to wydawało dobrą wymówką. Ludzie w kółko chorują po surowych owocach morza.

A teraz Jake powiedział:

- Chciałbym, żebyś załatwiła dla mnie jedną sprawę.

- Dobrze...

- Idź do sklepu Orvisa i odbierz coś, co zamówiłem. Właśnie do mnie dzwonił z informacją, że przyszło.

- Dobrze.

Kolejna prywatna sprawa.

Latisha i Yvonne ciągle mi powtarzają, że powinnam przestać załatwiać jego sprawy. Gdy się o tym dowiedzą, dadzą mi popalić. Brenda by zrozumiała, ale pojechała na Aiubę w podróż poślubną - już im podałem przez telefon numer mojej karty kredytowej - mówi Jake. - Więc jest zapłacone. Musisz tylko to odebrać.

- Dobrze.

Kiedy wychodziłam, nie zdobył się nawet na podziękowanie.

Szłam do Orvisa, pałac papierosa i rozmyślając o zbliżającej się wizycie u Willa. Nie zadzwonił do mnie jeszcze, ale na pewno odezwie się dzisiaj

wieczorem. Dobrze by było, żeby zadzwonił dziś, bo jutro i w piątek pracuję dla Milosa.

Dotarłam do sklepu Sprzedawca odszukał zamówienie Jake'a. Jestem w szoku.

Jest to ogromna wędka do łowienia na muchę.

Wędka tego rodzaju, z jaką nie można iść manhattanską ulicą, nie wzbudzając niezdrowej sensacji wśród wszystkich opętanych seksem pracowników budowlanych, uśmiechniętych domokrażców i różnych innych niskich form miejskiego życia.

Gigantycznego, fallicznego przedmiotu, który taszcze, nie można nie zauważyć. Zostałam obdarzona lubieżnymi komentarzami, różnego rodzaju cmokarunami, kilkoma szczypmęciami w tyłek i nieskładnymi oświadczeniami ze strony faceta w plastikowym daszku na głowie i tablicą reklamową na plecach.

Gdy dotarłam z powrotem do biura, toczyłam pianę z wściekłości.

Pomaszerowałam z wędką prosto do gabinetu Jake'a. Yvonne właśnie opuściła swoją przegródkę. Rzuciła na mnie okiem i zawołała Latiszę.

- To się nie może dziać naprawdę - powiedziała Latisha, gapiąc się na mnie - To nie może być prawda.

- Och, to jest prawda - stwierdziłam, nie zatrzymując się.

- Dziewczyno, musisz mu pokazać, gdzie jego miejsce.

- Właśnie to zamierzam zrobić.

- Chcesz rzucić pracę? - zapytała Yvonne.

- Rzucić pracę? - Zatrzymałam się. - Nie!

- To dobrze - powiedziała Latisha. - Powiedz mu po prostu, żeby sam załatwiał swoje sprawy. Zagroź, że zgłosisz kadrom, jeśli nadal będzie cię w ten sposób wykorzystywał.

- Tak zrobię - przysięgam. Ale już straciłam trochę pary. Byłam taka rozwścieczona, że nie myślałam o tym, co tak naprawdę zamierzam w tej sprawie zrobić.

- Idź - powiedziała Yvonne i popchnęła mnie w stronę gabinetu Jake'a.

Ruszyłam. One mają rację. Muszę się bronić. Jake mnie wykorzystuje.

Szykuję się do powiedzenia mu, żeby się odczepił... oczywiście w profesjonalny sposób.

Lecz gdy dotarłam do jego gabinetu, okazało się, że drzwi są zamknięte.

W swojej przegródce znalazłam notatkę od niego. Poszedł na spotkanie z klientem i będzie w biurze dopiero jutro. Nie napisał ani słowa o tym, żebym schowała wędkę w schowku.

Kusiło mnie, żeby zostawić ją na wierzchu i pozwolić Myronowi i firmie zrobić z nią to, co zechcą.

Ale okazało się, że nie mogę.

Zamknęłam więc wędkę w schowku.

I wyszłam z biura punkt piąta.

Poszłam szybko do domu.

Byłam przemoczona, gdy tam dotarłam. Zdjęłam z siebie sukienkę i rzuciłam ją na stertę rzeczy, które trzeba zanieść do pralni chemicznej. Włożyłam szorty i podkoszulek.

Włożyłam małego ziemniaka do mikrofalówki. Rozciąłam go i położyłam na niego resztki ugotowanego na parze brokuła oraz kawałek tłustego sera. Całość polałam salsą. Wcale nie smakowało tak źle, gdy dość posolić.

Zjadłam, czytając rozdział Podróży Guliwera.

Następnie przeczesałam swoją szafę, przymierzałam rzeczy i próbowałam wybrać dwa przyzwoite zestawy na weekend.

Nic z tego nie wyszło. Połowa moich ubrań jest teraz za luźna - chociaż wcale się z tego powodu nie skarżę - a to, co pasuje, jest niemodne.

Przeliczyłam pieniądze w puszcze po herbatnikach. Wciąż nie doszłam z nimi do banku, ale zrobię to. W tym tygodniu. Nieodwołalnie.

Jak dotąd zaoszczędziłam blisko czterysta dolców.

Nic się nie stanie, jeśli uszczknę trochę na nowy ciuch albo dwa. Zasłużyłam na to.

Odliczyłam dwieście dolarów i włożyłam je do portfela. Jutro podczas przerwy na lunch pójdę na zakupy. Może do French Connection.

Hmm. Dołożyłam kolejne sto dolców.

A potem, zainspirowana myślą o nowych ubraniach, wrzuciłam do odtwarzacza wideo kasetę z treningiem. Teraz, gdy znam już dobrze wszystkie kroki, to nie wymaga specjalnego wysiłku. Jest nawet zabawne... gdy jestem w odpowiednim nastroju.

Dzisiaj jestem w nastroju.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy właśnie odzyskiwałam oddech.

Rzuciłam się do niego. Wiedziałam, że to Will.

- Hej, co słytać?

- Buckley!

Spojrzałam na zegarek. Will będzie próbował się do mnie dodzwonić. Ale przez kilka chwil mogę porozmawiać z Buckleyem. Jeśli będzie zajęte, to Will spróbuje jeszcze raz.

Oczywiście, że tak zrobi.

Zresztą dlaczego miałby wybrać akurat tę konkretną chwilę na telefon, skoro czekam w domu cały wieczór?

- Nie rozmawiałem z tobą od soboty - powiedział Buckley. - Miałem urwanie głowy w pracy cały tydzień. Właściwie wciąż mam. Ale chciałem zadzwonić i powiedzieć cześć.

- Cieszę się, że to zrobiłeś.

Rozmawialiśmy o jego niezależnym zadaniu i jakimś sposobem zmieniliśmy temat na rozważania, czy Jimmy Stewart żyje. Buckley przysięgał, że żyje, a ja byłam pewna, że nie.

- Wiem, że umarł kilka lat temu, Buckley.

- Nie wydaje mi się. To była Donna Reed. Zrobili o niej program w serii To cudowne życie.

- Cóż, jak Jimmy Stewart umarł, to też to zrobili.

- To niemożliwe, Tracy. Niedawno widziałem go w jakimś talk-show.

- Ja też. Prowadził Leno, zgadza się?

- Chyba raczej Letterman.

- Nieważne. To była powtórka. Mówię ci, że on nie żyje.

- Sprawdzę to - stwierdził Buckley. - Przysięgam na wszystkie świętości. Udowodnię ci, że się mylisz.

- A co zrobisz, żeby mi to udowodnić? Zjawisz się u mnie z Jimmym Stewartem?

- Dowcipniś z ciebie, co? Żebyś wiedziała, właśnie to zamierzam zrobić.

- Tak? A kto ci pomoże go wykopać z grobu?

Oboje zaśmiewaliśmy się do łez, planując odpowiedni scenariusz dla telewizji. Parskaliśmy co chwilę, co rozśmieszało nas jeszcze bardziej.

Szkoda, że tego nie widzieliście.

Tak dobrze się bawiłam, rozmawiając z Buckleyem, że zapomniałam o Willu.

A potem sobie przypomniałam. I przestałam się śmiać.

- Wiesz co? - powiedziałam do Buckleya. - Muszę kończyć. Czekam na telefon...

- Od kogo? Od Willa? - zapytał. Zaskoczył mnie tym, że zapamiętał to imię.

- Tak. Jadę do niego na weekend.

- Hej, to super. To znaczy, że wszystko się ułożyło, co? Mimo...

- Mimo tego, że tamtej nocy zrobiłam z siebie głupka, dzwoniąc do niego? Jeszcze nie wiem. To znaczy, wydaje się, że mi wybaczył, ale nie jestem pewna, czy zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. - Nie miałam pewności, czy ja zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje. Trzeba zmienić temat. - A co u ciebie? Jak się udała niedzielna randka z Sonją?

- Tak dobrze, że we wtorek znowu się umówiliśmy. Naprawdę? A podobno miał urwanie głowy.

- Gdzie poszliście?

- Na kolację, a potem do Learning Annex na wykład o medytacji. Byłem tam jedynym facetem. Nie jestem pewien, czy czułem się jak Sean Connery czy Just Jack.

- Myślałam, że miałeś urwanie głowy - zmusiłam się do zadziornego tonu.

A w każdym razie miał być zadziorny. Jednak nie wiedzieć czemu wyszło mi coś w rodzaju warknięcia.

- Hej, nie można żyć samym pisaniem - powiedział lekko Buckley. - No, dobrze, lepiej skończmy rozmowę. Wiem, że Will...

- Tak, pewnie próbuje się dodzwonić. Więc jakie masz plany na weekend? Spotykasz się znowu z Sonją? - zapytałam od niechcenia.

- Nie. W ten weekend jedzie na plażę. Wynajmuje do spółki domek w Westhampton.

Oczywiście.

- Słuchaj, baw się dobrze z Willem - powiedział szczerze Buckley.

- Będę.

- Jak się tam dostaniesz?

- A niby jak?

- Jedziesz swoją nową toyotą?

- Jest w warsztacie, więc jadę autobusem. Pauza.

Wiedziałałam, że się zastanawia.

- Trace, poradzisz sobie - powiedział cicho.

- Mam nadzieję.

- Słuchaj, jeśli będziesz miała kolejny atak paniki, powinnaś chyba do kogoś z tym iść.

- Do kogoś? Chodzi ci o psychiatrę?

- Terapeutę. Mogę ci podać nazwisko kogoś, kto bardzo mi pomógł po śmierci mojego ojca.

- Nie mogę jeździć do psychiatry na Long Island - odparłam, bo coś musiałam powiedzieć.

- Ma gabinet tutaj. Na rogu Park i Dwudziestej Dziewiątej.

- Aha.

- Zastanów się nad tym, Tracey.

- Dobrze - powiedziałam szybko.

Nie chodzi o to, że się wstydzę, bo, o dziwo, tak nie jest. Gdyby to był ktoś inny, pewnie bym się wstydziła. Ale w Buckleyu jest coś, co likwiduje wszelkie moje opory. Od samego początku czułam się przy nim swobodnie, nie martwiłam się tym, co o mnie myśli. I to nie tylko dlatego, że nie jestem zainteresowana umawianiem się z nim na randki. Czuję się przy nim swobodniej niż przy innych moich przyjaciółach, przy Kate, Raphaelu i ludziach z pracy.

Buckley i ja przypadliśmy sobie do gustu.

I mimo że znamy się zaledwie od kilku tygodni, mogę już z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że uznałam go za prawdziwego przyjaciela, kogoś, komu mogę się zwierzyć.

- Kończmy - powiedział - Will pewnie wciąż próbuje.

- Skąd wiesz, że nie mam drugiej linii albo skrzynki głosowej?

- Bo sam kilka razy dzwoniłem i było zajęte - rzucił lekko. - Baw się dobrze w czasie weekendu, Tracey. I słuchaj.

- Tak.

- Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała. Na przykład, żebym po ciebie przyjechał.

- To szaleństwo. Nigdy nie zadzwoniłabym z takiego powodu, poza sytuacją absolutnie awaryjną.

- Więc jeśli będziesz w takiej sytuacji, zadzwoń do mnie.

- Buckley, poradzę sobie.

- Wiem, ale gdyby coś było nie tak, będę pod telefonem. Piszę notki do serii detektywistycznej z gadającymi papugami. Uwierz mi. Ucieszę się z każdego pretekstu, żeby to rzucić.

- Dobrze.

Skończyliśmy rozmowę.

Przez głupią chwilę trzymałam słuchawkę w ręce i patrzyłam na nią z oczekiwaniem.

Nie zrozumiała aluzji i nie zadzwoniła.

Nie zadzwoniła również później, gdy ją odłożyłam i udawałam zainteresowanie telewizyjną relacją o katastrofie lotniczej w Japonii.

Właściwie nie zadzwoniła nawet wtedy, gdy drzemałam przed Conanem O'Brienem.

Odbierz telefon od Willa McCrawa - powiedział mechaniczny głos.

I przez ułamek sekundy miałam ochotę nie odbierać. Ale oczywiście odebrałam.

- Tracę? Obudziłem cię? - w głosie Willa nie było słycać skruchy.

- Pewnie, że nie. W tygodniu nie kładę się wcześniej niż o drugiej. Dzięki temu czuję się świeższa.

Zdobył się przynajmniej na łaskawe przeprosiny.

- Przykro mi. Bez skruchy.

W tle słycać jakieś hałasy.

Głośniejsze niż zwykle odgłosy przekomarzania i chichotów dochodzące z holu bursy.

Miałam wrażenie, że słycaż zespół grający na żywo.

- Gdzie jesteś? - zapytałam.

- W barze - odpowiedział. - Mieliśmy dziś ciężką próbę kostiumową i wszyscy musieli jakoś odreagować. Na śmierć zapomniałem, że miałem do ciebie zadzwonić.

Normalnie bym mu odpuściła. Ale może byłam wściekła, bo mnie obudził. Może nie podoba mi się obraz Willa odreagowującego stresy w barze z muzyką na żywo. A może już czas przestać mu odpuszczać.

Nieważne. Usłyszałam, jak mówię:

- To super. Bardzo ci dziękuję.

- O czym ty mówisz?

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że zapomniałeś do mnie zadzwonić, skoro wiedziałeś, że musimy zaplanować weekend.

- Do weekendu zostały jeszcze dwa dni.

- Przecież wiesz, że jutro i pojutrze pracuję u Milosa. Nie będzie mnie w domu do późna.

- Więc w czym problem? Po prostu zadzwoniłem do ciebie późno.

- Najwyraźniej ty nie widzisz problemu.

Nie cierpię swoich słów, ale nic na to nie mogę poradzić. Jestem wściekła.

- Dlaczego zachowujesz się tak wrednie? Nie odpowiedziałam. Bo nie mogłam.

- Słuchaj, może powinniśmy o tym zapomnieć - powiedział. Ukłucie paniki.

- O czym?

- O twoim przyjeździe na weekend. Och. Dzięki Bogu.

Nie chodzi o to, że chcę zapomnieć o wyjeździe, ale myślałam, że ma na myśli całokształt. Nas.

- Teraz mi to nie na rękę. Jestem pod ogromną presją w związku z przedstawieniem. Mam mnóstwo powtórek i nie potrzeba mi...

Jego głos zamarł.

Miałam ochotę zmusić go, żeby skończył zdanie. Ale tak naprawdę nie chciałam usłyszeć reszty.

- Przepraszam, Will - zmusiłam się do powiedzenia tego. Bo nie mogę nie jechać do niego na weekend. Jeśli nie zobaczę się z nim w weekend...

Cóż, muszę się z nim zobaczyć. To wszystko.

- Jestem tylko zmęczona i przestraszył mnie telefon o tej godzinie. Nie chciałam być wredna.

- Dobrze - powiedział. Ale nie od razu.

Milczał przez kilka sekund, a ja spędziłam te kilka sekund, czekając, co zrobi.

Powiedział, że zarezerwował mi pokój w pensjonacie, w którym nocowali rodzice Esme. Powiedział, że to niedaleko od ich bursy. Powiedział też, że nocleg tam kosztuje niemal dwieście dolarów.

- Możesz tyle zapłacić? - zapytał.

A ja sobie uświadomiłam, że będę sama płacić za pokój. Cóż, czego się spodziewałam?

W teatrze za dużo nie zarabia. Zdecydowanie mniej, niż zarabiał w Nowym Jorku, pracując dla Milosa.

A teraz ja pracuję dla Milosa, więc mam dodatkowe dochody.

Na pewno tak rozumuje.

Ale gdzieś w głębi duszy chciałabym, żeby mi powiedział, że mam się nie martwić o koszt wynajęcia pokoju, bo to jego sprawa.

Albo chociaż zapłacimy po połowie. Lecz on tego nie powiedział. Powiedział tylko:

- Możesz tyle zapłacić? A ja odpowiedziałam:

- Oczywiście, że tak. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy autobus zajechał do North Mannfield, Will czekał dokładnie tam, gdzie miał czekać: na ławce przed małą kafejką, która pełniła jednocześnie funkcję dworca autobusowego.

Oczywiście wyglądał fantastycznie.

Ale ja przecież też.

Miałam na sobie nową, obcisłą, krótką letnią sukienkę. Oczywiście czarną. Przymierzałam też inne kolory, ale jeszcze nie jestem na nie gotowa. Czarny wyszczupła. A mimo że jestem szczuplejsza, niż byłam - straciłam kolejny kilogram w ciągu ostatnich dwóch dni dzięki głodowaniu przed tym weekendem - wciąż nie jestem jeszcze tak szczupła, jak bym chciała. Ani tak szczupła jak Esme.

Skąd wiem, skoro nigdy jej nie widziałam?

Zaufajcie mi. Wiem.

Wiem. Tak samo, jak wiem, że to nią muszę się martwić. Nie chodzi o to, że Will wspomniał jej imię więcej niż raz czy dwa mimochodem. Ale coś w sposobie, w jaki o niej mówił - albo może samo jej imię, Esme - zadziało na mój kobiecy radar. Zdecydowanie muszę się jej przyjrzeć.

Wysiadłam z autobusu i rzuciłam się Willowi w ramiona.

- Hej, a gdzie reszta ciebie? - zapytał, mierząc mnie od stóp do głów.

Wiedziałam, że powinno mi to pochlebić. Zauważył zmianę. Lecz chodziło o sposób, w jaki to powiedział. „Gdzie reszta ciebie?”

Wiedziałam, że to komplement, ale to trochę obelżywe w stosunku do mnie sprzed lata. Tamta ja czai się bliżej, niż jestem gotowa przyznać. I poczułam się jak zdrajca, gdy się uśmiechnęłam i powiedziałam:

- Wypociłam ją w mieście. Musiałam trochę zmniejszyć obciążenie.

- Wyglądasz naprawdę dobrze - powiedział i był słodki, a ja nawet się nie skuliłam, gdy mnie przytulił.

Zwykle myślałam jedynie o jego dłoniach dotykających moich fałd tłuszczu przy paskach stanika. Ale tym razem pozwoliłam sobie na delektowanie się dotykiem jego ramion.

Pachniał tak intensywnie, jak zwykle. Wtuliłam głowę w jego kark i wdychałam mocno, chcąc nawąchać się tego zapachu Willa na zapas i zabrać go ze sobą do Nowego Jorku.

Zaśmiał się.

- Co robisz?

- Obwąchuję cię - powiedziałam. - Twoja woda kolońska zawsze tak miło pachnie. Ale tym razem pachniesz odrobinę inaczej... jakby mleczkiem kokosowym czy czymś w tym rodzaju.

- Filtr przeciwsłoneczny - wyjaśnił. Wtedy dopiero zauważyłam, że jest opalony.

Will nigdy się nie opalał. Twierdził, że od tego robią mu się zmarszczki, wygląda starzej i nie może grać ról, do których zgłaszają się młodo wyglądający aktorzy.

- Jesteś opalony, Will - poinformowałam go.

- To nieprawdziwa opalenizna - odpowiedział z uśmiechem. - Właściwie mam na sobie faktor 45. Ale jedna z dziewczyn używa samoopalacza i smaruje mnie nim, żebym nabrał trochę koloru.

Samoopalacz? Smaruje go nim?

Wyobraziłam sobie Willa smarowanego przez dziwną dziewczynę - nie kobietę, lecz dziewczynę, jak to po kumplowsku określił.

Will wziął moją torbę, którą bezceremonialnie rzuciłam mu pod nogi, gdy uwiesiłam mu się na szyi.

Powietrze tu jest zdecydowanie mniej wilgotne niż w Nowym Jorku i odświeżająco chłodne. Mogłabym się do niego przyzwycząić.

- Jak podróż? - zapytał Will, prowadząc mnie ulicą. Cóż, miałam atak paniki gdzieś w okolicach Albany. Ale poza tym...

- Świetnie - odpowiedziałam lekko. - Odrobiłam sporo zaległości w lekturze.

Szliśmy przez miasto, które wcale nie jest malownicze. Właściwie jest trochę przygnębiające. Poza kafejką jest jeszcze pralnia, posterunek policji plus poczta, sklep spożywczy plus stacja benzynowa, bar Drop Right Inn i kilka starych domów. Ale nie z gatunku tych starych, wiktoriańskich, pełnych uroku, piernikowych. Po prostu... starych. Z krzywymi okiennicami. Brakującymi balaskami. Zapadniętymi schodami.

- A co czytałaś? - chciał wiedzieć Will.

- Podróże Guliwera - oświadczyłam. Czekałam.

Zastanawiacie się na co?

A na to, żeby mu szczeka opadła z szacunku. Parsknął śmiechem.

- Podróże Guliwera? Dlaczego, na Boga?

- Bo postanowiłam tego lata przekopać się przez książki, które powinnam była przeczytać już dawno temu. Wiesz, chodzi o klasykę.

Innymi słowy: jest to najnudniejsze lato mojego życia, podczas gdy ty siedzisz sobie tutaj, odreagowujesz stresy w knajpach i ktoś ci smaruje lędźwie samoopalaczem.

Och, do diabła. Dlaczego nie skłamałam i nie powiedziałam mu, że czytam jakiś bestseller? Albo jeszcze lepiej, że nie mam czasu na czytanie?

- To super, Tracę - powiedział. - Cieszę się, że się nie nudzisz.

„Cieszę się, że się nie nudzisz?” „Cieszę się, że się nie nudzisz?!”

Takie rzeczy facet mówi niedawno owdowiałej emerytce.

- Jestem okropnie zajęta - poinformowałam go - W pracy istne szaleństwo

- Naprawdę? A co się dzieje? - zapytał z umiarkowanym zainteresowaniem

Nie zapominaj, że to aktor.

Ale zapytał i niech to cholera, jeśli mu nie powiem. Naturalnie opuściłam tę część, która dotyczy kradzionych czekoladek na urodziny oraz sprawy wędkarskiej.

Gdy zostawiliśmy za sobą kiepską dzielnicę biznesową North Mannfield i szliśmy obsadzoną drzewami wiejską drogą wzdłuż brzegu jeziora, opowiedziałam Willowi o popisie z nazwą dezodorantu. Zabrzmiało to tak, jakby przyszłość McMurraya-White'a spoczywała na moich odpowiedzialnych barkach.

- Jak dotąd udało mi się stworzyć kilka propozycji, które naprawdę przypadły do gustu mojemu szefowi - powiedziałam.

- Naprawdę? A wiesz, jak powinien się nazywać taki produkt? – zapytał.

W ostatniej chwili powstrzymałam się przed wyrzuceniem z siebie własnych koncepcji na ten temat i zamiast tego zapytałam.

- Jak?

- „Tak trzymać” - powiedział, kiwając znacząco głową, jakby właśnie wyjawiał absolutnie pewne imię zwycięzcy ostatniej edycji „Survivora”

- „Tak trzymać” - powtórzyłam i starałam się udawać, że jestem pod wrażeniem - Dobrze Will, zapamiętam to, w razie gdyby moja nazwa nie wypaliła.

Właściwie to całkiem dobra nazwa „Tak trzymać”

Dalej mu opowiadałam, jaka jestem zajęta w mojej wspaniałej agencji reklamowej oraz w pracy u Milosa. Nie trzymałam się tematu zbyt długo, bo bałam się, że zacznie coś mówić o Zoe. Zamiast tego przedstawiałam mu rozbuchany opis moich weekendowych podróży, od Hampton, przez Brookside po ślub w Jersey.

- Jak było? - zapytał Will. - Dobrze się bawiłaś z... jak on się nazywa?

- Buckley.

Buckley, który pamięta imię Willa.

Buckley, który powiedział, żeby do niego zadzwonić.

- Tak, bawiliśmy się świetnie - oznajmiłam Willowi. - Ä propos, czy Jimmy Stewart żyje?

- Nie - odpowiedział.

Zauważyłam, że nie zapytał, ä propos czego było to pytanie. Ciekawa jestem, czy w ogóle zwracał uwagę na to, co mówię. Albo na mnie.

I nagle zapragnęłam opowiedzieć mu o naszej, Buckleya i mojej rozmowie o Jimmym Stewarcie. Chciałam, żeby wiedział, jak blisko jesteśmy zaprzyjaźnieni. Do diabła, chciałam, żeby był zazdrosny.

- Jesteś pewien, że nie żyje? - zapytałam Willa.

- Jimmy Stewart? Tak, zmarł kilka lat temu.

- Aha. Bo...

- Jesteśmy na miejscu - przerwał mi Will, gdy wyłoniliśmy się zza zakrętu.

I oto jest. Teatr Valley. Przed budynkami stojącymi z dala od drogi wisi świeżo wymalowany, wypisany ręcznie, drewniany szyld.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Może oryginalnej, krytej gontem, drewnianej konstrukcji albo chociaż jakiegoś art deco z lat trzydziestych z markizą.

Na pewno nie takiego prostokąta z pustaków otoczonego czymś, co przypomina prymitywny supermarket oraz drugiego, podobnie uroczego budynku w typie akademika z wielkiej płyty.

Pewnie powinnam się cieszyć, że nie jest to urocze, wiejskie schronienie, do którego w przyszłości Will będzie tęsknie wzdychał.

Ale myślę teraz, że...

Zostawił Nowy Jork - zostawił mnie - dla takiego czegoś? Zamiast markizy na trawniku przed teatrem stała oszklona gablota, jakie spotyka się przed kościołem albo szkołą. Był w niej plakat z napisem: „Teraz: Niedziela iv arku z George'em”.

- Zdaje się, że ktoś zjadł „p” - powiedziałam.

- Słucham?

- Plakat. P.

- Aha. Tak - Chrząknął wcale nie rozbawiony i przełożył moją torbę na drugie ramię.

Poczułam się zobligowana do przeprosin, że jest taka ciężka. Will poczuł się zobligowany do powtórnego chrząknięcia.

- Dość tu spokojnie - stwierdziłam, gdy zbliżyliśmy się do bursy.

- Zawsze tak jest w soboty. To nasz jedyny wolny dzień. Każdy załatwia sprawy, robi pranie i inne takie rzeczy.

- Tylko mi nie mów, że przeze mnie będziesz przez cały tydzień nosił brudną bieliznę - zażartowałam.

- Nie, ktoś zrobi pranie za mnie.

- Oddałeś rzeczy do pralni?

Zdaje się, że miasto nie jest taką dziurą, jak mi się wydawało. Przed przeprowadzką do Nowego Jorku nie wiedziałam nawet, że można zapłacić komuś, żeby zrobił za ciebie pranie.

- Nie. Znajoma z obsady powiedziała, że może wrzucić moje rzeczy do pralki razem ze swoimi.

- Ach, cóż to za miła znajoma.

Wyobraziłam sobie bieliznę Willa wirującą w zażyłości z czyimiś koronkowymi majtkami - może są to koronkowe majtki Pani Smarowaczki Samoopalaczem.

- Oto teatr - powiedział Will, wskazując budynek z pustaków, który nie był ani supermarketem, ani nie wyglądał na akademik. - A to hotel.

Minęliśmy kilka klombów. Weszliśmy po schodach. Drzwi prowadziły do ciemnego pomieszczenia w rodzaju lobby, które nazwałabym foyer, gdyby było tu przytulniej. W foyer znajduje się ten niesławny automat telefoniczny, a obok niego tablica ogłoszeń z mnóstwem karteczek.

- To tablica ogłoszeń - wyjaśnił Will.

Rany, dobrze, że mi powiedział, bo myślałam, że to ujęcie wody.

- Wszyscy zostawiają tu dla siebie wiadomości - dodał bez potrzeby. - Na przykład, kto dzwonił i takie tam.

Kiwnęłam głową.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedział. Ale już weszliśmy do wielkiej części wypoczynkowej, gdzie dwie skąpo odziane dziewczyny spoglądają na nas z kanapy, na której robią sobie pedikiur.

- Cześć, staruszki - powiedział Will.

Staruszki są bardzo dorodne i noszą malutkie topy z ramiączkami-makaronikami, które obnażają ich wklęsłe brzuchy, oraz szorty w rozmiarze majtek od bikini. Są opalone. Na różowo i z piegami, więc to nie może być sztuczna opalenizna. Najwyraźniej ja jestem jedynym niezdrowo bladym duchem w tym mieście.

Zapamiętać. Wprosić się do nadmorskiego domku Kate. Posmarować się oliwką i leżeć na plaży aż do uzyskania złocistego odcienia.

- Cześć, Wills - powiedziała jedna, z prostymi, ciemnymi włosami i lekko łuszczącym się od słońca nosem.

Wills? Uśmiechnęłam się. Kiedy sprawdzałam to ostatnio, nie był jeszcze dziedzicem brytyjskiego tronu.

Fakt, że mój narzeczony zdobył idiotyczne, królewskie przezwisko, nie jest jedynym, nad którym muszę się zastanowić.

Will powiedział, że na tablicy ogłoszeń ludzie zostawiają sobie informacje o telefonach. Co znaczy, że do automatu można dzwonić z zewnątrz.

Ponieważ Willowi nie odebrano praw telefonicznych, zanim jeszcze tutaj przyjechał, oznacza to, że mnie oszukał. Najwyraźniej można było do niego dzwonić. Jednak on zdecydował, że tego nie chce.

Zawrzałam z wściekłości

A mimo to z dumą donoszę, że zdobyłam się na wesołe, pewne siebie „cześć”, gdy Will przedstawił mnie pedikmrowym księżniczkom, których imiona umknęły mi od razu, gdy tylko stwierdziłam, że żadna z nich nie jest Ósme.

- To Tracey - poinformował je Will.

Nie dodał oczekiwanego - przynajmniej przeze mnie - „moja dziewczyna”. Co wkurzyło mnie jeszcze bardziej. Czy w ogóle komuś o mnie powiedział? Czy może jest tak, jak w „Jedź, pij, wychodź za mąż”, gdzie jego koledzy z pracy traktowali mnie tak, jakbym nagle wyskoczyła jak filip z konopi i zaczęła rościć sobie idiotyczne prawa do bycia stałą dziewczyną Willa.

Padło pytanie skierowane do mnie:

- Jak tam w Nowym Jorku?

Co mnie trochę uspokoiło, bo przynajmniej wiedzą, skąd przyjechałam.

- Gorąco - odparłam.

- Założę się, że tak. Aż nie mogę uwierzyć, że kiedyś byłam taką frajerką, żeby spędzać tam lato - powiedziała dziewczyna, która maluje sobie paznokcie u stóp na elektryzujący błękit, w kontraście do krwistej czerwieni paznokci jej koleżanki.

- Och, nie jest aż tak źle - stwierdził jedyny frajer w pokoju. Mianowicie ja.

- Wiem tylko, że w zeszłym roku miałam raz na sobie sandały, gdy zaczęło padać. Weszłam w kałużę i zaraz potem wylądowałam w szpitalu z paskudną infekcją - oznajmiła Krwistoczerwona, wruszając lekko ramionami.

Will klepnął ją po nagim, opalonym ramieniu i powiedział - wcale nie: „gdzie podziałas kalosze, młoda damo?” - tylko:

- To brzmi nieciekawie. Kiwnęła głową.

- Mało powiedziane.

- Jak już mówiłam, lato w mieście jest paskudne - stwierdziła ze śmiechem Elektryzująco Błękitna.

- Tak, to tylko dla frajerów - wtrąciłam się. Wszyscy spojrzeli na mnie.

Oho, zdaje się, że wyszło bardziej złośliwie, niż zamierzyłam. Właściwie chciałam być złośliwa, ale teraz, gdy zwróciłam na siebie uwagę, dotarło do mnie, że nie ustawiam stosunków z nowymi przyjaciółmi Willa na najlepszej - na wypedikiurowanej, mogłabym dodać - stopie. Więc wzruszyłam tylko ramionami, jakby to był żart, po czym powiedziałam:

- Wierzcie mi, za rok też mnie tam nie będzie. Will, chcę zobaczyć resztę.

Innymi słowy, zabierz mnie jak najdalej od tych dziewczyn, które patrzą na mnie tak, jakby zastanawiały się, dlaczego Will nie porzucił mnie od razu na dworcu-kafejce.

Przeszliśmy do dużej jadalni, na którą składa się kilka metalowych, okrągłych stolików z blatami udającymi drewno. Z tyłu jest kuchnia. Widać tam jakiegoś tyczkowatego dziwaka, który pichci coś na kuchence. Jeśli się nie mylę, to gotuje własne skarpetki. Zdaje się, że nie ma tu nigdzie pralni.

- Robisz znowu kapuśniak, Theodore? - zapytał Will.

- Och, zamknij się, Will - odparł Theodore z takim miękkim zaśpiewem, że od razu się orientuję, iż nie rywalizuje z Willem o względy Esme... jakby nie wystarczyło samo jego imię, złoty kolczyk i podkoszulek z koncertu Barbry Streisand.

- To moja dziewczyna, Tracey - oznajmił Theodore'owi Will.

Theodore odłożył łyżkę, podał mi miękką dłoń i powiedział, że miło mu mnie poznać.

A ja mu powiedziałam, że mnie też jest miło go poznać.

Zauważcie, że Will użył tego przerażającego słowa na „d”, gdy przedstawiał mnie facetowi - niezobowiązująco, ale jednak - a unikał go, zapoznając mnie z dwiema uwodzicielkami.

Gdy wyszliśmy z kuchni, poinformował mnie zrzędlawie, że Theodore ma kłopoty z przewodem pokarmowym i żyje na diecie, na którą składa się zupa z kapusty, której odór przenika cały hotel.

Naturalnie, wybredny Will nie lubi żadnych smrodów - nie lubi nawet myśleć o nich.

Zapamiętać: nie wspominać o niegdysiejszych przypadkach konsumpcji zupy kapuścianej.

Wracając do użycia słowa na „d”: gdy przechodziliśmy przez bursę i zaglądaliśmy do pokoików na piętrze, prowadziłam rejestr na bieżąco. Nie każdemu facetowi przedstawiał mnie jako swoją dziewczynę. Użył tej etykiety jeszcze tylko raz, w stosunku do faceta, który jest wyraźnie bardziej zainteresowany Willem niż mną. Gdy przedstawiał mnie pozostałym dwóm mężczyznom - obaj są bez wątplenia hetero - i trzem dziewczynom, powiedział po prostu, że jestem Tracey. Wszyscy byli uprzejmi.

Powtarzałam sobie, że za dużo się w tym doszukuję. Lecz gdy zeszliśmy z powrotem na dół, nie mogłam się powstrzymać od pytania:

- Jak to możliwe, że nie poznałam Esme?

I mogłabym przysiąc, że nie zmyślam - Will naprawdę był tak zaskoczony, że przełknął ślinę, nim powtórzył niewinnym tonem:

- Esme?

- Tak, tyle się o niej nasłuchałam. Myślałam, że ją poznam. Właściwie nie słyszałam o niej prawie nic.

Lecz do lobby właśnie weszły dwie pedikiurzystki z pokoju wypoczynkowego. Najwyraźniej usłyszały moje pytanie. Spojrzały, na siebie znacząco.

I to wystarczyło, by potwierdzić moje wcześniejsze podejrzenia.

Will kręci z Esme.

- Jest w mieście. Poszła do pralni - wyjaśnił.

- Och, to ona robi ci pranie? - zdobyłam się na pytanie, choć nad moją głową wiruje już chmura hysterii. Istnieje groźba, że opadnie.

- Skąd wiesz?! - wykrzyknął, zaskoczony.

- Biorę lekcje z dedukcji w Learning Annex - zripostowałam.

- Naprawdę? Moja koleżanka z pokoju chodziła na te zajęcia - oświadczyła Krwistoczerwona.

Posłałam jej piorunujące spojrzenie. Nie zauważyła tego. Wymieniła kolejne, długie, znaczące spojrzenie z koleżanką. Przypięłabym im etykietkę lesbijek, gdybym nie przechwyciła tej wymiany spojrzeń i nie zdała sobie sprawy z tego, że jasno one mówią: „Lepiej zwiewajmy, zanim ta bez wątplenia oszukująca samą siebie Tracey zrobi scenę z powodu tego, że Esme pierze bieliznę Willa. Odeszły.

Will oznajmił mi, że pożyczył od kogoś samochód i odwiezie mnie do pensjonatu.

Wziął klucz, który był przypięty do tablicy ogłoszeń razem z kartką, na której było napisane po prostu „Wills”

Wills. O co tu chodzi? Zaczyna mi to działać na nerwy - przede wszystkim dlatego, że jemu to najwyraźniej nie przeszkadza.

Nigdy nie odważyłabym się nazwać go Willsem.

Kiedyś, gdy zaczęliśmy się spotykać, drocząc się, nazwałam go Willy. Był wściekły. Myślałam, że udaje, ale był naprawdę wściekły. Coś jak ja teraz, w związku z telefonem, zdrobnieniem i, owszem, Ósme.

Gdybym mogła przestać o niej myśleć chociaż na chwilę.

Nie. Mam misję do spełnienia.

Zapamiętać: Jak najszybciej odszukać i zniszczyć Ósme.

Will zabrał mnie i mój bagaż na parking za hotelem. Wskoczyliśmy do niewielkiego, poobijanego, zielonego auta. Jestem kiepska w kwestii samochodów, więc nie mam pojęcia, co to za marka i model, ale mogę z całą pewnością stwierdzić, że nie jest to ani mercedes, ani bmw. Nie miałam też wątpliwości, że albo należy do mężczyzny, albo do wyjątkowo niechlujnej kobiety, co oznacza, że mimo zażyłości wystarczającej do pożyczenia Willowi samochodu nie stanowi zagrożenia dla naszego związku.

Zmarszczył nos i przejechał ręką po siedzeniu kierowcy, zanim wsiadł do środka, potem szukał w zaśmieconym schowku chusteczki, którą mógłby przetrzeć zamazaną szybę. Na tylnym siedzeniu wałało się pełno ubrań, scenariuszy, paczek po papierosach i resztek jedzenia. Na podłodze pod moimi nogami leżała sobie poręcznie zapalniczka, a śliczna popielniczka w przednim panelu aż się przelewała od popiołu i niedopałków.

Co oznaczało, że mogłam zapalić bez poczucia winy.

Do chwili, gdy Will podniósł głowę i zapytał:

- Mogłabyś tutaj nie palić, Tracey?
 - Tutaj? - powtórzyłam. - Daj spokój, Will, to fajkowóz.
 - Chodzi o moje gardło - wyjaśnił łagodnie. - Wieczorem gram.
 - Och, przepraszam. - Zgasiłam niedopałek, zrzędząc w duchu. A potem zapytałam: - Jak się udała wczorajsza premiera? Zupełnie zapomniałam cię o to spytać.

- W porządku. Chcę się zatrzymać i kupić miejscową gazetę po drodze do pensjonatu, żeby sprawdzić recenzje. Już powinny się ukazać.

Wydaje się, że zna drogę do pensjonatu całkiem dobrze. Prowadzi bez wahania zielony kosz na śmieci na kółkach po krętych, w większości nie oznaczonych wiejskich drogach. Jezioro wciąż się pojawia. Pokazuje mi różnego rodzaju miejscowe atrakcje położone wzdłuż brzegu.

Nie cierpię faktu, że to miejsce jest mu tak dobrze znane, a mnie obce. Ma tu całe życie beze mnie. Mieszka tu, a ja nie.

Myśl o tym, że za niewiele ponad miesiąc wróci do Nowego Jorku, nie niesie już wcale otuchy. Nie, gdy wiem, że muszę stawić czoło temu, co robił tutaj, gdy byliśmy oddzielnie... a także prawdopodobnie temu, co robił, gdy byliśmy razem.

Zatrzymaliśmy się przed małym rodzinnym sklepikiem, który jest pierwszą tutaj rzeczą naprawdę oryginalną.

Kupiłam trzy paczki papierosów, mrożoną, dietetyczną herbatę o smaku malinowym i najświeższy numer „People”, żeby mieć coś do czytania, gdy Will będzie się przygotowywał do przedstawienia. W tym momencie skończyłam podróżę z Guliwerem na jakiś czas.

Will kupił gazetę zatytułowaną „Lakeside Ledger” i zaczął przerzucać strony, gdy tylko wsiedliśmy z powrotem do samochodu. Znalazł to, czego szukał, gdy ja otworzyłam herbatę.

Dotarło do mnie, że jestem głodna.

- Zatrzymamy się gdzieś na lunch? - zapytałam, myśląc o tym, że musi tu być jakieś miejsce z dobrymi sałatkami.

W końcu to wieś. Świeże warzywa. Sałata z przydomowego ogródka. Czerwone, dojrzałe na słońcu pomidory...

Zaburczało mi w żołądku, który nie dał się oszukać herbatką.

Tłuste frytki z tonami soli, winegretem i keczupem. Podwójny cheeseburger z boczkiem. Czekoladowy shake...

- Will? - szturchnęłam go, słaba z głodu.

- Ciii!

Jest zajęty lekturą recenzji.

Skoro mamy tu tak siedzieć, nie ruszając się z miejsca, to wysiadę i zapalę sobie, żeby trochę stłumić głód. Wysiadłam i zapaliłam.

Gdy tak stałam oparta o auto na zwirowym parkingu i rozglądałam się dookoła, przyglądałam zalesionej okolicy oraz turystom, zaczęłam znowu myśleć o oszustwach Willa. Wyobraziłam go sobie tutaj, nad jeziorem, w świetle księżyca, z jakąś kobietą.

Potem uświadomiłam sobie, że wypaliłam całego papierosa, a Will wciąż siedzi w milczeniu w samochodzie.

- To musi być jakaś cholernie długa recenzja - powiedziałam, gasząc niedopałek w żwirze pod nogami i zaglądając do środka przez otwarte okno samochodu.

Will jest ponury.

Strona z recenzją leży zmięta na podłodze za jego siedzeniem.

Najwyraźniej nie była entuzjastyczna.

- Wszystko w porządku? - zapytałam. Wzruszył ramionami.

- Co napisali?

- Sama przeczytaj. Patrzy prosto przed siebie.

Wskoczyłam z powrotem do samochodu, wyłowiłam recenzję spośród poplamionych keczupem serwetek i poplamionych szminką chusteczek.

„Will McCraw, jako George, stanowi przystojny dodatek do załogi teatru Valley, ale nie wnosi wiele do stawiającej wysokie wymagania roli”.

Och. Nic dziwnego, że jest zły.

Czytam dalej, już szukając słów pociechy.

„Jego bezbarwny występ nie był w stanie uchwycić zagadki, której ucieleśnieniem jest grana przez niego postać, namiętny artysta. Słabemu, nieporadnemu głosowi często brakowało niezbędnej skali. Jednakże olśniewająca Esme Spencer została idealnie obsadzona jako czarująca Dot, która szaleje za opętanym karierą George'em i musi ostatecznie zdecydować, czy nadszedł już czas »Ruszyć do przodu« w najbardziej zapadającej w pamięć piosence spektaklu. O Spencer dobrze świadczy fakt, że zdołała stworzyć spójne i przekonujące romantyczne iskrzenie w swoich scenach z żalonym gogusiem, jakim jest McCraw”.

Czułam się tak, jakby ktoś właśnie wrzucił mi do wanny suszarkę do włosów.

Olśniewająca Esme Spencer.

A więc ona gra główną rolę kobiecą.

A ich romans na scenie był przekonujący.

Nie rób tego.

Tak mi mówi ostrzegawczy głos w głębi ducha.

Jest równie skuteczny, co napis „Tylko stali klienci” na drzwiach toalety w hotelu Grand Hyatt na rogu Czterdziestej Drugiej i Lex.

Odwrociłam się do Willa.

Will jest teraz uosobieniem granej przez siebie postaci - namiętnego artysty.

Skrzyżował ręce na piersi, zacisnął szczęki i patrzy uparcie przez wciąż brudne szyby.

Innymi słowy to prawdopodobnie nie jest najlepsza pora na podnoszenie kwestii naszego związku.

Lecz ja już nie mogę czekać dłużej.

To się zbierało przez ostatnie kilka godzin, od mojego przyjazdu tutaj.

Nie, od kilku dni, od jego telefonu. Odkąd powiedział, że będzie na mnie czekał w barze.

Nie, od kilku tygodni, odkąd wyjechał.

Do diabła, zbierało się od samego początku, odkąd go znam. Biorę głęboki oddech i wyrzucam to w końcu z siebie.

- Will, przykro mi z powodu tej kiepskiej recenzji. Ale to tylko jeden krytyk i co on wie? Rzecz w tym, że dużo myślałam i doszłam do wniosku, że muszę ci zadać kilka pytań. Odpowiedz mi na nie szczerze.

Nawet nie drgnął.

Ciekawa byłam, czy w ogóle mnie słuchał. Ciągnęłam dalej:

- Odniosłam pewne wrażenie, może kompletnie bezpodstawne. Chodzi o to... Może to moja wina... może to przez mój brak pewności siebie i bujną wyobraźnię... ale muszę wiedzieć... Will, czy byłeś mi wierny?

Teraz drgnął.

Nie tylko drgnął, ale odwrócił się w moją stronę wyraźnie wściekły.

- Co? Pytasz mnie o to teraz?

Mój własny gniew wytrysnął natychmiast na powierzchnię. Uprzednio kontrolowany głos przerodził się w pisk.

- A kiedy indziej mam cię zapytać?! Wyjechałeś miesiąc temu. Nigdy nie dzwonicz, więc nie mogę zapytać cię przez telefon!

- Ja nigdy nie dzwonię?

- Kilka razy ci się zdarzyło. W środku nocy. To ma mi wystarczyć? Will, jesteś nie w porządku.

- Ja jestem nie w porządku? - Parsknął pełnym gorzkości śmiechem. - Ty najwyraźniej bawisz się w świętowanie dnia „Kopać leżącego Willa” i to ja jestem nie w porządku?

- Wiem, że to nie najlepsza pora... i powiedziałam ci, że mi przykro z powodu tej cholernej recenzji. Ale, Will, to ważne.

- Tracey, w tym momencie w moim życiu nie ma nic, co byłoby równie ważne, jak to. Nic.

- W tym ja - powiedziałam beznamiętnie, a w środku wszystko mi się skręcało.

Nic nie powiedział, tylko uniósł lekko brodę i spojrzał mi prosto w oczy.

- Zawieź mnie do pensjonatu - wyrzuciłam z siebie, czując napływające łzy.

Zapalił silnik.

Ale nie zawiózł mnie do pensjonatu.

Zaszlochana, z twarzą odwróconą w bok, nic nie widząca, nie zauważyłam, dokąd jedziemy, aż samochód gwałtownie się zatrzymał.

Dworzec autobusowy.

Odwróciłam się do niego z niedowierzaniem.

- Idź - powiedział ze wstrętem.

- Chcesz, żebym wyjechała...?

- Na to wygląda, nie?

- Will...

Ale nie zostało już nic do powiedzenia. Nic do zrobienia. Nic, tylko wyjechać.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy autobus dotarł do Nowego Jorku, padał deszcz. Grzmoty, błyskawice, oberwanie chmury - gorzej być nie mogło.

Zeszłam w głąbie stacji Port Authority. Na wilgotnych, śmierdzących peronach metra kłębił się dezorientowany tłum, a z ryczących głośników płynęły niezrozumiałe, urywane komunikaty.

Zamiast wcisnąć swoją zapłakaną osobę oraz ponadwymiarowy bagaż w ten cuchnący rój ludzki, automatycznie wróciłam na ulicę.

Przeszłam jedną przecznicę, prawie nie widząc, co dzieje się z pogodą.

W głowie szalała mi burza, trzaskały pytania w rodzaju „co by było, gdyby”, oblepiał mnie dojmujący żal, a niedowierzanie przenikało do kości.

Dopiero gdy dotarłam na róg Czterdziestej Drugiej Ulicy i Siódmej Alei, uświadomiłam sobie, że bynajmniej nie jest to sprzyjający przechadzkom letni wieczór.

Otaczała mnie apokaliptyczna rzeczywistość: rynsztoki przypominały wezbrane rzeki, para unosiła się z rozgrzanych chodników, kakofoniczny korek unieruchomił przytopione ulice. Szłam na oślep, dźwigając bagaż i paląc wilgotnego papierosa, dopóki nie zgasiła go ulewa.

Deszcz, który przemoczył moje włosy i ubranie, mieszał się ze łzami płynącymi mi od trzech godzin po twarzy. Piekły mnie policzki, bolała głowa, a w okolicach oczodołów miałam dwie puste dziury.

Przystanąłam na rogu i upuściłam ciężką torbę prosto w ohydny, ciepłą, pełną miejskich zanieczyszczeń kałużę, która utworzyła się dookoła moich stóp przyodzianych w letnie, płaskie buty i sięgała moich odkrytych kostek.

To jest to.

Dotarłam do kresu.

Nie zrobię nawet kroku naprzód. Wszystko mi jedno, co ze mną teraz będzie. A niech mnie zatopi jakaś nieobliczalna taksówka! Będę ją za to błogosławić.

Bo Will odesłał mnie do domu.

Bo Will mnie nienawidzi.

Bo po tym, co się stało, nie ma już szansy na uratowanie naszego związku.

A rzecz w tym...

A właściwie dwie rzeczy.

Pierwsza - że to było nieuniknione.

A druga - że ja wciąż chcę z nim być.

Tak bardzo tego chcę, że przez jedną chorą chwilę powrót na dworzec i złapanie pierwszego autobusu jadącego na północ wydaje mi się jedynym logicznym posunięciem. Może uda się coś naprawić.

Ocieram wierzchem dłoni zapłakane oczy, jak robię to od kilku godzin. Widzę nagle, że cały nadgarstek mam w czarnych smugach od tuszu do rzęs i konturówki.

No i dobrze

W tamtej chwili musiałam wyglądać jak Marilyn Manson. Gdzieś pomiędzy dnem tipadku a szczytem hysterii pojęłam, że powrót do North Mannfield po to, żeby odzyskać miłość Willa, nie jest najlepszym pomysłem. A nawet, że jest to bardzo zły pomysł.

Teraz potrzebuję papierosa.

Papierosa i mocnego drinka.

Papierosa, mocnego drinka i schronienia.

Papierosa, mocnego drinka, schronienia i ramienia, na którym mogłabym się wyplakać.

Potrzeba mi papierosa, drinka, schronienia, ramienia, na którym mogłabym się wyplakać i... I pięciu złotych obrączek. Nie.

To wcale nie było śmieszne, nawet w gorzkim, mrocznym, ironicznym sensie. Ale... Pięć złotych obrączek? Phi.

Jedna złota obrączka? Tak, to by wystarczyło.

A szanse na złotą obrączkę od Willa - kiedykolwiek - są teraz bliskie zeru.

No dobrze. Są zerowe.

Przecież to wiedziałaś, Tracey. Zawsze to wiedziałaś.

Daj spokój, Tracey...

Nie mów, że nie wiedziałaś.

Znowu ruszyłam.

Oddalałam się od centrum.

Bo może to nie koniec.

Może znalazłam się na rozstajnych drogach. Co oznacza, że trzeba wybrać ścieżkę... A ja wybrałam swoją. Może tak naprawdę potrzeba mi teraz... Poza papierosem, drinkiem, schronieniem, ramieniem, na którym mogłabym się wyplakać i złotą obrączką... ...Buckleya O'Hanlona.

Nawet gdyby Kate albo Raphael byli dzisiaj wolni - co jest mało prawdopodobne teraz, gdy na scenie pojawili się Billy i Wade - nie byłam w nastroju na teksty w rodzaju: „A nie mówiłem” albo „Lepiej ci będzie bez niego”, albo „Czy ten tusz nie miał przypadkiem być wodoodporny?”.

Buckley mnie pocieszy i nie będzie zadawać zbyt wielu pytań ani oferować dobrych rad. W odróżnieniu od Kate, dopuści mnie do głosu. Wysłucha mnie w cichy, męski sposób - której to umiejętności nie posiada, niestety, Raphael.

Buckley pozwoli mi palić, pić i płakać, na koniec poczuję się lepiej, a on nie będzie miał nic przeciwko temu.

Wiem to wszystko instynktownie, mimo że jesteśmy zaprzyjaźnieni od niecałego miesiąca, a znamy się w ogóle niewiele dłużej.

Kiedy dotarłam do budynku, w którym mieszka Buckley, przyszło mi do głowy, że powinnam była najpierw zadzwonić.

Nacisnęłam guzik domofonu koło jego nazwiska i czekałam.

Ledwie słyszałam głos Buckleya. Padła jedna gwizdząca, zagadkowa sylaba.

Czyżby był w złym humorze? Czy to tylko domofon zniekształcał?

Wahałam się na tyle długo, aby sobie uświadomić, że już wyrosłam z etapu dzwonienia do drzwi i uciekania. Więc powiedziałam:

- To ja, Tracey.

Włączył się brzęczyk otwierający drzwi.

Pokonałam słabo oświetlony, obdrapany przedsionek i trzy kondygnacje schodów. Na podeście pierwszego piętra zalatywało gotowaną kapustą. Najwyraźniej ktoś pod tym dachem jest na diecie kapuścianej. W budynku takim jak Willa kuchenne zapachy rzadko wydostają się z mieszkań, ale blok Buckleya jest tylko odrobinę lepszy od mojego, a u mnie pod drzwiami sąsiadów zawsze można zgadnąć, co jest u nich na obiad.

Gdy dotarłam na właściwe piętro, Buckley czekał na mnie z wystawioną na korytarz głową.

Był trochę zmięty, a jego szorty i podkoszulek zupełnie nie nadawały się do opisu. Na twarzy dostrzegłam popołudniowy cień zarostu.

- Tracey! Co ty tutaj robisz? Czy masz kolejny atak paniki? Pokręciłam głową. To dziwne, ale nie miałam kolejnego ataku, nawet podczas jazdy autobusem do domu. Teraz odepchnęłam od siebie myśl o tym - żeby przyczajona gdzieś panika nie zaatakowała z opóźnieniem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Buckley. - Boże, jak ty wyglądasz? Jakbyś wpadła do East River.

Dotarłam jakoś do drzwi, otworzyłam usta, żeby mu powiedzieć, co się stało, ale zamiast tego padłam mu z płaczem w ramiona.

Pięć minut później siedziałam na jego łóżku, otulona kocem, że szklanką bourbona z lodem w jednej i świeżo zapalonym papierosem w drugiej ręce. Opowiedziałam mu już całą paskudną historię.

- Wiedziałałam, że mi pomożesz, jeśli do ciebie przyjdę - pociągnęłam nosem
 - Nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić.

- Dobrze, że przyszedłeś - powiedział Buckley, siadając koło mnie z butelką piwa, które najwyraźniej pił, zanim się tu pojawiłam. - Spodziewałem się, że coś w tym rodzaju może się zdarzyć.

- Naprawdę? Kiwnął głową.

- Dlaczego? - Z drzeniem zaciągnęłam się uspokajającym dymem papierosowym. - Nie znasz Willa - powiedziałam, starając się nie dmuchać na Buckleya.

- Dość o nim usłyszałem od ciebie poza tym, pamiętaj, że tak bywa w branży rozrywkowej. Takie rzeczy nigdy nie trwają długo. Popatrz na Bruce'a i Demi, Aleca i Kim, Toma i Nicole.

- Tak, ale Will nie jest gwiazdorem filmowym! - zaprotestowałam - To tylko pieprzone letnie występy. To się nie musiało stać. Och, a tak przy okazji, Jimmy. Stewart nie żyje.

Buckley nawet nie mrugnął okiem. Ani nie zapytał mnie, o czym mówię. Miłe u Buckleya jest to, że człowiek zawsze ma wrażenie, że on wie.

Zalałam się kolejną falą łez.

Buckley klepał mnie po plecach i powtarzał „No, już, już.

To mi naprawdę pomagało.

Aż do chwili, kiedy zadzwonił telefon.

Aż do chwili, kiedy sobie uświadomiłam, że rozmawia z Sonją. Odszedł z telefonem do odległego kąta, starał się mówić ciszej, ale słyszałam dość, żeby się domyślić, że właśnie odwołuje randkę. Byłam na tyle samolubna - a może i zazdrosna - że go nie powstrzymałam.

Kiedy odłożył słuchawkę, zapytałam niewinnie:

- Kto dzwonił?

- Sonja.

- Jest na plaży? - zapytałam z nadzieją, że może się wcześniej pomyliłam.

- Nie. Wróciła wcześniej z powodu pogody. Jutro też ma cały dzień padać.

- Umówiłeś się z nią na dziś wieczór?

- Byliśmy umówieni, ale odwołałem spotkanie. To nic wielkiego. Mieliśmy iść do kina.

- Na co?

- Na Death Dot Com.

- Aha. - Dobrze, że nie miałam wyrzutów sumienia. Sądząc po recenzjach, zrobiłam mu przysługę. Mimo to powiedziałam bez przekonania: - Idź. Ja sobie poradzę.

- Pójdziemy jutro - odpowiedział, wzruszając ramionami.

- W taką paskudną pogodę i tak nie chce się wychodzić. Poza tym nie zostawię cię w potrzebie.

- Naprawdę?

- Pewnie. Miły ze mnie gość.

- To prawda. Miły z ciebie gość - powiedziałam. - Wydawało mi się, że z Willa też, ale...

Ale czy naprawdę uważałam Willa za miłego gościa? Zawsze był tak skupiony na sobie, odległy i niechętny bliższemu związkowi.

- Wiem, że prawdopodobnie musimy zerwać - powiedziałam Buckleyowi, wyskubując kolejną chusteczkę z pudełka, które troskliwie ustawił obok mnie.

- Wiesz, od jakiegoś czasu na to się zanosilo. Więc dlaczego tak się torturuję? Dlaczego czuję się jak po trzęsieniu ziemi?

- Bo to boli nawet wtedy, kiedy wiesz, że zerwanie jest nieuniknione. Ale ten rodzaj bólu jest dobry. Jak gimnastyka. Musisz czuć palenie w mięśniach, żeby się wzmocnić.

Spojrzałam na niego z powątpiewaniem.

Wzruszył ramionami.

- Może teraz bardzo cierpisz i to jeszcze trochę potrwa, ale w ogólnym rozrachunku to będzie najlepsza rzecz, jaka ci się kiedykolwiek przydarzyła, Tracey.

Nic nie odpowiedziałam. Bo przecież się myli.

- Nadejdzie dzień, kiedy będziesz wdzięczna Willowi za to, że z tobą zerwał. Będziesz miała ochotę mu za to podziękować.

- Za zerwanie.

- Za zerwanie.

- Nie obraż się, Buckley, ale jeśli tylko na tyle możesz się zdobyć, to marnie. Mówię tak na wszelki wypadek... Gdybyś myślał, że poprawiasz mi samopoczucie.

- Tracey, ja nie żartuję. - Przysunął twarz bardzo blisko i spojrzał mi prosto w oczy. - Poradzisz sobie z tym. Wszystko będzie dobrze. To najlepsze rozwiązanie.

- Najlepsze rozwiązanie? - Złapałam poduszkę i rzuciłam mu ją w twarz. - Przyszłam tu, bo myślałam, że jesteś jedynym moim przyjacielem, który oszczędzi sobie uwag i pozwoli mi się wypłakać.

- Więc się zamknę i pozwolę ci się wypłakać - powiedział, podkładając sobie poduszkę pod głowę i sięgając po pilota. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym sobie pooglądał telewizję, kiedy ty będziesz płakać, co? Bo cały dzień siedziałem przy komputerze i pisałem artykuł, a teraz mam ochotę na trochę bezmyślnego śmiecia.

Zwinięta w kłębek obok niego płakałam sobie, a on oglądał Battlebots.

Ale łzy w końcu ustały.

I zaczęłam się śmiać z dowcipów Buckleya.

A kiedy poczułam w żołądku miłe ciepło wywołane przez bourbon, zaczęłam się zastanawiać, jak by to było, gdyby Buckley był moim chłopakiem.

- Lepiej się czujesz? - zapytał, rzucając na mnie okiem podczas reklam.

Kiwnęłam głową i zerknęłam na zegarek.

- Trochę. Chyba powinnam się zbierać.

- Nie musisz iść, Tracey. Możesz zostać na noc, jeśli masz ochotę.

- Nie, pójdę.

- Możesz zostać - powtórzył.

- Jeśli zostanę, to chyba powinieneś zrobić mi w łazience miejsce na szczoteczkę do zębów.

- Nie ma sprawy. Mam dużo wolnego miejsca.

- A co z Sonją? - zapytałam. Uniósł brew.

- Co z Sonją?

Zapamiętać: Trzymać język za zębami. Ale Jack Daniels sprawił, że zapytałam:

- Czy jesteście teraz parą, Buckley? Wzruszył ramionami.

- Nie. W każdym razie jeszcze nie. Super.

Oto Buckley, który nie przeczy możliwości nawiązania bliższego związku po kilku randkach, w odróżnieniu od Willa, który nie chce nazywać mnie swoją dziewczyną po trzech wspólnych latach.

- To wspaniale, Buckley - mruknęłam.

- Że nie jest moją dziewczyną? - zapytał i wyglądał na zaskoczzonego.

- Hm? Och, nie to miałam na myśli. Myślałam sobie właśnie, jak to miło, że znalazłeś kogoś po tym wstętnym rozstaniu.

- Właśnie to ci usiłowałem powiedzieć, Tracey - powiedział Buckley. - Że to dobrze, że rozstałaś się z Willem.

- Ale myśmy właściwie nie zerwali - zauważyłam. - Po prostu powiedział mi, żebym wyjechała.

- Więc uważasz, że wciąż jesteście razem? - zapytał.

- Aż do oficjalnego rozstania.

Co prawdopodobnie oznacza chwilę, w której stanę w progu domu i odsłucham automatyczną sekretarkę.

I właśnie dlatego powinnam dziś zostać u Buckleya.

To lepsze niż samotność. Wszystko jest lepsze od samotności. A przynajmniej zawsze tak uważałam. Ale zaczynam się nad tym poważnie zastanawiać.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Mijają tygodnie.

Oto, co się dzieje:

Lipiec przechodzi w sierpień.

Z każdym dniem robi się coraz goręcej i bardziej wilgotno.

Z każdym dniem miasto robi się coraz bardziej zatłoczone, gnijące i niezdrowe.

Kate ma nowego współlokatora. To Billy. Są szalenie zakochani.

Raphael ma nowego współlokatora. To Wade. Oni też są szalenie zakochani.

Buckley regularnie widuje się z Sonją. Jeśli są szalenie zakochani, nie chce nic o tym wiedzieć. Jak dotąd nie przyznał się do tego.

Promieniejąca Brenda wraca z podróży poślubnej.

Promieniejąca Latisha poznaje przystojnego samotnego tatusia, który tak jak ona uwielbia Yankees, i nareszcie każe Antonowi spakować manatki.

Promieniejąca Yvonne rozważa projekt małżeństwa z Thorem, po to, żeby Thor mógł dostać zieloną kartę.

Skołowana Mary Beth i ten podły skunks Vinnie uczestniczą w terapii małżeńskiej i rozmawiają o pogodzeniu się.

A jeśli chodzi o mnie...

Tracę kolejne pięć kilogramów.

Nie mam nastroju na zakupy, ale kupuję parę dżinsów w rozmiarze 10. Tak po prostu. Tylko dlatego, że mogę.

Będę je nosić, kiedy się ochłodzi. Będę je nosić z koszulą włożoną do środka. Tylko dlatego, że mogę.

Nadal czytam Podróże Guliwera.

Walczę z atakami paniki, ale one wciąż mnie nękają.

Mimo to nieustannie wmawiam Buckleyowi, że nie muszę kontaktować się z jego byłym psychoanalitykiem.

Otwieram rachunek i regularnie odkładam pieniądze, dzięki stałej pracy u Milosa.

Załatwiam mnóstwo prywatnych spraw Jake'a, który informuje mnie mimochodem pod koniec sierpnia, że nowy dezodorant - ten, który wystarcza na cały tydzień - będzie się nazywać „Cały tydzień”.

„Cały tydzień”.

Tak.

Taką nazwę wykombinowali.

Po tej wiadomości byłam bliska załamania, ale, o dziwo, wytrzymałam i wciąż jestem na chodzie.

Wytrzymałam, mimo tego, że „Zerwanie, Którego Nie Było...” Jest.

Mówię to, bo Will nie zadzwonił. Ani razu.

Ze wszystkich scenariuszy, jakie sobie wyobrażałam, ten wydawał się najmniej prawdopodobny... i chyba najgorszy, choć wszystkie one nie były tak naprawdę pociągające.

Ale to... Milczenie...

Jest nieznośne.

I nic nie mogę zrobić.

Nic.

Tylko czekać.

Czekać.

Czekać.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Trzydzieści pięć stopni ciepła. Wtorkowy wieczór po Świącie Pracy. Miasto tkwi w fali upału, który nie zelżał przez ostatnie tygodnie. Dałabym się zabić za klimatyzację. Wyjęłam nawet trochę pieniędzy z banku, żeby kupić okienny klimatyzator, ale okazało się, że zabrakło tego sprzętu. We wszystkich sklepach.

A teraz, po nudnej kolacji, na którą złożyły się gotowane na parze brokuły ze stopioną, odtłuszczoną imitacją cheddara, siedzę na kanapie przed bezużytecznym wentylatorem okiennym, soplewam potem i jem deser - jogurt cytrynowy bez tłuszczu, który wcale nie jest specjalnie „kuszący”, wbrew obietnicom na etykiecie.

Próbuję też czytać Podróże Guliwera, oglądając jednocześnie jeden z tych kiepskich, brukowych programów telewizyjnych, którego zadaniem jest kompromitacja kolejnego zadowolonego z siebie, oszukującego hollywoodzkiego męża, który przypomina mi Willa.

Ostatnio wszystko kojarzy mi się z Willem.

Dzwoni telefon.

Ostatnio z Willem kojarzy mi się wszystko, z wyjątkiem dzwoniącego telefonu.

Właśnie dlatego dawno już przestałam się spodziewać, że to może być on.

Wyłączam dźwięk w telewizorze, zaznaczam stronę w książce. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek przebrnę przez tych cholernych Liliputów i czy akcja w końcu ruszy z miejsca.

Podnoszę słuchawkę.

- Halo?

Ocieram kroplę potu z boku nosa. Po drugiej stronie słuchawki panuje cisza. Co znaczy, że to jeszcze jeden elektroniczny telefon reklamowy.

Mój kiepski nastrój pogarsza się jeszcze bardziej. Lecz głos po drugiej stronie nie należy do komputera. Należy do Willa.

I ten głos mówi tylko moje imię. Niepewnie. A ja mówię tylko jego imię. Z niedowierzaniem. Teraz znowu jego kolej.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłem - mówi nijako. Nie żartuję.

Właśnie to mówi.

Po trzech latach razem i lecie spędzonym oddzielnie...

Po jednym przelotnym spotkaniu, które skończyło się, kiedy kazał mi wsiąść do autobusu i wrócić, skąd przyjechałam, czy co on tam wtedy powiedział...

Po pozbawieniu mnie po tym wszystkim tego jednego telefonu, który byłby oficjalnym zerwaniem...

On mówi właśnie to.

Nijako.

- Przepraszasz, że nie zadzwoniłeś? -powtarzam jego słowa.

- Musimy porozmawiać. Mówi serio?

Mam ochotę rzucić się na niego na oślep z pięściami, ale nie daje mi szansy.

- Wróciłem wczoraj wieczorem do miasta. Mogłabyś przyjść do mnie? - chce wiedzieć.

- Teraz?

- Nie. Jutro.

- Pracuję - stwierdzam wrednym tonem zarezerwowanym dla zajętych sobą aktorów, którzy nie przyjmują do wiadomości, że normalni ludzie pracują od dziewiątej do piątej - i którzy porzucają swoje dziewczyny, wyjeżdżając na letnie występy.

- Więc jutro wieczorem? - pyta Will. Me.

Nie jutro wieczorem. Nigdy.

Koniec z nami.

To właśnie powinnam powiedzieć. A oto, co mówię:

- Dobrze.

- Możesz przyjść o siódmej?

- Dobrze. Cholera, znowu.

- To świetnie. - Will oddycha z ulgą, a ja zdaję sobie sprawę z tego, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

To powinno mnie pocieszyć, ale nie pociesza, bo ja też wstrzymywałam oddech. Przez cały czas naszej rozmowy...

I przez całe sześć tygodni, odkąd wyjechałam z North Mannfield.

- To do zobaczenia. - Odkładałam słuchawkę. I oddycham z ulgą.

Zapalam z drzeniem papierosa. Wykręcłam numer Buckleya.

- Co nowego? - pyta, gdy słyszy, że to ja.

Pół godziny temu skończyliśmy naszą rytualną, wieczorną rozmowę.

- Will dzwonił - chrypię.

- Will dzwonił?

- Chce, żebyśmy przyszła do niego jutro wieczorem.

- Powiedziałaś mu, żeby się odpieprzył?

- Tak. Pauza.

- Nie powiedziałaś, prawda? - mówi Buckley bezosobowym tonem.

- Nie.
 - A co powiedziałaś?
 - Powiedziałam, że przyjdę o siódmej.
 - Tracey...
 - Co? Myślisz, że będę tą porzuconą, tak?
 - Nie. Myślę, że będzie cię próbował przekonać, żebyś do niego wróciła.
 - Och, proszę cię.
- Śmieję się z goryczą i niedowierzaniem.

Ale wewnątrznie, w zimnych, delikatnych zakątkach mojego znużonego serca, coś trzepocze. Nadzieja. Buckley uważa, że jest nadzieja.

- Jeśli będzie próbował cię ubłagać, żebyś dała mu jeszcze jedną szansę, bądź silna, Tracey. Powiedz mu, jak bardzo cię zranił.

- Nic się nie martw. Tak zrobię.
- Nie poddawaj się.
- Zaufaj mi.

Ale sama sobie nie ufam. Jeśli Will będzie mnie błagał, żebym do niego wróciła... cóż, nie mam wątpliwości, co powiem czy zrobię.

A jeśli obieca, że się zmieni?

- Nie wierz mu, jeśli obieca, że się zmieni - radzi Buckley, czytając w moich myślach.

- Nie uwierzę.
- Bo nikt nie może się zmienić.
- Zgadza się.

Ale czy na pewno?

Na pewno? Czy to prawda, że nie można się zmienić?

Popatrzcie na mnie. Zmieniłam się. Straciłam na wadze. Odłożyłam pieniądze. Pozbyłam się niepotrzebnych rzeczy. Czytam klasykę.

Lecz wbrew temu wszystkiemu wciąż jestem tą samą osobą. Niepewną siebie i przestraszona.

Czego ja się tak boję?

Samotności.

Tego się boję.

- Tracey?
- Tak?
- Milczysz. Chciałem się upewnić, że wciąż tam jesteś.
- Jestem.
- Myślisz o tym, żeby pogodzić się z Willem, prawda?

- Nie! - mówię, jakby sugerował, że myślę o tym, żeby wjechać na taras Empire State Building i skoczyć w dół.

- Chcę, żebyś zaraz po wyjściu jutro od Willa przyszła prosto do mnie, Tracey - mówi Buckley.

- Po co?

- Bo chcę, żebyś spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała, że go rzuciłaś. Że skończyłaś z nim na dobre. Jeśli za chwilę będziesz musiała opowiedzieć mi, co zrobiłaś, nie ugniesz się tak łatwo.

Tak uważa.

Gdy jestem z Willem, ciężko mi myśleć o konsekwencjach.

- Dobrze, przyjdę do ciebie - uspokajam Buckleya.

- O której spotykasz się z Willem?

- O siódmej.

- W takim razie czekam na ciebie o wpół do ósmej.

- Buckley! O wpół do ósmej? Daj spokój.

- Ile czasu trzeba, żeby kogoś rzucić i przejść kilka przecznic?

- Przyjdę, kiedy będę mogła.

- Dobrze. Będę czekał. Dasz radę, Tracey. I pewnie dam.

Ze względu na Buckleya. Ze względu na siebie.

Byłoby łatwiej, gdybym miała jakąś gwarancję, że jeśli rzucę Willa, znajdę sobie kogoś innego. I nie będę sama przez resztę życia. Spotkam kogoś wspaniałego, wyjdę za mąż, będę miała dzieci, będę żyła długo i szczęśliwie.

Gdybym wiedziała, że to wszystko mnie czeka.

To mogłabym rzucić Willa.

- Będiesz kiedyś za to wdzięczna, Tracey - mówi Buckley - już jestem wdzięczna, Buckley. Wspaniały z ciebie przyjaciel.

- Nie mnie. Wdzięczna Willowi. Za to, że był dupkiem i zrezygnował z ciebie.

To mówił już wcześniej. Że zniszczenie naszego związku przez Willa to najlepsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła.

Chciałabym w to uwierzyć.

- Muszę kończyć - mówię Buckleyowi. - Powinnam zadbać o urodę i przespać się trochę przed jutrzejszym spotkaniem z Willem.

- Tracey... - mówi ostrzegawczym tonem.

- Tylko po to, żeby mu pokazać, co traci - obiecuję.

- Ludzie tacy jak Will nigdy nie mają świadomości, że coś tracą - mówi Buckley. - Nie w chwili, gdy to tracą. A czasami nigdy.

- To straszne.

- Tak. Ale pomyśl tylko, Tracey. Na świecie jest pełno ludzi, którzy nie są tacy jak Will. A kiedy będziesz wolna, wcześniej czy później trafisz na jednego z nich.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Bo ja nie chcę być sama.

- Nie będziesz. Nie na zawsze.

Jego słowa wcale nie przynoszą mi spodziewanej ulgi. Bo ja nie chcę być sama nawet przez chwilę.

Może - rozumiem irracjonalnie - kiedy Will i ja ze sobą zerwiemy, Buckley i ja się w sobie zakochamy.

W końcu nigdy nie wiadomo.

I dlatego właśnie pójdę jutro do Willa otwarta na wszystko. Zamierzam wysłuchać, co ma mi do powiedzenia. I jeśli mi się to nie spodoba, rzucę go.

A jeśli mi się spodoba...

Cóż, tak jak już mówiłam.

Nigdy nie wiadomo.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Następnego dnia podczas przerwy obiadowej kupuję w Bloomingdales wszystko, co potrzebne na wieczorne wyjście.

Obcisłe body z jedwabiu i koronki zapinane w kroku na napy. Letnią sukienkę mini w typie małej czarnej. Robi wrażenie, choć była przeceniona o połowę. Wyglądam w niej na jeszcze szczuplejszą niż w rzeczywistości, a paragonu z ceną nie muszę przecież nikomu pokazywać. Czarne pantofle bez pięt na dość wysokich obcasach sprawiają, że moje nogi wyglądają na dłuższe i szczuplejsze.

Tak, kupiłam wyłącznie czarne rzeczy.

A czego się spodziewaliście? Czarny wyszczupła.

Chociaż - nie jestem już tak uzależniona od czerni jak kiedyś.

I ledwo się powstrzymałam przed stoiskiem z obcisłymi sweterkami w jaskrawych kolorach, których, zgodnie z przewidywaniami Raphaela, wszędzie jest pełno.

Na razie jest taki cholerny upał, że nie warto zawracać sobie głowy myślą o swetrach.

Poza tym nie mam odwagi nosić kolorowych rzeczy. Jeszcze nie.

Po powrocie do biura przygotowuję materiały do nowej prezentacji firmy, którą Jake ma jutro przeprowadzić w Chicago. Wylatuje o szóstej z La Guardii, więc nie ma mowy, żebym dziś utknęła w biurze, co mi się ostatnio coraz częściej zdarzało.

Tuż po piątej do mojego boksu zagląda Latisha.

- Zmywam się, Tracey - mówi. - Powodzenia wieczorem.

- Dziękuję. Życz mi szczęścia.

- Bądź dzielna.

- Obiecuję.

Za nią pojawia się Brenda w kostiumie i sportowych butach, z wielką torbą i walkmanem.

- Ja też spadam - mówi. - Paulie czeka na faszerowane jajka, które obiecałam mu zrobić.

Faszerowane jajka? O Boże, kiedy ostatnio jadłam faszerowane jajka?

Burczy mi w brzuchu. Nie jadłam dzisiaj obiadu. Śniadanie też sobie darowałam. Muszę wyglądać szczupło w mojej obcisłej sukience.

- Pamiętaj, Tracey - mówi Brenda. - Jeśli zaczniesz błagać, żebyś z nim została, masz sobie przypomnieć, ile przez niego wycierpiałas.

- Tak zrobię - przyrzekam uroczyście.

Słyszę szum aerozolu, a potem nad ścianką oddzielającą nasze boksy pojawia się nastroszona, malinowa czupryna Yvonne.

- Rób, co chcesz - mówi z lekką chrypką - ale rzuć w końcu tego drania.

- Tak zrobię. - Przyglądam się całej trójce. - Dziewczyny - dodaję, widząc, że nie do końca ufają moim słowom. - Tak zrobię. Rzucę go.

- Łatwo powiedzieć - wtrąca Latisha. - Kiedy postanowiłam dać kopa Antonowi, zupełnie się między nami nie układało, a mimo to z trudem wytrwałam, kiedy błagał, żebym mu pozwoliła wrócić.

- Ja się nie poddam - obiecuję, wyłączając komputer. - Jutro wrócę tutaj jako wolna kobieta.

Brenda patrzy na zegarek.

- Do spotkania z Willem masz sporo czasu. Co planujesz?

- Pójdę do łazienki i zrobię się na bóstwo. - Wysuwam dolną szufladę i pokazuję im kosmetyczkę i wałki wrzucone tam rano.

Cała trójka życzy mi szczęścia, ściska i znika.

A ja idę do łazienki z kosmetyczką, wałkami i torbami z zakupami, w których kryją się nowe ciuchy.

Blisko godzinę później wracam do mojej przegródki ze świadomością, że nigdy w życiu nie wyglądałam lepiej niż teraz. Nieważne, co mnie czeka, przynajmniej...

- Tracey? Dobrze. Byłem pewien, że jeszcze nie wyszłaś. Zobaczyłem twoją torbę za drzwiami.

- Jake? - Odwracam się i widzę, że patrzy na mnie zniecierpliwiony. - Chyba powinieneś być już na lotnisku.

- Zmieniłem plany. Lecę dopiero jutro rano. - Przeczesuje dłonią sztywne włosy. Najwyraźniej to nie jest jego dzień. - Musimy popracować.

Czuję ucisk w żołądku.

- My?

- Trzeba przerobić cały schemat prezentacji. Nasi kreatywni mają nowy pomysł.

- Teraz?

Kiwa energicznie głową i rzuca na moje biurko plik żółtych kartek.

- To pierwsza część nowej propozycji. Zaczynij przepisywać. Zaczynij przepisywać.

Chodzi o sposób, w jaki on to mówi. Nie, nie tylko to.

Chodzi o to, że zmusza mnie do robienia rzeczy, które powinien robić sam. Żaden z pozostałych asystentów osobistych nie przepisuje tyle, co ja. Ich szefowie mają własne komputery i sami piszą swoje dokumenty.

Ale nie Jake.

- Co robisz? - pyta Jake.

- Zastanawiam się nad czymś - wypalam.

- Nie ma na to czasu. Znosi się na długi wieczór. Zabieraj się do pracy.

Mandat za złe parkowanie.

Wędka.

Monicjue.

Czekoladki.

- Czemu, do cholery, jeszcze stoisz? Dość.

- Nie mogę zostać - mówię mu.

- Co chcesz przez to powiedzieć, że nie możesz zostać?

- Jestem dziś umówiona. Nie mogę zostać w pracy po godzinach.

- Nie masz wyboru. Musisz to teraz przepisać.

- Nie, nie muszę, Jake. Możesz to zrobić sam.

- Moja praca nie polega na przepisywaniu, Tracey. Twoja tak.

- Już nie - atakuję. - Odchodzę.

- Odchodzisz?

Nie chce mi się nawet odpowiadać. Zabieram rzeczy i wychodzę.

Na parnej ulicy wtapiam się w tłum ludzi powracających z pracy do domów.

Co teraz?

Właśnie rzuciłam pracę. Co ja sobie myślałam? A co to za różnica? Czuję się dziwnie lekka. Dziwnie wolna. Będę się martwić później.

W tej chwili do spotkania z Willem została godzina.

Jeśli pójde na piechotę, to stanę na progu jego mieszkania jak spocona kupka nieszczęścia.

Zakładam, że złapanie taksówki zajmie mi wieki, ale i tak mam za dużo czasu.

Jak na ironię taksówkę łapię niemal natychmiast.

Pięć minut później wysiadam przecnicę od budynku, w którym mieszka Will.

Co teraz?

Mogłabym pójść do klimatyzowanego mieszkania Buckleya i posiedzieć z nim, aż nadejdzie odpowiednia pora.

Albo mogłabym zaszyć się w małym, klimatyzowanym pubie po drugiej stronie ulicy, napić się czegoś i zapalić papierosa, żeby uspokoić rozszalałe nerwy. Decyduję się na to ostatnie wyjście.

Papierosy i kieliszek wina rzeczywiście mnie uspokajają. Wypite na pusty żołądek wino sprawia również, że nabieram odwagi.

Flirtuje ze mną kilku przystojnych gości w garniturach.

Chcą postawić mi kolejny kieliszek wina, ale mam kaprys im odmówić. Powtarzam sobie, że jak już rzucę Willa, to będę miała mnóstwo okazji do przyjmowania kieliszków wina od przystojnych biznesmenów.

Powtarzam to sobie, żeby w to uwierzyć.

I wierzę.

Prawie.

Może nie zawsze będę sama, myślę, opuszczając bar i ruszając do Willa dokładnie w odpowiednim momencie. Zapalam jeszcze jednego papierosa, bo przypominam sobie, że u niego nie będę mogła palić.

Mam na sobie swoją czarną mini, czarne buty na wysokich obcasach i czarne okulary przeciwsłoneczne. Kilku mężczyzn ogląda się za mną. Dwóch robotników z budowy na rogu, którzy jasno i nieprzyzwoicie dają do zrozumienia, że wyglądam dobrze, rozprasza moje ostatnie wątpliwości.

Dochodzę do wniosku, że gdy tylko Will na mnie spojrzy, to będę górami.

Jeśli chcę go rzucić, to mogę go rzucić.

Ale jeśli chcę z nim zostać...

Cóż, wtedy Buckley mnie zabije.

Tak samo, jak reszta przyjaciół.

Ale może nie muszę zostawać z nim na dobre.

Może mogłabym zatrzymać go tylko na chwilkę.

Albo nawet tylko na dziś.

Bo rzecz w tym, że chcę, aby patrzył na mnie tak, jak patrzą ci napaleni faceci na ulicy. Po trzech latach strachu, że dla Willa nigdy nie jestem dość atrakcyjna, chcę zobaczyć w jego oczach pożądanie.

Chcę, żeby zobaczył mnie w tej minisukience. Chcę, żeby zdjął ze mnie tę minisukienkę i zobaczył mnie w body.

Chcę, żeby zdjął ze mnie body i zobaczył mnie. W całej okazałości. Mnie bez trzęsących się ud, bioder i brzucha, bez cellulitisu, obwisłych piersi i sflaczałego brzucha.

I, do diabła, powiem to głośno.

Po trzech miesiącach celibatu po prostu go pragnę.

Jestem już przy jego budynku. Biorę głęboki, oczyszczający oddech.

A potem wpadam do lobby.

- Tak? W czym mogę pani pomóc? - James, portier, mnie nie poznaje.

To mi pochlebia aż do chwili, gdy mu się przedstawiam, a on mnie nadal nie poznaje. Przypomnam sobie, że nigdy nie zrobił wysiłku, żeby zapamiętać moje imię. Zdaje się, że byłam dla niego niewidzialna.

James łączy się z mieszkaniem Willa, mówi, że przyszedłam, i wysyła mnie na górę.

Wchodzę do znajomej windy wyłożonej lustrami i naciskam guzik. Sprawdzam swoje odbicie, nie przejmując się tym, że prawdopodobnie kamery rejestrują moje wdzięczenie się. Wyglądam świetnie.

Will nie czeka na mnie w drzwiach, nie wygląda na korytarz, jak zawsze robi Buckley.

Z bijącym sercem stukam do drzwi. Robi mi się niedobrze. Jestem strzępką nerwów. To tyle w kwestii wina. Jedyńm jego efektem jest dotkliwa potrzeba odwiedzenia toalety.

Mimo że Will wie od Jamesa, iż jadę na górę, nie otwiera drzwi przez dobrą minutę.

Nie dziwi mnie to.

Ale też nie pozwalam sobie traktować tego jako znak. Gdy drzwi się w końcu otwierają, staje w nich Will i wygląda wspaniale. Opalony, wysportowany, zdrowy, z ciemnymi włosami rozjaśnionymi słońcem. Ma na sobie szorty khaki i kremowozółtą koszulkę polo, włożoną do środka.

Lecz ja też wyglądam wspaniale, zwracam sobie w myślach uwagę.

Lustruje mnie od stóp do głów. Zauważa. Cóż, jak mógłby nie zauważyć?

- Straciłaś na wadze - stwierdza.

- Tak.

Jakieś dwadzieścia kilo.

- Dobrze wyglądasz. Dobrze.

Nie - pięknie.

Nawet nie - świetnie.

Znowu jestem na niego wściekła.

- Wejdz.

Przytrzymuje mi drzwi. Nie przytulamy się. Prześlizguję się obok niego. To boli.

Spodziewałam się, że będzie bolało, ale może nie doceniłam rozmiaru cierpienia.

Bycie tu, w tym znajomym mieszkaniu, i świadomość, że to być może ostatni raz, jest czystą agonią. Może już nigdy więcej nie zobaczę Willa.

- Przygotowałem drinki - mówi Will.

- Naprawdę? Może się mylę.

Może planuje romantyczny wieczór. Kiwa głową.

- Dżin z tonikiem. Lubisz dżin z tonikiem, zgadza się?

- Tak.

Idzie do kuchni, bierze dwie szklanki z bufetu i podaje mi jedną z nich. Natychmiast pociągam łyk. A potem odstawiam szklankę na ławę.

- Muszę iść do łazienki.

- Znasz drogę.

Tak, znam drogę. Znam całe mieszkanie. Wszystko jest tak, jak było. Nerissa nie rozpanoszyła się w jego pokoju. Nie utrudniła mu powrotu, nie zrobiła nic, żeby Will nabrał ochoty, żeby się stąd wynieść i wprowadzić do mnie.

Ale po tym, co się zdarzyło, nie ma na to najmniejszej szansy. Lecz mimo to idę do łazienki. Myję ręce.

Przyglądam się swojej twarzy w lustrze. Przypominam sobie, że mam być dzielna. Przypominam sobie, że przyszedłam tu, by rzucić Willa. Przypominam sobie, iż wszystkim obiecałam, że go rzucę. A potem przypominam sobie, że nawet jeśli się z nim prześpię, zanim go rzucę, to nie będzie w tym nic złego. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Prawda jest taka, że wbrew wszystkiemu Will mnie pociąga. Nie mogę powstrzymać się od myśli, że może przypadkiem źle go oceniłam. Może mnie nie oszukiwał. Może to moja wina. Może byłam zbyt niepewna. Może doszukuję się w naszym związku rzeczy, które nie istnieją - tak samo jak w związkach Willa z innymi kobietami. Może rzuciłam na niego bezpodstawne oskarżenie.

Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wydaje się to prawdopodobne.

I uważam, że jeśli poprosi mnie o drugą szansę, powinnam mu ją dać.

Wychodzę z łazienki.

Biorę z powrotem szklankę.

- Usiądź - mówi Will, który siedzi na kanapie. Klepie poduszkę koło siebie. Nie za blisko. Siadam.

Nie za blisko. Sączymy drinki.

- Przepraszam.

Można by się spodziewać, biorąc pod uwagę okoliczności, że to powiedział Will.

I można by się w ten sposób smutno pomylić.

Nigdy nie przestanę się zaskakiwać. Bo to ja to powiedziałam. Powiedziałam do Willa:

- Przepraszam. Will patrzy na mnie.

Można by się spodziewać, że będzie zaskoczony. Można by się spodziewać, że odpowie przeprosinami. Druga smutna pomyłka.

Will nic nie mówi. Tylko czeka, żebym ciągnęła dalej.

Co, naturalnie, robię. Bo nie mogę znieść milczenia. Bo chcę, żeby wiedział, że interpretuję wątpliwości na jego korzyść.

- Nie miałam zamiaru wywołać takiego zamieszania, kiedy do ciebie jechałam, Will - mówię mu pomiędzy jednym łykiem dżinu a drugim.

- Kiepską sobie wybrałaś porę, Tracę - potwierdza.

- Nie powinnam o tym rozmawiać po tej koszarnej recenzji... och, jak przedstawienie? - przypominam sobie, że należy o to zapytać.

- W porządku.

Z jego miny wnioskuję, że nie ma ochoty o tym mówić.

- To wszystko dlatego, że przez całe lato byłeś tak daleko, a mnie zaczęły męczyć szalone myśli. Wyobraziłam sobie, że mnie zdradzasz.

Will nic nie mówi. Słucha.

Więc ja, oczywiście, mówię dalej. I piję dalej.

Piję, bo jestem zdenerwowana, bo chce mi się pić, bo nie mogę zapalić, niech diabli porwą Nerisę.

- Zaczęłam sobie wmawiać różne rzeczy - mówię Willowi. - Byłam pewna, że miałeś romans z Zoe z „Jedź, pij, wychodź za mąż”.

Will nic nie mówi.

Moim zdaniem to zły znak.

- A potem, kiedy usłyszałam, jak mówisz o Esme... i gdy przeczytałam w recenzji, jak bardzo przekonujący był wasz romans na scenie.

- Jestem aktorem - stwierdza surowo Will. - A ona aktorką. Lepiej zrobisz, jeśli darujesz sobie zazdrość o to, co się dzieje między mną a jakąś kobietą na scenie, Tracey.

- Wiem. I przepraszam. Ja tylko. Lecz zaczynam mu się przyglądać. Dostrzegam coś w jego oczach.

Coś, co każe mi zapytać, tak dla pewności.

- Więc ty i Esme nigdy? Nie odpowiada.

Juz wiem.

To nie było dzieło mojej wyobraźni.

Nic nigdy nie było dziełem mojej wyobraźni.

- Spałeś z Esme? - pytam drżącym głosem. Kiwa głową.

To nie może się dziać naprawdę.

Wiedziałam to od samego początku, a jednak nie wiedziałam.

- Ale dopiero po twojej wizycie - mówi szybko Will obronnym tonem. - Staralem się trzymać od niej z daleka, dopóki nie będę miał okazji, żeby ci powiedzieć - żeby co mi powiedzieć? - wtrącam, czując, że miesza mi się w głowie. Jestem zaskoczona, że w ogóle mogę prowadzić rozmowę. - Chcesz powiedzieć, że zaprosiłeś mnie, żeby mi zakomunikować, że chcesz się spotykać z innymi?

- Nie mogłem ci tego powiedzieć przez telefon. Jest smutny i szlachetny.

A ja zapomnam języka w gębie. Jestem wstrząśnięta i pełna żalu.

- Ale po twoim wyjeździe. Byłem wściekły, Tracey. Zraniłaś mnie. Nie mogłem uwierzyć, że potraktowałaś mnie w taki sposób. Doszedłem do wniosku, że oboje wiemy, że to koniec.

- Nigdy do mnie nie zadzwoniłeś - mówię przez łzy.

- Wiem. I przepraszam. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie chciałem robić tego przez telefon.

- Więc robisz to teraz. Osobiście. Wzrusza ramionami.

Nie mogę pozwolić, żeby to się stało.

Nie mogę pozwolić, żeby mnie rzucił.

Szaleję. To mi się jakoś wymknęło spod kontroli.

To ja miałam być tą, która go rzuci. Ale dopiero wtedy, kiedy pójdziemy do łóżka. Bo to jedyna szansa, żeby zobaczył nową mnie. Może zmieni zdanie.

A jeśli nie...

Cóż, to może być moja ostatnia szansa na seks. Z kimkolwiek. Kiedykolwiek.

- Will, nie rób tego - słyszę swoje słowa.

- Nie mam wyboru, Tracey. Esme i ja... cóż, łączy nas więcej.

- Esme? Jesteście razem? Kiwa głową.

- Tu, w Nowym Jorku? Znowu potakuje.

- Esme w wolnych chwilach pracuje dla firmy dużo większej niż „Jedź, pij, wychodź za mąż” Milosa. Obsługują imprezy, na których bywa więcej sławnych ludzi. To świetny sposób na wejście w środowisko. Esme załatwia tam pracę dla mnie.

Nie do wiary. On rzuca nie tylko mnie. Rzuca też Milosa.

Jak to możliwe? Co z nim jest nie tak?

Co jest ze mną nie tak?

Co jest z Milosem?

Dlaczego nie wystarczamy Willowi?

Dotyka mojego ramienia, ale odskakuję gwałtownie.

- Czy tylko z Esme...? Waha się.

Boże. Ten ból jest nie do zniesienia.

- Z Zoe też? - pytam.

- Tylko raz - przyznaje się. - Ale to nie miało znaczenia. Inaczej niż w przypadku Esme.

- Z Zoe tylko raz - powtarzam, nie kryjąc się już ze łzami. - Czy poszedłeś z nią na Flight of Fancy?

- A co to ma do rzeczy?

- Poszedłeś?! Wzrusza ramionami.

- Pieprzę cię, Will! - wrzeszczę. A potem pytam: - Kto jeszcze? Z kim jeszcze?!

- Daj spokój, Tracey.

- Z kim jeszcze?

- Tonie ma znaczenia. Ty i ja do siebie nie pasujemy. Zawsze chciałaś ode mnie więcej, niż mogłem ci dać. Nigdy nie dostrzegłaś, jaki jestem naprawdę. Chcesz kogoś, kto by cię kochał, ożenił się z tobą i założył dom. Ja nie mógłbym ci tego dać.

- Nigdy cię o nic takiego nie prosiłam!

- A jednak. Za każdym razem, gdy na mnie patrzyłaś, widziałem, że o tym myślisz. Nie mogłem znieść tej presji, Tracey. To nie fair w stosunku do mnie. W stosunku do ciebie też nie.

- Nienawidzę cię! - Histeria sprawia, że mój głos staje się ostry, drapie mnie w gardle, kiedy z wysiłkiem wyduszam z siebie słowa. - Nienawidzę cię! Wykorzystałaś mnie!

- Nigdy cię nie wykorzystywałem.

- Ależ owszem, tak. Cały czas karmiłam twoje ego. Trzymałaś mnie pod ręką, bo uwielbiałam cię do szaleństwa, tak samo, jak uwielbiasz siebie ty sam.

Boże.

Jestem jak Mary Beth. Jak mogłam tego wcześniej nie dostrzec? Jestem jak Mary Beth, z wyjątkiem kwestii domu, separacji i dzieci.

Ona ma przynajmniej to.

A ja nie mam nic.

Will zostawia mnie z niczym.

- Tracey, przestań - mówi ze znużeniem. - To nie ma sensu. Wsadzę cię do taksówki i...

- Nie, nie wsadzisz - wtrącam, odstawiając pustą szklanę na stół.

Wyjdę stąd z podniesioną głową. Wyjdę stąd sama.

I, do diabła, będzie mi samej świetnie.

Bo go nie potrzebuję.

Wstaję.

Robię krok.

Tylko jeden krok.

A potem świat dookoła zamienia się w karuzelę i zapada w ciemność.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Zimno.

Dlaczego jest tak zimno?

Grzebię po omacku w poszukiwaniu koca i znajduję go koło nóg.

Otulam się nim i wolno otwieram oczy. Jest rano.

Słońce wlewa się przez okna mojego mieszkania. Towarzyszy mu chłodny wietrzyk, który poruszałyby zasłonami, gdybym je miała. Ale ja nie mam zasłon.

Bo mieszkam tu tylko czasowo.

Spoglądam na zegarek.

Jest prawie południe.

Jaki to dzień? Czwartek?

Co z pracą?

Przypominam sobie nagle poprzedni dzień. Rzuciłam pracę. Sprawdzam, czy tego żałuję. Nie żałuję.

Mam poczucie, że jestem wolna.

Wolna...

Will.

Wspomnienia ostatniego wieczoru atakują jak seryjny zabójca, który wyskakuje z szafy w kiepskim thrillerze.

Przypominam sobie, jak się ocknęłam, oszołomiona, na podłodze u Willa, który stał nade mną ze zmartwioną miną.

- Straciłaś przytomność - poinformował mnie. Straciłam przytomność.

Czy to dlatego, że piłam alkohol na pusty żołądek? A może dlatego, że poznałam uczucie czystej grozy w związku z tym, co się działo?

Nadal tego nie wiem.

- Dobrze się czujesz? - pyta zatroskany Will. Mówię mu, że tak.

Ale to nieprawda.

Nie w tamtym momencie.

Nie wtedy, gdy sprowadził mnie pod rękę do holu, przed oczy zaintrygowanego Jamesa, który wezwał taksówkę. Will pojechał ze mną. Upierał się przy tym.

Więc ostatecznie pożegnaliśmy się przy tykającym liczniku.

- Nie traćmy kontaktu - powiedział Will. Nic nie odpowiedziałam.

Więc.

Czy czuję się dobrze? Rozglądam się po mieszkaniu. Nie ma tu zasłon. A powinny być.

Podróże Guliwera wystają z torby, która leży przy samych drzwiach, tam, gdzie ją porzuciłam.

Moje nowe ciuchy leżą rzucone na stertę obok materaca.

Słuchawka telefonu jest zdjęta z widełek. Zrobiłam to wczoraj wieczorem, bo nie miałam ochoty na rozmowę z Buckleyem.

Wstaję z łóżka i postanawiam, że później do niego zadzwonię.

Przeszywa mnie dreszcz.

Świta mi w głowie, że ogrzewanie musiało się zepsuć. Wyglądam na ulicę. Widać przechodniów. Samochody. Życie pod moim oknem toczy się normalnie. Od teraz życie będzie się toczyło normalnie. Bez względu na wszystko. Bez Willa.

Będę sama.

Serce zaczyna mi łomotać. Zbliża się atak paniki. O, Boże.

Lecz tym razem wiem, co powinnam zrobić. Czekam.

Czekam, aż minie.

Chodzę tam i z powrotem po mieszkaniu, palę papierosy i wciąż sobie powtarzam, że nie umrę. A gdy panika mija, grzebię w torbie w poszukiwaniu mojego elektronicznego notanika. Odszukuję w nim numer telefonu terapeuty Buckleya.

Wykręcą numer, nim zdążę zmienić zdanie.

- Dostałam ten numer od byłego pacjenta, Buckleya O'Hanlona - mówię recepcjonistce. - Chciałabym się umówić na wizytę.

Czekam na pytanie, co jest ze mną nie tak. Zastanawiam się, co powiem. Ale ona o to nie pyta.

Informuje mnie, że ktoś odwołał wizytę jutro rano i pyta, czy chcę się umówić na tę porę. Mówię, że chcę. Odkładam słuchawkę. Czuję się lepiej.

Na tyle dobrze, żeby wziąć prysznic. Gdy wychodzę, dzwoni telefon. Włączam sekretarkę, bo boję się, że to Will. Ale nie.

- Tracey? Żyjesz? Czekałem na ciebie całą noc. Próbowałem do ciebie dzwonić, ale wciąż było zajęte. Zadzwon do mnie. Martwię się o ciebie.

Zadzwonię do Buckleya. Później.

Telefon dzwoni znowu, gdy wciskam się w nowe dzinsy i czarny sweter, który zeszłej zimy był ciasny. Teraz jest za duży. Zdecydowanie za duży. Muszę sobie kupić nowe ubrania.

Znowu włączam sekretarkę, bo boję się, że to Will.

- Tracey? To ja, Brenda. Jestem w biurze. Naprawdę wczoraj rzuciłaś pracę? Proszę cię, zadzwoń. Martwię się. Zadzwonię do Brendy. I zadzwonię do Milosa. Później.

Przedstawię Brendzie soczysty opis mojej rezygnacji z pracy.

Powiem Milosowi, że teraz jestem wolna dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Może i nie mam ochoty spędzić reszty życia na podawaniu kanapek na czyichś weselach, ale przecież z czegoś trzeba żyć. W tym momencie zależy mi tylko na tym, żeby zarobić na zapłacenie czynszu i rachunków.

Och, i na kupienie nowych ciuchów.

Co mi przypomina o tym, że muszę gdzieś iść.

Łapię torbę i ruszam w stronę drzwi. Zostawiam za sobą telefon, który bez wątpienia będzie jeszcze dzwonił i dzwonił. A żadnym z telefonujących nie będzie Will.

Na ulicy słońce świeci oślepiająco.

Czy czuję się dobrze?

Wkładam ciemne okulary. Żwawy wietrzyk porusza liśćmi samotnego drzewa na ulicy. Spoglądam w górę, częściowo oczekując, że liście zmieniły kolor przez noc. Lecz nad głową nie mam jeszcze wspaniałego baldachimu czerwieni, oranżu i złota.

Choć będę miała.

Czy czuję się dobrze?

Idę ulicą.

Zatrzymuję się przed małym butikiem. W oknie wystawowym stoją manekiny odziane w drogie, dopasowane, kolorowe sweterki. Najnowszy krzyk mody, jak powiedział Raphael.

Wchodzę do środka.

Pięć minut później wychodzę.

Mam na sobie drogi, dopasowany, kolorowy sweterek.

Jest czerwony. Jestem ubrana na czerwono.

W torbie, którą mam w ręce, są jeszcze dwa sweterki. Jeden żółty, a drugi pomarańczowy.

Chcę wrócić do domu i zadzwonić do Raphaela. Chcę powiedzieć mu o sweterkach.

I o Willu.

Chcę też zadzwonić do Buckleya.

Ale zanim wrócę do domu, muszę jeszcze załatwić jedną sprawę.

Idę do dużego sklepu meblowego, który widziałam w czerwcu. Flagi z wielkiego otwarcia dawno zniknęły, ale duże, dębowe łóżko nadal stoi na wystawie. Letnią pościel w kwiatowy wzorek zastąpiła flanelowa.

Myślę o tym, że nie mam pracy.

Myślę o tym, że nie mam Willa.

Myślę o tym, że nie mam łóżka.

Mam tylko materac. I oszczędności w banku.

Czy czuję się dobrze?

Wchodzę do sklepu.

Gdy wychodzę kwadrans później, nadal nie mam pracy.

Nadal nie mam Willa.

Ale mam łóżko.

Wielkie, dębowe łóżko.

Przywiozą je w sobotę.

Czuję się świetnie. Naprawdę.

Czuję się świetnie.

Ciążą mi torby z zakupami oraz skórzana torba na ramieniu. Zmieniam torby. Idę dalej. Nadal czuję się świetnie.

Na rogu odruchowo wydaję Podróż Guliwera. I wrzucam je do kosza na śmieci.

Teraz nigdy się nie dowiem, jak się kończy ta historia, myślę nieco tęsknie, gdy zmieniają się światła i przechodzę na drugą stronę ulicy.

A ja zawsze muszę wiedzieć, jak kończy się książka.

Zwykle nawet zaglądam do ostatniego rozdziału, żeby się tego dowiedzieć. Ale może tym razem, dla odmiany, wcale nie muszę wiedzieć.

Może nauczę się żyć w niepewności.